

TOM CCXXXVIII

SERYA 8

De. II 1.

ROK 60

ZESZYT 709

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

M A J.

1900.

---

TOM II. — ZESZYT 2. —

---

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Warecka № 14.

1900.

## TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
I. SZUJSKI JAKO POETA, — przez St. Tarnowskiego, — (c. d.) . . . . .	107
II. RICK I ROCK, powieść (dalszy ciąg), — przez Wincentego Kosiakiewicza . . . . .	233
III. O MONISTYCZNEJ FILOZOFII HAECKELA, — przez d-ra Gustawa Piotrowskiego . . . . .	268
IV. SYLWETKI LITERACKIE. — I. PIOTR LOTI, — przez J. Adwiga Wars—ską . . . . .	282
V. LUDNOŚĆ WYTÓRCZA I ŹRÓDŁA DOCHODU W W. KSIĘSTWIE POZNAŃSKIM, — przez A. W. . . . .	291
VI. KRONIKA PARYSKA, — przez Sewerynę Duchieńską . . . . .	305
VII. AUTOR „KŁOPOTÓW STAREGO KOMENDANTA“. Ś. p. Albert Wilczyński, — przez Maryana Gawalewicza . . . . .	322
VIII. KARTKI PROWANSAŁSKIE. I. O ZMROKU. II. NAD SORGA, — przez Maryę Konopnicką . . . . .	333
IX. KLONOWICZ I PAMFLET PRZECIWI JEZUITOM, — przez Stanisława Zdziarskiego . . . . .	337
X. PIŚMIENICTWO. Dr Karl Bücher, ord. Professor der National Oeconomie an der Universität Leipzig „Arbeit und Rhythmus“. Zweite stark vermehrte Auflage, Leipzig Teubner“ (1899, w 8-ce, str. 412); — Dr Richard Ehrenberg Prof. der Staatwissenschaften zu Rostock „Handelspolitik. Fünf Vorträge gehalten zu Frankfurt am Main“. Jena, Fischer, 1900, str. 95), — przez d-ra Zygmunta Gargasa . . . . .	355
Jerzy Żuławski: „Poezye“, II, Warszawa, 1900; — Ludwika Godlewska (Exterus): „Dobrane pary“, powieść społeczna, Lwów, 1900; „Kwiat aloesu“, Warszawa, 1899, — przez A. Drogoszewskiego . . . . .	359
XI. KRONIKA MIESIĘCZNA. Ś. p. Stosław Laguna. — Konferencye literackie. — Główne potrzeby naszych mieszkań letnich i nowe latowisko „Konstancya“. — Brak kościołów w Warszawie. — Demokracyzacya sztuki i projekt p. Rabskiego. — Co myśli i czego chce nowe pokolenie? — Organizacya kuchni ruchomych . . . . .	368
XII. WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE . . . . .	385



De. II 1.

# Szujski jako poeta.<sup>1)</sup>

---

Z Jadwigą razem wyszła „Halszka z Ostroga“, i wyszedł „Wallas“. Szkocka, przedwieczna historia; dramat nigdy na scenie nie grany, wydany raz bezimiennie w roku 1860 (w Dzienniku Literackim Lwowskim), najmniej znany ze sztuk Szujskiego.

Jest wojna. Na jednym brzegu granicznej rzeki Tweed stoi król Edward z wojskiem angielskim, na drugim hołdowniczy król Szkocyi, Jan Balliol, ze swoimi. Anglik dumnie wzywa do złożenia broni; dumniej odpowiada Szkot, że jej nie złoży. To wstęp.

Bitwa przegrana. Szkoci w rozbiciu zupełnem. W zamku Dunbar, niedostępnym, nadmorskim, skałami otoczonym, u starca Duglasa schroniła się garstka niedobitków. Nie poddadzą się. Anglik zamek wziąć musi, oni zginą, Szkocya się skończy; ale cześć będzie ca-

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt lutowy.

ła. Jeden jest tylko między nimi, który nie ginąć chce, ale się wy-  
mknąć—Wallas. Rzucają mu w oczy strach, miłość życia, ale nie o to  
mu chodzi! On chce umknąć, żeby w jednym zamku reszta Szkocyi nie  
poszła w ruinę. Z okna, po prostopadłej ścianie skały, spuszcza się do  
morza; inni, zagrzeni słowem i przykładem, za nim. Udało się. Już  
są na morzu, kiedy Anglicy wzięli zamek, a stary Douglas ducha  
wyzionął.

Większość panów szkockich tymczasem pokornie poddaje się  
Anglikom; spodziewa się łask króla; napróżno. Edward jest dumnym;  
podłym daje tylko życie i pogardę.

Ze Skone tymczasem zabierają, wywożą, kamień koronacyjny  
królów szkockich; lud zawodzi skargi; gromi go Monteith. Nie w mar-  
towych rzeczach, nie w pamiątkach i symbolach jest życie i siła. Ten  
Monteith, to druga przy Wallasie główna figura sztuki: pomiędzy ni-  
mi toczy się sprawa dramatu. pomiędzy duchem publicznym, czystym  
i doskonałym, a zmieszonym z miłością własną i przez nią zatrutym.  
Monteith jest całą duszą i Szkot, i bohater: zdolny do najwyższej  
cnoty i dzielności, byle one w nim były najwyższe, a nikt drugi nie  
był jemu równy, nie znaczeniem tylko, lub stanowiskiem, ale nawet  
wartością. Jeżeli takiego zobaczy, zazdrości, mści się, zdradza: byle  
zgubić lepszego od siebie współzawodnika, gotów jest zgubić Szko-  
cyę. Wallas poszedł w góry: przeciąga opór, prowadzi wojnę. Na  
krótko opuszcza swoich, żeby wpaść do domu, odwiedzić starą matkę,  
uściskać żonę, niedawno poślubioną. Co tam zastał? Scena jest bardzo  
dramatyczna, jedna z najlepszych w sztuce; wrażenie niepokoju, oczekiwania,  
wreszcie strasznego nieszczęścia, rozdzierające, a (co u Szujskiego nie zawsze się zdarza) utrzymane w mierze.

Anglik napadł na zamek. Młoda żona Wallasa uciekała przed  
nim na wieżę, a gdy inaczej obronić się przed nim nie mogła, rzuciła  
się z wieży w przepaść. Stara matka pomściła ją, zabiła Anglika. Ale  
sama potem oszalała.

Teraz już Wallas swojego nie ma nic na świecie, ani w sercu.  
Jak zakonnik wyrzeka się wszystkiego, a oddaje się cały miłości  
i służbie Boga, tak oddaje się Szkocyi. Wojna idzie mu dobrze; An-  
glicy pobici. Zwycięstwo w ostatniej chwili zapewnił, rozstrzygnął  
swoją pomocą Monteith. Wallas, w długiej scenie, chce mu oddać do-  
wództwo, bo, jako pierwszy, może być doskonałym bohaterem, zbawcą  
— jako drugi, może stać się złym i zgubnym: ale w tamtym na razie  
dobre zwycięża, nie chce tej bulawy, będzie służył pod Wallasem. Nie  
na długo! Kiedy nieprzyjaciela zabrakło, lordowie zaczynają sobie  
zazdrościć i rwać się do korony. Stary Commyn ma na nią nadzieję,

bo Balliol źle się pokazał, a on najmoźniejszy, najgłośniejszy między lordami. Ale Wallas osadza powtórnie na tronie prawego króla, Balliola. Balliol robi go swoim hetmanem, wielkorządcą. Wtedy dwie zazdrości spotkały się i zrozumiały. Commyn chce zgubić Balliola, Monteith chce zgubić Wallasa — i staje się między nimi zdrada.

Ma być bitwa. Na jednym skrzydle stanie Commyn, na drugim Wallas. Tego ma wspierać Monteith.

Ale Commyn już się z Anglikami ułożył. Dadzą mu się pobić pozornie, żeby, jako zwycięzca, miał tytuł do tronu: a tymczasem Monteith nie poprze Wallasa, i bitwa będzie wygraną Anglików. Commyn podda im Szkocję na jakich zechcą warunkach, byle sam był tym pozornym królem.

Tak się też dzieje. Commyn odniósł pozorne zwycięstwo, Balliol gdzieś zniknął, czy uciekł; ale Wallas zwyciężyć nie może. Naprawdę daje umówione znaki, naprawdę walczy ze wszystkich sił — pomoc nie przychodzi. Ta scena oczekiwania, złych przeczuć, dodawania sobie i udawania nadziei, jest bardzo smutna i dobra: a dodaje jej wdzięku epizod małego Roberta Bruce, potomka królów, który, na dworze angielskim chowany, nauczył się tać swoje uczucia, złudził swoich dozorców, nauczycieli, samego króla, a teraz, „jak sokół spuszczonej z berła“, jak młody Alf Mickiewicza, przekradł się do swoich. Otuchy on dodaje na kiedyś, pomocy na teraz nie! Po zdradzie Monteitha, bitwa przegrana, Wallas w niewoli: Robert tylko wymknął się z garstką górali.

I teraz Commyn poddaje Szkocję Edwardowi, i teraz Monteith widzi, co sprawił swoją pychą i zazdrością. Scena, w której to poznaje — on, co nie wiedział o zмовie Commyna z Anglikami — i w rozpaczce chce wypić kielich hańby do dna, każe sobie dawać pieniądze za zdradę, a wzięwszy je, idzie życie sobie odebrać, mą wiele siły.

Wyszędlszy, spotyka Lungyego, najpodlejszego ze Szkotów, który małemu Robertowi dodany był za stróża i szpiega, a gdy Robert zniknął, w trwodze śmiertelnej szuka go, i ze strachu przed królem myśli sobie życie odebrać. Jego chwyta Monteith w ramiona, i z nim razem rzuca się ze skały w morze. Z takim para, z takim śmierć, to jedno, czego godna jest zdrada i sromota.

Wallas w więzieniu, ale młody Robert walczy dalej. Naraz slychać w lochu głos króla Edwarda, niespokojny, gwałtowny: rozkazuje ściąć Wallasa natychmiast, na rynku, żeby ludzie widzieli, żeby Szkoci się dowiedzieli. Więzień miarkuje, że musiało się stać coś wielkiego, coś dobrego, kiedy ten król taki zły a drżący. Stało się zwy-

cięstwo pod Bannochburn: Wallas, idąc na śmierć, dowiaduje się o niem na pewno.

Nowy w całym tym tomie, — oprócz Śmigielskiego, ładnej, miłej, historycznej komedyi, nie wiedzieć, doprawdy, czemu nie granej nigdy na żadnej scenie, — nowy był tylko „Twardowski“.

Na tym znać już bardzo, że pisany był po głębokich studyach nad historią: znać to po znajomości dokładnej tych kwestyi, które poruszały wiek XVI, po znajomości blizkiej ówczesnych ludzi i jasnym ich rozumieniu, po dojrzałym sądzie nie tylko człowieka, co z młodzieńca wyszedł przez ten czas na męża, ale wytrawnego znawcy i badacza dziejów. „Twardowski“, jak wszystko, co Szujski pisał, powstał z tej „troski, co zle z dobrem ważyła na sumienia szali“ — z tej samej maksymy, czy reguły: „pytaj o przyczynę kary“. Jakim sposobem społeczeństwo tak bujne i pełne życia, pisarstwo tak kwitnące, mogło naraz tak stanąć na miejscu, i cofać się, i od tej chwili właśnie, kiedy doszło do zenitu, do samego południa swoich pojęć, dążeń i sił, kiedy w swojej samowiedzy było tak pewne siebie, a w swoim wyrabianiu się tak samodzielne i rodzime? Co je wstrzymało w śmiałym pochodzie naprzód? Co naturę jego dobrą, szlachetną, a nieraz bohaterską, zniżyło i osłabiło? Dlaczego teraz właśnie, w tym złotym wieku XVI, natura polska zaczyna się psuć, a państwo słabnąć?

Nad tem pytaniem rozmyśla historyk narodu, i jego psycholog: a odpowiedź, jaką tu znajduje, ubiera poeta w formę dramatu, raczej dyalogowego poematu; bo, choć grany był nieraz na scenie i dobrze się na niej wydał, „Twardowski“ jest szeregiem historycznych i filozoficznych też w obrazach i scenach, nie dramatem: w rozprawach się odgrywa, nie w zdarzeniach i działaniach.

Na kształt zewnętrzny swojej odpowiedzi wybrał poeta legendową postać mędrca i czarownika w paktie z dyablem. Twardowski wyobraża społeczeństwo polskie swego czasu, jego świadomość siebie, jego pojęcia, porywy, jego niedoświadczenie i skłonność do złudzeń: dyabeł zakłada się, że go zepsuje i w moc swoją dostanie — i kusi.

Z góry każdemu musi nasunąć się pytanie: jaki związek tego poematu z Faustem, i jakie podobieństwo, kiedy treść podobna? Żadne. Ton i styl jest wesoly i lekki, pełen humoru i kawalerskiej fantazyi, starszylachecki, w rodzaju pana Paska raczej, albo Zagłoby. Treść, choć nader poważna, smutna, kryje swoje nauki pod tym pozorem, a figury i sprawa sama, o którą chodzi, są tak zupełnie odmienne, że podobieństwo całe kończy się na tem, że tu, jak tam, jest dyabeł i układ z dyablem.

Dyabeł kusi Twardowskiego naprzód nowatorstwem religijnem, wyzwoleniem rozumu, Reformacyi. Twardowski zrazu słucha chętnie, ale w końcu poznaje, że to się skończy negacją Objawienia, buntem przeciw Bogu. Odpycha pokusę. Dyabeł przegrał.

Drugi raz kusi on materjalizmem, wiarą w używanie tylko i rozkosze, niewiarą w duszę, w jej uczucia, w szlachetność człowieka. Przegrywa znowu.

Ale w trzeciej próbie wygrywa.

Szlachcic (Twardowski), upojony radością i dumą na polu elekcyjnym pod Wolą, kopie nogą chłopą, upojonego wódką, leżącego na ziemi. Zgrzeszył przeciw prawu miłości. Jest to symbol tego zapomnienia i poniżenia, w jakim szlachta, doszedłszy do tego, co miała za swój ideał, trzymała inne stany, zwłaszcza lud wiejski.

Na tem koniec. Poemat jest bardzo niezwykle, zadziwiający rozumem; w formie, w języku i stylu tak dobry, tak wolny od zwykłych Szujskiemu zawilosci i nierówności, jak może żaden inny. Ale w tem dziele rozumem i znakomitem czegoś jest brak. Czego? Zakończenia. Że Twardowski obiecuje samo piekło przerobić, zdobyć dla nieba, to nie dosyć. To jego fantazya i marzenie, może jego złudzenie i przechwałka, a ostatnie słowo zostaje przy szatanie. Powinien był jeszcze być jeden akt ostatni. Powinien był autor pójść za legendą do końca, i w tym ostatnim akcie pokazać, jak ona, Twardowskiego zawieszonym między niebem a ziemią, czekającym sądu i wyroku.

Z takim ostatnim aktem, z takim zakończeniem, poemat był-by zupełny.

Produkcya poetyczna za młodu aż nazbyt raczej obfita, a potem przez lat kilka wstrzymana, wzmogła się na nowo. Stanowisko historyka było już ustalone: „Dzieje“ wyszły, a w ślad za niemi szły i stanowisko to podnosiły te mniejsze na miarę, nie na wartość, rozprawy, które kiedyś zebrały się razem w tomy „Opowiadań i roztrząsań“. Znalazło się powołanie główne, nieprzeczuwane za młodu: ale tamte dawniejsze zostało przecie, i gdy czas przywrócił względny spokój i równowagę, upomniało się o swoje prawa, wabiło swemi ponętami. Zmieniło się ono znacznie. Pod wpływem historycznych studyów, pod wpływem doświadczeń współczesnych, a i własnych, nieraz staczących, walk, poetyczne pomysły Szujskiego zwróciły się teraz w jedną głównie stronę. Walka rzetelnego ducha publicznego z undanym, lub wiotkim, walka politycznego rozumu i myśli z błahością, nierozważną, lub krótkowidzeniem, oto dramatyczne sytuacje i kollizye, jakich on teraz w historii szuka, jakie wynajduje, jakie chce poetycznie przedstawić. Dlatego staje mu teraz przed oczyma Ossoliński, mąż stanu i charakter, zdolny myśl wielką podjąć, niezdolny wykonać jej

wbrew prawu na drodze nieprostej. świadomy jak ratować, wskazujący środki ratunku w chwili strasznego Rzeczypospolitej pogromu, niesłuchany, znienawidzony, oskarżony przez wszystkich. i umierający z pękniętego serca, gdy się przekonał, że nie poradzi. Ossoliński wydał się Szujskiemu bardzo tragicznym, i zaczął o nim marzyć, jako o bohaterze dramatu. Ale gdy rozmyślał o kanclerzu, gdy go widział w czasach Władysława i Jana Kazimierza. wpadł mu w rękę pamiętnik jego z lat młodych. i przypadł mu do serca ten chłopiec młody, z wielką stałością wążący życie, z większą i trudniejszą znoszący niesłusznie pozór złej sławy, a znoszący cierpliwie, bo tak mu kazał obowiązek, wzgląd na szczęśliwy koniec wojny.

Z tego wrażenia zrodził się „Dwór królewicza Władysława“, komedia historyczna.

W obozie pod oblężoną Wiaźmą, królewicz jest w wielkim fransunku i rozterce. Musi słuchać Chodkiewicza, hetmana, a kampania, jak ją hetman prowadzi, jemu się nie podoba. Prócz tego, z Warszawy dochodzą go same przykrości i gorycze. Jest jakiś podły szpieg w obozie, który królowi o nim fałszywe donosy przesyła, a król wszystkiemu wierzy i strofuje. W tem usposobieniu rozdrażnionem utrzymują go i korzystają z niego Kazanowscy: Marcin, Oboźny Koronny, przez swego synowca, Adama, poufalego przyjaciela królewicza. Marcin zazdrości Chodkiewiczowi; nie chce pod nim służyć, Koroniarz pod Litwinem, Kazanowski pod Chodkiewiczem. Stary hetman zna te zazdrości i gniewy, Kazanowskich nie lubi; młodszego nieraz surowem słowem napomina, starszego w rygorze trzyma, bo jest hetmanem i słuchanym być musi. Kazanowscy poddają królewiczowi i pielęgnują w jego duszy myśl, żeby nieczynnego hetmana zostawić pod miastem, oderwać się ze swemi chorągwiami, iść naprzód i zdobyć, co się da. Królewicz jeszcze nie przystał, czuje, że to było-by złe, ale pociąg ma ku temu wielki.

Ledwo się sztuka zaczęła, ukryta waśń wybucha. Hetman wyznaczył chorągwiom Oboźnego jakieś miejsce daleko, w tyle, między ciurami. Oboźny obrażony, młody Adam obrażony; sam królewicz na jego prośbę wdaje się w sprawę, i prosi hetmana, by zmienił rozkaz — napróżno! Krnąbrnemu właśnie on ustąpić nie może, i musi go przełamać. Ale Oboźny zmiany rozkazu nie czeka — sam przechodzi na miejsce, jakie mu się podoba. Stary hetman, gorączka, wypada, ale nietylko karność przywraca, jeszcze Oboźnego w gniewie buławą wali po grzbiecie.

Tego zanadto! Tego Kazanowscy nie zniosą! To i w duszy królewicza przeważa szalę na ich stronę. Plan ułożony; uda się tem łatwiej, że hetman, dla uniknienia swarów, oddzielił obóz koronny od



litewskiego. Ten obóz pod rozkazami Marcina pójdzie za nim, gdzie i kiedy on każe.

Zamiar ten odgaduje, przenika młody Jerzy Ossoliński. Długie, tajemne narady królewicza z Kazanowskimi, słowa, posłyszane między oficerami i żołnierzstwem, naprowadzają go nadomysł, i widzi jasno. Co robić? Naradza się ze swoim przyjacielem, Jakóbem Sobieskim. Powiedzieć hetmanowi? Nie można, bo w gniewie gotów zrobić coś takiego, co spowoduje bunt. Powiedzieć królewiczowi? To na nic, bo królewicz Kazanowskich słucha. A coś zrobić trzeba koniecznie. Jeżeli Koroniarze odejdą, to i sami prawdopodobnie przepadną, i oblężenie się nie uda bez tych sił, i karność w wojsku zgubiona — bunt podczas wojny! Więc co robić? Nic — tylko króla uprzedzić. Niech sam przyjeżdża, lub kogo tu przysła.

Postanowili, i idą już pisać listy.

Tej rozmowy wysłuchał, niechęć. Adam Kazanowski. Ten się zaczął, żeby wysledzić, kto szpieguje królewicza, i z ukrycia słyszał wszystko. Co ma teraz poczuć? Jeżeli tamci zrobią, co zamierzeli, to przypadnie wielki zamiar i chwala Kazanowskich, i ich zemsta nad hetmanem. Ossolińskiego przytem zdawna nie lubi; drażni go ta powaga, upokarza ta wyższość charakteru. Gdy tak rozmyśla, skrada się do pokoju królewicza szpieg prawdziwy, Tryzna. Adam go chwytta. Schwytany broni się, wymawia, tłumaczy: to nie on pisuje, to Ossoliński z Sobieskim, właśnie w tej chwili piszą, łatwo się przekonają.

Adam ulega pokusie. I plan swój uratuje, i nienawistnego młodego Katona zgniecie. Wola królewicza, oznajmuje, że Tryzna odkrył szpiegów, idą razem, prowadzeni przez Tryznę, zastają Jerzego i Jakóba nad listem.

Królewicz chce go widzieć, odmawiają. Rzuca im w oczy obelgę — szpiegi! Wytrzymują. Wieść gruchła po obozie. Nadchodzi sam hetman, chce widzieć list — odmawiają znowu. Dowód oczywisty ich winy! Jutro dostaną plagi w obliczu całego wojska, i będą wypędzeni z obozu.

Wytrzymali i to — nie powiedzieli.

Nieszczęśliwi chłopcy, zgubieni na sławie, myślą już tylko o tem, jak rodziców o swojej niewinności przekonać, a jeszcze i o tem, jak swój list królowi przesłać. Wtedy, jak Anioł z nieba, staje przed nimi Nowodworski. Ten przybył właśnie do obozu z petardą, która ma wysadzić bramy oblężonego miasta. Podłożyć ją i zapalić, to śmierć prawie pewna. Kawaler Maltański wyprosił młodzieńców od zapowiedzianej sromoty, chce ratować ich cześć, jeżeli sami tego chcą. Niech zainoszą petardę pod bramę.

Chłopcom jak gdyby się niebo otwarło. Zginą: mniejsza o to, ale z honorem. A Nowodworski i królowi ich list doręczy, i przed rodzicami, przed światem, poręczy ich niewinność. Wyznają mu całą prawdę i idą z petardą.

Nowodworski wtedy udaje się z tą prawdą i z wyrzutami do królewicza. Zamieniają się słowa ostre; królewicz nie rozumie, nie wierzy.

Ale Kazanowski, gdy się dowiedział, że tamci poszli na śmierć, tknięty wyrzutem sumienia, pędzi za nimi w rozpacz, jak szalony. Stało się coś złego, coś strasznego.

W tej chwili ludzie wnoszą Ossolińskiego. Petarda wybuchła, brama wysadzona, ale młody bohater śmiertelnie ranny. Kazanowski sam wyznaje prawdę i oskarża się przed królewiczem. Władysław wyrzeka się swego dumnego zamiaru, prosi Jerzego o przebaczenie — zgoda i miłość powszechna. Ale jak prawdę, jak zamiar królewicza zataić przed hetmanem? Jakób Sobieski wpada na pomysł dość dziecinny: powiedzieć mu, że listów pokazać nie chcieli, nie mogli, bo to były listy do białych głów, których sławę musieli szanować. Stary Chodkiewicz uwierzył, Wiaźma wzięta, Jerzy wyzdrowiał, wszystko skończyło się szczęśliwie.

Rzecz ładna, szlachetna; była-by miłą do widzenia w grze młodych chłopców amatorów; a przeciwieństwo trzech usposobień: prostego, typowo polskiego w Sobieskim, głębszego w Ossolińskim, nie bez szlachetności, ale z namiętą miłością własną w Kazanowskim, trafne i zajmujące.

Ale charakter polityczny historycznych dramatów Szujskiego, na sprawach młodzieńczych, jak ta, choć widoczny, nie mógł wystąpić z całą grozą i mocą. To zamierzał autor osiągnąć w dalszych częściach Ossolińskiego dopiero. A tymczasem pomiędzy zamiar a wykonanie wsunął się pomysł inny, podobnej natury i tendencji — sprawa Zborowskich.

O owym młodocianym Samuelu miał Szujski, że zginął bez śladu: istotnie rękopism odnalazł się po jego śmierci dopiero. Żałował go, miał w nim pewne upodobanie; i z tej tęsknoty za utracionem dziełem powstało powtórne obrobienie tego samego przedmiotu.

Ale jak odmienne od dawnego! Znać po nim, że przeszły lata i doświadczenia przez głowę poety, że rozszerzyło się jego pojęcie historyi, a pogłębiła jej znajomość, że sama artystyczna biegłość i wprawa rozwinęła się i postąpiła. Zadnych długości, raczej błęd przeciwny, zbyteczna zbitość. Zadnej lirycznej, słodkiej uczuciowości, choć zostaje doskonałość zbyt może idealna niektórych postaci. A co do treści, to już nie sprawa jednej miłości i jednego nieszczęśliwego

a sympatycznego człowieka, ale tragedia rozgrywa się pomiędzy Państwem a bezrządem, pomiędzy Rzeczpospolitą a prywatą i rokoszem.

Dlatego też i tytuł inny: nie „Samuel Zborowski“, ale „Zborowscy“.

Trzech ich występuje w pierwszych scenach na zamku krakowskim. Pierwszy, to Krzysztof, nie najgorszy, ale prawie najgorszy z braci. Fortunę roztrwonił, sławę i imię sterzał, cesarzowi nosił swoje usługi w nadziei bogactw i zaszczytów: teraz wrócił z wytartą suknią i czołem, w dziurawych butach, i za te zasługi domaga się od króla stanowiska i dochodów. Drugi, Jan, uczciwy, poważny, wstydzający się braci, ale czujący żywo banicyę Samuela i niepojmujący, że król jeszcze łaski nie dał. Trzeci, Andrzej, najgorszy, przewrotniejszy od Krzysztofa, ale umiejący zachować pozory tak, żeby materialnie nikt niby nie miał powodu odmówić mu szacunku. Krzysztof prosi za sobą; tamci dwaj za Samuelem. Król odmawia, a jak wdawnym dramacie, im zuchwalej żądają i domagają się, tem konieczniej odmówić musi. Tylko figury i stosunek ten cały skreślone są tu rysami krótszemi, ogólniejszemi, a nierównie pewniejszemi i silniejszemi, niż w dawnym „Samuelu“. Król odmawia, a na dowód, że groźbą na nim nic wymusić się nie da, a zaczął służbą wszystko otrzymać, oznajmia, że Zamoyskiemu oddaje pieczęć i rękę Gryzeldy.

Gryzelda się nie opiera; przystaje odrazu. Dawną miłość do Samuela chowa w sercu wiernie, ale wie, że król krnąbrnym i zuchwałym nie może oddać jej ręki, wie, że ta ręka może mu posłużyć, pomódz w jego wielkiem dziele, gotowa jest do ofiary. Zamoyski w rozmowie z królem wymawia się, wyprasza, choć księżniczkę kocha i wielbi, ale zmiany postanowienia otrzymać nie może.

Akt drugi w Zborowie. Andrzej i Krzysztof poprzysięgli zemstę królowi, myślą o zrzuceniu go z tronu. Ale na to, by szlachtę poruszyć, ich siły nie starczą. Trzeba takiego, co ma miłość ludzką, co szlachetnem sercem, rycerską fantazyą, urokiem czynów wojennych, podoba się i podbija. Takim jest Samuel. Ale Samuel ze swoim sumieniem i honorem czy zechce do tego dzieła dopomódz? Jak się dowie, że król Gryzeldę daje kanclerzowi, to kto wie.

Smutne to gniazdo Jastrzębców: cięży nad niem jakaś atmosfera występku i kary. Stary sługa, Marcina jeszcze, napół obłąkany, widzi w zamku duchy zabitych, Dymitra Sanguszki, Wapowskiego... stara matka, ciemna, skarży się, że szczęścia ni spokoju nie zaznała

w tym domu ni chwili, a choć sama nie wie długo, nie widzi, co się dzieje, czuje, że synowie obrócili się źle, a przeczuwa, że zdolni są do zbrodni. Jeden ją kocha, jeden pociesza, jeden dobry, to ten biedny wygnany Samuel, który teraz kryje się przy niej w zamku, czekając na łaskę królewską, dla którego ona marzy o szczęściu — z Gryzeldą.

Wracają starsi. Odmowę łaski, dalszą banicyę, znosi Samuel mężnie. Kanclerstwo dane Zamoyskiemu? słusznie, bo najgodniejszymu. Ale nie pomylili się bracia w rachubach. Gdy się dowiedział o zamęczeniu Gryzeldy, wpadł w rozpacz, we wściekłość, i zawarł z braćmi przymierze na króla, na Zamoyskiego. Te sceny między braćmi, ta stara matka, która chodzi jak duch i jak przeczucie nieszczęścia, to jest pełne ponurej grozy, energii i smutku, wrażenie robi prawdziwie tragiczne.

Akt trzeci znowu w Krakowie. Dwoje pacholąt, Bojanowski i Derśniak, patrzą z okien zamkowej sali na przygotowania do weselnego festu. Tłum ludzi, mitologiczne maskary zajmują swoje miejsca na wozach, poziom oczy z głowy wychodzą na te dziwy. W tem maska jedna, cała czarnym płaszczem osłonięta, wchodzi do sali i żąda od Derśniaka, żeby ją ukrył w pobocznej komnacie: chce widzieć zbliżka orszak ślubny w pochodzie do kościoła. Chłopiec się boi, nie wie, czy to nie duch, czy nie dyabeł, albo nie jaki zoczyńca; ale słyszy, że maska płacze, lituje się i otwiera drzwi. Chwilę potem wychodzi król, królowa, para oblubieńców, długi strojny orszak dworzan... zatrzymują się pośrodku sali, i Gryzelda w tej chwili, kiedy wołę króla spełnia z poświęceniem swojej, prosi go o łaskę dla Samuela. Łaska już jest. Prosił o nią króla kanclerz, a król podpisał; akt z pieczęciami oddaje księżniczce.

Wtedy ze swego ukrycia występuje Samuel, drze pergamin, łaski nie chce, sam nie przebaczy. Zamieszanie, popłoch; Gryzelda prosi, żeby ją na chwilę zostawiono samą z Samuelem; król się waha, Zamoyski, za chwilę jej mąż, ma prawo rozstrzygać, i wszystkim każe się usunąć. Wie, że to jedno ją pocieszy, jego może nawróci i zbawi. Scena między nieszczęśliwymi kochankami piękna, a tem lepsza, tem dramatyczniejsza, że bezskuteczna. Wszystko, co Gryzelda mówi o cnocie, o obowiązku, o chwale, odbija się, jak groch od ściany, od nienawiści Samuela, który nienawidzić chce i będzie.

Poszła Gryzelda do ślubu: akt kończy się kilkoma słowy rozpaczcy Samuela.

Następny znowu w Zborowie: Zgromadzona szlachta, wymową Andrzeja, sztuką Krzysztofa, poruszona do łez o krzywdę Zborowskich, gotowa iść za nimi, gdzie zechcą, na Kraków, na króla, wszędzie. Samuel ją gotów prowadzić. Ale starsi bracia pozornie tylko do tego planu należą; mają swój, pewniejszy. Krzysztof, lotr porywczy i namiętny, weźmie z sobą starego strzelca Kościeszę. Przed chwilą kazał mu ręki próbować, i stary w lot zabił jaskółkę: nie chybi i grubszego zwierza, gdy król będzie na lowach w Niepołomicach. A po szczęśliwym strzale, sam dla pewności zastrzeli strzelca. Zimny i wyrachowany Andrzej ma drugi plan, jeszcze lepszy, jeżeli tamten zawiedzie. Przez swoich zaufanych przestrzeże kanclerza, że Samuel jest w okolicach Krakowa, a gdy Samuel będzie schwytany i ścięty, to o jego głowę taki podniesie się krzyk i lament, że cała Rzeczpospolita pójdzie na króla...

Ten drugi plan niewiadomy; ale plan Krzysztofa, odkryty przed Samuelem. Gdy stary Kościeszka strzelał do jaskółki, stara matka odgadła przecuciem, że to jakaś próba, jakiś zły zamiar. Zna synów, i we wszystkim, co robią, boi się zbrodni. Z ich milczenia poznała, że się nie myli, że to spisek na życie króla. Oburzenie, wzgarda, żal macierzyński dobiły starą i słabą. Padła bez życia. Samuel braci nie wyda, ich zamiary odwróci od głowy króla; a potem pójdzie w świat na zawsze.

Aż do tej chwili jest to zapewne z Szujskiego dramatów najlepszy w układzie, charakterystyką figur znakomity, w stylu prosty i jasny, w patetycznych miejscach wolny od wszelkiego naprężenia i nadmiaru. Odtąd zaczyna się psuć. Jest w zakończeniu rzeczy za wiele, potrzebujących obszernego traktowania, a zbitych, przez to niejasnych, niewyraźnych, i są psychologicznie, może nawet moralnie, do wytłómaczenia nieco trudne.

Druga część czwartego aktu w Niepołomicach, w lesie. Pada strzał; nie Kościeszki do króla—Samuela do Kościeszki. Król uratowany; ale na ten strzał zrobił się popłoch—Samuel schwytany, wszyscy myślą, że on strzelał do króla. Sam na sam z Zamoyskim, Samuel odkrywa mu prawdę. Kanclerz chce go prowadzić przed króla, oczyścić, ale Samuel nie pozwala. Nie chce, żeby wstyd braci był znany, nie chce i wstydzi się żyć na świecie, jako brat takich braci; jako banita urągający prawu powinien zginąć i być odstrasającym przykładem dla innych—Samuel woli zginąć. A Zamoyski ustępuje, go-

dzi się na to. W tem jest wielki błąd. Jako człowiek prawy, i jako stróż sprawiedliwości, Zamoyski sprzeniewierzył się swojej powinności; pozwolił na haniebną śmierć człowieka, który zawinił, prawda, ale winę swą zmasał. Jako polityk, jako stróż bezpieczeństwa Rzeczypospolitej i rządu, pobłądził także bardzo. Nie miał prawa zważać na prośbę Samuela: miał obowiązek odkryć przed całym światem, że Krzysztof i Andrzej, mordercy, królobójcy, a tem odkryciem prawdy był-by rokoszansom, bujownikom starł głowę na długo. On nie robi tego, co i z sumienia, i z rozumu zrobić był koniecznie powinien. Dla czego? Szujski chciał, żeby i Zamoyski, i Samuel byli jak najszlachetniejsi: żeby na jednym nie ciążyła krew banity, drugi, żeby zginął dobrowolnie w uznaniu swoich win. Zamiar łatwo zrozumieć i ocenić, ale wykonanie było bardzo trudne. Co wymyślić na to, żeby obu utrzymać na tych wysokościach heroicznej, idealnej cnoty? To, co Szujski wymyślił, chybiło celu, bo jego Zamoyski, z dobrego serca wprawdzie, ale nie spełnił swego oczywiściego obowiązku, ani jako chrześcianin, ani jako człowiek na czele rządu.

W akcie piątym znowu ten zbytek idealnej wzniosłości i doskonałości. Do Samuela przed śmiercią przychodzi na pożegnanie Zamoyski z Gryzeldą, umierającą. Powiedziała mu niegdyś, przed swoim ślubem, że śmierci jego nie przeżyje, i dotrzymała. Umiera z choroby, ze smutku, poświęcenia, i żalu nad siły. Żegnają się wszyscy troje, jak żeby z konającymi braćmi i siostrą: potem Samuel zasypia spokojnie. We śnie widzi duchy: Wapowskiego, który mu przebacza, rodziców, krórzy błogosławią, Gryzeldy — (umarła już), która mu wskazuje niebo. Ta śmierć spokojna i błoga, a na rusztowaniu, nie jest bez oryginalnego, smutnego, ale poetycznego wdzięku. Dodaje go jeszcze Derśniak, który w ostatniej chwili przychodzi pożegnać swego rycerza i przynosi mu ostatnią po Gryzeldzie pamiątkę. — Samuel wychodzi, z za sceny słychać go jeszcze, jak trzy razy woła Chryste.

Ale to nie koniec jeszcze. Wszak to nie o Samuele dramat, tylko o Zborowskich. Gdzież ten gwałt, ten rozruch, wszczęty przez nich po Samuela śmierci? Jest — w jednej, zaraz następnej, scenie.

Zamoyski prowadzi ciało straconego na pogrzeb. Zastępuje mu tłum szlachty z Andrzejem na czele — zda się, że go rozniosą na szablach. Ale kanclerz mówi — mówi, że Samuel był niewinny, że gdyby

odkrył tajemnicę jego braci, pokazało-by się, jacy oni zbrodniarze. Lecz zmarłemu przyrzekł, że jej nie wyjawia, więc nie wyjawia. Nie wyjawia, a ta szlachta, przed chwilą gotowa jego rozsiekać, na te jego słowa, w których winy tamtych nie usłyszała—obraca się na Zborowskich, i rozszarpała-by ich, gdyby kanclerz nie powstrzymał, nie obronił...

To na taką historyczną sprawę, nie dosyć; na taką namiętność i zaciekłość za prędko.

I za mało także, za prędko, za krótko zbyta jest scena ostatnia. Czy konieczna? jako zakończenie dramatu o Zborowskich nie—jako koniec historycznego obrazu i zwrotu potrzebna, uzasadniona, ale jeżeli być miała, to wymagała znowu więcej czasu, szerszego rozwinięcia.

Scena w Grodnie: król Stefan leży chory, dwóch lekarzy czuwa nad nim i spiera się o jego chorobę. Simoni, własny, strzeże go, ratuje, jak może. Buccella, przekupiony przez Zborowskich, podaje towarzyszowi usypiający narkotyk, żeby potem bezpiecznie otruć króla. Król się budzi, wzywa kanclerza, wypytuje o kuryera i listy. Są listy—Syxtus ofiaruje dowództwo w wielkiej wojnie chrześcijaństwa z księżyccm, sejmiki już dały instrukcye, podatki wojenne będą uchwalone przez sejm. Król słucha! jutro wstanie, jutro siedzie na koń—chyba-by umarł! Zabiera się do snu, odmawia pacierze, za Samuela między innymi, za swoją Gryzelę, w końcu zasypia.

W tej chwili wchodzi Krzysztof Zborowski z trucizną w rękę. Ale nie otruł. Król budzi się z wielkim krzykiem: „Bóg nie chce tego dzieła! za wielkie było zła władanie”—i umiera. Jego ostatnią myślą była daremność jego życia.

Truciznę dla niego przygotowaną wypija Krzysztof sam.

Był niezawodnie materiał tragiczny w tej śmierci Batorego; tylko był za wielki, za tragiczny na jedną scenę, na dodatek czy epilog doczepiony do sprawy Zborowskich.

Trzeba było albo napisać tragedję o Batorym, w której sprawa Zborowskich była-by częścią tylko, albo przynajmniej uważać ostatnie plany króla i jego śmierć za przedmiot osobny, za całość dla siebie, która mogła być następować po „Zborowskich“, jako epi-

log, ale powinna była zajmować i wypełnić przynajmniej cały osobny akt.

Drobnych wierszy z tych lat bardzo mało, prawie nie; a przynajmniej żadnego — z wyjątkiem „Króla Chrobrego“ — nie można na pewno do tego okresu zaliczyć. Jest za to jeden poemat liryczny, czy elegijny? nie wiem, jak go nazwać, ale niemałego wdzięku: nazywa się „Rok Polski“. Jakiś kalendarz, na rok 1868, prosił Szujskiego, żeby mu dał jaki ustęp, na ozdobę i przynętę. On — niezła to wskazówka jego wielkiej uczynności i życzliwości dla ludzi, — choć przywałony ważnemi pracami tak, że nieraz upadał pod ich ciężarem, nie chciał kalendarzowi zrobić przykrości, tem mniej pokazać mu, że prośba natrętna, a jego czasu może szkoda, bo mógł-by być lepiej użytym. Prócz tego myślał, że każda książka, każde wydawnictwo może być pożytecznem, roznieść i rozsiać jaką myśl dobrą, a kalendarz? — Kalendarz nieraz cieszy się większą liczbą czytelników, niż książki o jednolitej i głębszej treści. Obiecał; a szukając czegoś, co-by było do kalendarza dobrze dobranem, wpadł na myśl, żeby opisać „Rok“ z punktu widzenia tradycyjnych różnych zwyczajów i zmieniającej się porami fizjonomii wiejskiego krajobrazu.

Rodzaj jest podobny, jak Pola „Pieśni o Ziemi“ i „Pieśni o domu“, którą stary Janusz właśnie nie dawno był jakby na parę do tamtej napisał i ogłosił. Szujski nie był nigdy zapalonym wielbicielem Pola, jako poety, ale miał sympatyę czułą, prawie przywiązanie do człowieka. A gdy w tym zamierzonym poemacie chodziło właśnie o charakter bardzo rodzimy, bardzo wiejski, nie dziwnego, że, nie naśladując, chciał się formą do Pola zbliżyć i stosować. Czy w tę formę nie włożył więcej uczucia, więcej poetycznego na świat spojrzenia, aniżeli było w owym wzorze, to inne pytanie.

Zaczyna się więc ten Rok, domowego pełen wdzięku, staropolski, kontuszowy, od Adwentu naturalnie, od oczekiwania Odkupiciela. Potem, rozumie się, wilia, koledy i szopki, a dalej dobre słowo o odchodzącym starym roku, który giniew czasie, jak kropla w morzu ale daremnym i straconym przecie nie był, przecie każdy coś dobrego przyniósł i zostawił:

Stary Rok, Symeon stary,  
Wznosi dłonie pełne wiary



Ku dzieciątku, co w pieluchach  
 Tyle światu dobra wieści,  
 Tym pociechę — co w boleści,  
 Siłę tym — co słabi w duchach;  
 Co o jeden rok przybliża  
 Wielki tryumf swego krzyża.  
 I złamane już w szermierce,  
 Woła każde biedne serce:  
 Puść mnie, Panie mój, w spokoju,  
 Bom daremnie nie stał w boju,  
 Bo cegielką będę przecie  
 W wielkim gmachu Twej budowy,  
 Bo nie zginie na tym świecie,  
 Zaden włos z człowieka głowy,  
 Żadna myśl, co w górę wzłata,  
 Żadna praca i krew żadna,  
 Ale w wieńcu będzie kwiatem,  
 Coć tryumfem skroń oplata.

Jawi, jawi się Twe słowo,  
 Ciałem staje się i czynem.  
 Niegdy nad dziecięcą głową,  
 Pomędzy pasterskim gminem,  
 Mędrcy stanęli ze Wschodu  
 Gwiazdą wiedzeni na niebie:  
 Dzisiaj pielgrzymi do Ciebie  
 Tłum niezliczony...  
 Niosą, o, niosą dla Ciebie  
 Mirrę kadzidło i złoto;  
 Mirrę ofiary i trudów,  
 Złoto prawd, duchem zdobyte,  
 Niosą kadzidła obfite  
 Z ołtarzy...

Któremi znaczone  
 Droga do twoich niebiosów.

Mniejsza o karnawał, o nieuniknione wiejskie kuligi, ale Wielki  
 Post godzien uwagi:

Pod pokuty tej popiołem  
 Stary człówek w pył się kruszy,  
 A urobion w głębiach duszy,  
 Wzlata nowy archaniołem.

W ciężkiej życia twego doli,  
 O! módl siły tej skupienia,  
 O! wyrabiaj tę moc woli,  
 Co przetwarza pokolenia,  
 Synu ziemi nawiedzonej!  
 Ty zbawienia szukaj w sobie,  
 Ty na wielkim dziadów grobie  
 Rozpoczynaj przyszlą drogę  
 Od twej ścieżki zapuszczonej,  
 Gdzie codziennie stawiasz nogę.  
 Ty od serca twego, głowy,  
 Rozpoczynaj gmach przyszłości,  
 A jak filar granitowy  
 Dźwigniesz sklep dla potomności!  
 Ty w codziennych prac szermierce,  
 Ty w usłudze nienustannej  
 Między braci rozdziel serce,  
 Jak twój Mistrz z nieba zesłany.

A zwłaszcza ten Wielki Piątek:

Odtąd każda chwila święta  
 Krwią i łzami przesiąknięta.  
 W głębiach duszy, zda się, twojej,  
 Straszne dzieło się odbywa:  
 Gaj oliwny liściem śpiewa,  
 Kalwaryjska góra stoi,  
 A w pobożnem serca drzeniu  
 Czujesz kroki ku zbawieniu...  
 Czujesz, czujesz, jak się zbliża,

Ku straszному drzewu krzyża;  
 On przejrzysty, nieujęty  
 Żadną pieśnią, a wrośnięty  
 W każdą duszę chrześcjanina.

Ruch niezwykły się zaczyna,  
 Pośród wiernych... wytrącony  
 Każdy z zwyczajnej kolei,  
 Jakby wszelki kątek ziemi  
 Ziemią stawał się Judej,  
 Znaczoną drogi krwawemi  
 Zbawiciela...

Milkną dzwony,  
 Wielka w sercu jakaś głusza...  
 Na Kalwaryi nagie wzgórze  
 Wielki pochód męki rusza...  
 Krzyż na szczycie... na tle burze,  
 Ciemność jakaś niesłychana,  
 Jakby skrzydła Lewiatana...  
 Na ciemności postać biała,  
 Wielka — ramiony krwawemi  
 Obejmuje przestwór ziemi...

W kościółku wiejskim dziadkowie  
 Grób jego lampami stroją,  
 Koronę ma z cierni na głowie,  
 U grobu rycerze dwaj stoją,  
 Od krzewów i choin zieleni  
 Bieluchne odbija ciało;  
 Wśród smętnych kościółka cieni  
 Gronko się prostaczków zebrało...

Na kłęczkach się suną, gdzie leży  
 Umarły, rozbity na krzyżu,  
 I słyhać szepty pacierzy...  
 I na cynowym talerzu  
 Grosz wdowi dźwięczy wśród ciszy,

U bogim dany w pokorze,  
 Może dźwięk Chrystus posłyszysz,  
 A na ubogich wspomnienie  
 Zbudzi się serce to Boże,  
 Które złamało cierpienie...

Może się zbudzi. Bez Boga  
 Straszno-by ludziom na świecie:  
 Patrz! Nadmiar ucisku gnucie,  
 Błada na twarzach ich trwoga;  
 Na rządy świata i ludzi,  
 Coraz się inny duch wdziera:  
 Dzisiejszy Bóg... jutro umiera.  
 A nowy gdzieś w cieniach się budzi...  
 I walcząc ramiony krwawemi,  
 W ruiny rozbija świat ziemi.

Patrz! W nieustannej ezermierce  
 Rozpękło szlachetne serce,  
 Przy czarnem sercu zbrodniarza.  
 Promień słoneczny bez duszy  
 W jednakie próchno je kruszy,  
 Zgniliznę z nich jedną wytwarza.

Pod sklepy nieba miedziane  
 Daremnie modła podlata,  
 Daremnie pięści, sciskane  
 Rozparzą, sterczą do góry;  
 Duchy męczeńskie nad chmury  
 Innego szukając świata,  
 Padają marnie w proch ziemi...  
 Nieba — już niema nad niemi!

Przed szeregami ludzkości,  
 Co goni szturmem w stulecia,  
 Niema sztandaru światłości,

Wawrzynu niema, ni kwiecia  
 Dla tych, co padli w pochodzie;  
 Przez ciemne tylko przestworza  
 Mkną błędne ognie chwilowe:  
 Za nimi przez krwawe morza  
 Goni naród po narodzie,  
 Syn na ojca stąpa głowę,  
 Giną w szalonym odmiecie,  
 Wołając w śmierci: Przekłęcie!

Ale nie! Wielkanoc przychodzi:

Nad ziemię moją skrzydłami  
 Wylatan w noc tę grobową.  
 Kościoły świecą grobami;  
 Pod płachtą ziemi śniegową  
 Zasiewy ziarna i kości  
 Czekają wiosny miłości.

Cisza... Przedranne już chmury  
 Przez niebo suną się sine,  
 Ból tęskny kędyś do góry  
 Wygnał skowronka, ptaszynę,  
 Wzleciał, rozspiewał się Bogu  
 U niebios jasnego progu.

Na hasło jego zbudziły  
 Bezlistne się gaje i lasy,  
 I słyhać ptaszące hałasy:  
 U strzechy, u śnieżnej mogiły,  
 Co cierniem obrosła i wrzosem,  
 Wołają gardzieli stugłosem:  
 O, zbudź się! zbudź, Chryste nasz miły!

Ptaszęcym chórem zbudzone  
 Cmentarne świerki i brzozy,

I wikle nadwodne, i lozy,  
 I bluszcze, w liście zielone,  
 Rzuciły na ruin kamienie,  
 Na kraty więzienia rzuciły,  
 Wołają w jedno westchnienie:  
 O zbudź się! zbudź, Chryste nasz miły!

Zerwały się wiatru powiewy  
 Przedranne, co wieszczą świt zorzy;  
 Na niebie się jawi blask Boży.  
 Wśród pieśni skowronka pieściwej,  
 Wśród ptasząt halasu i gwaru,  
 Wśród szumu gajów i wrzosów,  
 Cieniste bramy niebiosów  
 Czerwienią się w lunach pożaru.

Resurrexit, sicut dixit!  
 W niebo hymn tryumfu buja,  
 Zmartwychpowstał, jak obiecał,  
 Alleluja! Alleluja!

Święto samo i pieśni jego pominiemy, choć szkoda i żal pomijać.  
 A zobaczymy jeszcze wiosnę, pierwszą majową wiosnę na wsi:

Wiosna, psotnica uroczą,  
 Na pól wybiegła obszary,  
 Na nieba wyszła przezrocza...  
 Skrzydłami ptasząt niesiona.  
 Przodem przez lasy i jary  
 Z śpiewem kos leci urwanym,  
 Strzecha rolnika omszona  
 Wita się z białym bocianem,  
 Kukulka, zaklęta królowa,  
 Gdzieś szczęście w zaroślach chowa.

Kołodziejowe też czasy,  
 Zielono, gaisto i wonno!

W cudownej odcienia kraszy  
 Przystraja ziemi się łono.  
 Więc od błękitu na górach  
 Czarny odbija bór w dali,  
 Nad borem słońce w purpurach,  
 Jak stos ofiarny się pali.  
 Od boru, gdzieś ku dolinom,  
 Dębiny, brzeziny płyną,  
 Jaśniejsze liściem, wiejące  
 Ku trawom, ku kwiatom na łące,  
 Ku sandom, co chaty w szeregu  
 Ubrały w girlandę ze śniegu,  
 Ku polom, co skiby ciemnymi,  
 Sięgają w siną dal ziemi.

Polami, w przedświtach zorzy,  
 Na mgłach, co wioną przez lany,  
 Płynie o wiosnie mąż Boży,  
 Patron tej ziemi zoranej:  
 Wojciech w pobożnych drużynie  
 Ku ujściu Wisły tam płynie.  
 Za nim, w dni potem niewiele,  
 Z trumny w wawelskim kościele  
 Święty Stanisław wyrusza,  
 I trzykroć w krzyża znak święty,  
 Pasterską laską swą rusza,  
 Aby urodzaj poczęty,  
 Rozrodził obfitym się plonem  
 W ziemicy, której patronem.

I znowu pomińmy Zielone Świątki, a popatrzmy tylko, jak wiosna przechodzi w lato, jak Sierpień sprowadza żniwa i święto Wniebowzięcia.

Milkną majowe słowiki,  
 Szybko się roku bieg toczy,  
 W zbożowych łąkach koniki  
 W świerk nieustanny, uroczy,

Zawodząc nocą i dniami,  
 Zdają się pracy duchami,  
 Co z łona matki przyrody  
 Wywodzą urodzaj młody.  
 I pośród koników śpiewu,  
 Pośród strumyków szemrania,  
 Wiatr fale zboża przegania,  
 Od wiatrów się chylą przewiewu,  
 Kłosami coś szenrzą pobożnie,  
 A dążą do góry wielmożnie...

Przepiórka, wśród kłosów ukryta,  
 O żniwo się pyta a pyta.  
 Czerwcową, gorącą nocą,  
 Robaczki świecące migocą;  
 Jan święty cieniami pustyni  
 Roztwiera gościńce, rum czyni.

Piotr z Pawłem, Niebiescy włodarze,  
 Gotują stodoły do żniwa,  
 Skowronek na nieba obszarze,  
 Jak śpiewał, tak śpiewa i śpiewa...

Na nieba letniej pogodzie,  
 Pośród bieluchnych chmur wefny,  
 Ponad gajami w ogrodzie  
 Przechadza księżyc się pelny;  
 Na rzekach mosty złociste,  
 Drżącym buduje promieniem,  
 Łany szerokie, kłosiste,  
 Świetlanym obejma pierścieniem.

A morzem kwiatów i kłosów,  
 Chmurek bieluchnym odmgętem  
 Przechadza się Pani niebiosów  
 Z dzieciątkiem na ręku świętem:



To w gronie aniołów królowa,  
 To w śnieżny rańtach twarz chowa,  
 Aż długą tęsknotą znużona,  
 Podniosła ku niebu ramiona:  
 Księżyc u stóp Jej się ściele,  
 Aniołów noszą ją chmury,  
 I szaty ją same do góry  
 Na wieczne prowadzą wesele.

A tłumy tam ziemi sieroce,  
 Podnoszą ziola, owoce,  
 Kłosiste snopy podnoszą,  
 Do Tej, co wiecznie szczęśliwa,  
 Ku Bożym nieba rozkoszom,  
 Pierwsza żniwiarka przybywa.

Jesteśmy z temi dziełami w roku 1868: niebawem zaczną się prace i obowiązki, które będą poetę odrywały od tworzenia. Sprawa utworzenia katedry historii polskiej przy uniwersytecie krakowskim jest w toku: wskazany głosem publicznym kandydat, cały czas, jaki mu zbywa od zajęć poselskich w wiedeńskiej Radzie Państwa, musi obracać na przygotowania przyszłych wykładów. Zaczęły się one w roku 1869, a jak zwykle w takich razach, w robocie dopiero poznaje się ogrom roboty, rozszerza się jej zakres, rosną jej wymagania, odkrywają się niedostatki w sobie samym: trzeba się douczać, dopełniać, dopędzać... profesor marzy tęsknie o swoich zamierzonych dramatach, ale zacząć ich, zaczętych dokończyć nie może. Książm in leży w tece. leżą przekłady Eschyla, Opaliński ani się nie zaczyna pisać dalej.

Schodzi tak lat parę; a tymczasem spoczynku i wolnej głowy coraz mniej, pracy nie ubywa, ale przybywa. Towarzystwo naukowe ma się przemienić w Akademię Umiejętności, starania idą dobrze, może się powiodą. Ale trzeba zawczasu wiedzieć, przygotować, co to będzie i jak? Zrobić dla siebie naprzód, potem dla zatwierdzenia projekt przyszłej organizacyi i program przyszłych czynności. Jeszcze nikt nie wie, może się nawet nie zastanawia nad pytaniami, kto będzie sekretarzem tej przyszłej Akademii, ale już i czynność Szujskiego jest ciągle potrzebną do przedwstępnych narad i kroków, i czas jego bardzo tą sprawą zabrany. Jeszcze nierównie więcej, od chwili, jak akademii stanęła i weszła w życie.

Ale na krótko, na parę miesięcy przed jej otwarciem musiał przecie, a do tego zaledwo wstając, nawet nie wstając jeszcze z bardzo ciężkiej choroby, napisać nowy dramat.

Miała się obchodzić czterechsetna rocznica urodzenia Kopernika. Dla naszych ciał naukowych, dla miasta Krakowa, nie tylko z prawa i uczucia, ale zważywszy spory o Kopernika pochodzenie i przekonania, z konieczności obowiązek, żeby ta rocznica obchodziła się uroczystie.

Prace i wydawnictwa na tę pamiątkę, nadzwyczajne publiczne posiedzenia Towarzystwa i odczyty, to dla niektórych, dla uczonych. Ale dla ogółu co? Dla ogółu był obraz Matejki na zawsze — na jeden dzień, czy wieczór miało być przedstawienie w teatrze. Okolicznościową sztukę podjął się napisać Szujski.

Napisał taką, że w teatralnem widowisku wydała się bardzo dobrze — ale w czytaniu i rozważaniu wydaje się lepiej, i na jeden wieczór napisana, godna jest i ma wszelkie po temu warunki, iżby w pamięci ludzkiej i w literaturze została na zawsze, taka jest rozumna, ważna myślą, a uczuciem wysoka.

Zrobić dramat z Kopernika? dramat o astronomicznych odkryciach? Zadanie nie łatwe. Co począć z taką treścią? „Ode o Koperniku“, jak Osiański, i lepiej od niego, to jeszcze napisać można: ale dramat o obrocie ziemi naokoło słońca?

Szujski treść znalazł i trudność rozwiązał.

Napisał rzecz o obrocie nie ciał niebieskich, ale ziemskich myśli i dziejów okolo prawd i zasad niezmiennych i niewzruszonych, o kwestyi wiecznie trwającej i powracającej, stosunku rozumu do wiary. W czasach Kopernika właśnie wybuchła ta kwestya potężnie, jak nigdy przedtem; miała dwie formy, dwie strony, odrodzenie nauk klasycznych i rozpoczętą już, jeszcze ze skutków nie poznaną, reformację Lutra. W czasach Szujskiego kwestya ta sama stoi przed nami, tylko dojrzała w swoich następstwach, głębsza w dążeniach, potężniejsza w szturmach, bo nie o zmiany w nauce chrześcijańskiej chodzi, tylko o samą jej podstawę i istotę: nie o namiestnika Chrystusowego, ale o Chrystusa samego — o istnienie Boga samego i jego bóstwo, o duszę w człowieku. W czasach Szujskiego zaś było widocznem i dowiedzionem, że po kwestyonowaniu i zachwianiu budowy prawd bożych, przyszło stopniowe zachwianie i ludzkich sumień, i budowy ludzkich społeczeństw, a gdy człowiek sam został jako sędzia i prawodawca swoich żądz i uczynków, musiał z czasem objawić i sformułować zasadę „siła przed prawem“.

To nowe objawienie, skutek ówczesnej reformacji, przez Kopernika przewidziane, jest treścią jednego aktu, jaki Szujski wtedy

napisał, a razem związkiem jego i przystosowaniem do późniejszych, nie kopernikowych czasów.

Mędrzec wykończył właśnie swoje dzieło o obrotach ciał niebieskich, młodego ucznia i przyjaciela wysyła do Rzymu, żeby dzieło złożył Papieżowi. Ten uczeń, Szwajcar, Reticus, rwący się i zapalony do nowych nauk, spodziewa się i wierzy, że Kopernik w konsekwencji swojej myśli będzie musiał staować po stronie tych nauk. Stary kanonik, Ferber, cenzor ksiąg duchowych na dyecezyę warmińską, cierpkim słowem, a ciasnym umysłem chce mędrca wstrzymać od ogłoszenia dzieła. Ta dysputa między pojęciem szerokiem i trafnem religijnych prawd i obowiązków, stosunku wiary do rozumu i wiedzy, jest jedną z rzeczy ważnych w tym dramacie.

FERBER.

Dzieło o niebie, o słońcu i ziemi?

KOPERNIK.

Tak. O gwiazd ruchu.

FERBER.

Wiem, żeś długie czasy

Pracował nad niem, nocami długimi  
 Na frauenburskiej wystawając wieży.  
 A wieść posępna między ludzi bieży  
 O dzieła twego twierdzeniach i treści.  
 Mówią, że w dziele, ku wielkiej boleści  
 Matki kościoła, są tezy fałszywe,  
 Pismu świętemu przeciwne, drażliwe,  
 Błędne, rozumów tełnące ludzkich pychę,  
 Pole dające herezyom i grzechom.  
 Człek też wątpliwej, ba! bluźnierczej wiary,  
 Ma powieźć światu te szkodliwe dary,  
 Nicopatrzone Kościoła uznaniem,  
 Tełnące zgorszeniem, tem większem, że na niem,  
 Na dziele zgubnej i przewrotnej treści  
 Sługi Kościoła nazwisko się miści.

## KOPERNIK.

Prawda zgorzeniem być świata nie może,  
Ja w dziele mojem śledzę prawdy Boże.  
Sumienie moje przed błędem je strzeże:  
Księga, świętemu Ojcu poświęcona,  
W nim szuka mistrza, obrońcy, patrona.  
Uczonych rzymskich grono ją rozbierze.  
Tu pod rozsądek dawać jej nie mogę,  
Bo nikt nie wchodził z was na moją drogę,  
Nikt gwiazd nie badał.

## FERBER.

        Lecz każdy z nas bada,  
Pismo, i każdy na tyle posiada  
Teologicznej wiedzy, miły bracie,  
By wskazać, żeście z pismami w rozbracie  
Świętami: każdy z Jozuego księgi  
Powie, że Pan Bóg ognistemi kregi  
Słońce ze wschodu na zachód prowadzi,  
Ażebym ziemskiej świeciło ezelandzi;  
Że ruszać ziemię, a słońce wstrzymywać  
Jest bluźnić, Boży cud kłamem nazywać!

## KOPERNIK.

Kiedym ja dowiodł w oskarżonem dziele  
Że ziemia koło słońca się obraca.

## FERBER.

Czartowski obłąd, archaniołów praca  
Spadłych, pysznego szatana wesele,  
Pokusa, którą w raj u zgubił ludzi!

## KOPERNIK.

Nie! Bóg, nie szatan, badawczego budzi  
Ducha w stworzeniu; Bóg, co rozum daje,

Jego użytku zakazać nie może;  
 Gdybyś w gwiazdziste poszedł ze mną kraje,  
 Gdybyś tam ze mną badał dzieła Boże,  
 Widziałibyś jasno, jak ten dzień, co świeci,  
 Że mówię prawdę.

FERBER.

A pismo? raz trzeci

Pytam o pismo?

KOPERNIK.

Cheesz, by Pismo święte,  
 Co wielkie drogi wskazuje zbawienia,  
 Co rozumowi głosi niepojęte  
 Prawdy, ratując słabość pokolenia  
 Ludzkiego, z ziemią prawa niebios wiąże.  
 Było zarazem ducha wyręceniem,  
 Wiedzą o wszystkim, nauką, natchnieniem?  
 Cheesz, aby było nieustannym cudem,  
 Prawd skarbcem, które myśli zdobyć trudem  
 Człek może, skazan przez Boga na trudy?  
 Cheesz, aby człowiek, patrząc na te cudy,  
 Nie miał zasługi wiary, walk zasługi?  
 Nie! Nie! Wbrew tobie stanie szereg długi  
 Ojców Kościoła, mędrców i badaczy,  
 Spory uczone i walki Kościoła:  
 Ten szereg z księgą gdy mnie nią zobaczy,  
*Ecce haeresis!* na nią nie zawola!

FERBER

(*ponuro*).

A jednak Kościół, Matka nasza święta  
 Umiał być groźnym dla tych, co wzruszali  
 Pismo! Na stosie doktor Huss się pali,  
 Doktora Lutra płoną argumenta.

Sawonaroli nawet habit biały  
 Chronić nie zdoła, Świat dzisiaj zuchwały  
 Zgorszenia pełen i szatańskiej pychy!  
 Do nieba piętrzy się śmiertelnik lichy,  
 I w chmury stawia babilońskie wieże,  
 Aż Bóg pomiesza i rozum odbierze.

KOPERNIK.

O, i mnie bolą te głosy niestrojne  
 Świata, bunt ducha, co wstrząsa narody,  
 Mnie, com zapatrzon w niebiosa spokojne,  
 W odwieczny przykład harmonii przyrody!  
 Com się pokory pod niebios sklepieniem  
 Uczył, proch marny w stworzenia bezdeni,  
 O, i mnie boli, żeśmy w tej przestrzeni  
 Odwiecznem ładu i rządu przeczeniem.  
 Ale pociechą, gdym spojrział po ziemi,  
 Zdala mi Piotra kopuła jaśniała,  
 Jako sklep niebios okrągła, wspaniała,  
 Nad wątpiącymi i nad wierzącymi  
 Błogosławieństwa krzyżani stercząca,  
 Forteca prawdy, miłośniczka słońca!  
 Ty gromy liczysz z wysokich jej szczytów:  
 Promieni łaski ja zliczyć nie mogę,  
 Które sypała na nauki drogę  
 Od tego krzyża wśród włoskich błękitów!  
 Tej, której bramy piekła nie przemoga,  
 Rozumy ludzkie przestraszać nie mogą.  
 Pod jej też cieniem przyjaźnej otuchy  
 Stóleci wiedza szukała opieki:  
 Wstały z grobowisk starożytnych duchy,  
 Wstały Rzymiany uczone i Greki,  
 Dzięki opiece Juliusza, Leona,  
 Wstał duch Homera, Hipparcha, Platona!

FERBER.

Nieszczęsne czasy! Oblęd oplakany!  
 Który herezyi staje się przyczyną;

Naprzód Platony, Greki i Rzymiany,  
Potem Erazmy i Lutry nam płyną.

## KOPERNIK.

Wiara Chrystusa, jasne światło Boże,  
Przed żadnym duchem przestrzeni stóleci  
Cofać się, lękać żadnego nie może,  
Jak probierz prawdy dla każdego świeci!  
Ona każdemu sądem lub zbawieniem!  
Krzyż, odkąd stanął nad ludzkim plemieniem,  
Ludy i duchy do walki wyzywa:  
Mierzy się z każdym, wewnątrz mu rozkrywa:  
Każdy boleścią, co mu serce kraje,  
Walką, tęsknotą, natchnienia podrywem  
Wielbi go, niby Dawidowym śpiewem —  
Życiem i śmiercią świadectwo mu daje!  
Co ludzkie, rwie się ku krzyża ramionom  
Modlitwą, żądzą wiedzy, szczęścia żądzą,  
Cnotą cnotliwi, przeczeniem, co błędzą,  
Piekło pokusą ludzkości stawioną  
Rwie się pod Chrysta ramiona olbrzymie,  
Bo wzruszył wszystko... bo mu Bóg na imię!

Ale to nie jedyna walka. Albrecht, Wielki Mistrz krzyżacki, jeszcze nie złutrzonej otwarcie, ale już świadomy dobrze tego, co zrobi i gdzie mierzy, chce skorzystać z szerzących się w Warmii religijnych nowości, żeby wywołać rozruch, kraik ten niby dla uspokojenia zająć i od Rzeczypospolitej oderwać. Albrecht nie przypuszcza, nie pojmuje, żeby człowiek mądry, jak Kopernik, mógł naprawdę wierzyć, a chciał naprawdę wiernym zostać, wiernym Kościołowi i Rzeczypospolitej. Liczy na niego, jak na pewnego sprzymierzeńca: a że właśnie po śmierci biskupa Kopernik jest administratorem diecezji, więc przychodzi do niego sam w swojej osobie, z propozycją, żeby mu zdał opiekę nad Warmią.

Kopernik zrazu nie rozumie, nie przypuszcza takich rozmiarów złego, takiego wylamania się z pod praw sumienia i honoru: myśli, że Mistrz chce swój przeżyty zakon odrodzić:

## ALBRECHT.

Po myślach wiążą się w przymierze  
 Stany i ludzie, mieszczany, rycerze,  
 Księża i mnichy, pany i książęta,  
 By walczyć wspólnie, wspólnie kruszyć pęta,  
 By wznieść do góry, co do życia dąży.  
 Przyszedłem do was, myśli mej chorąży,  
 I poświęcenia szukam waszej dłoni.

## KOPERNIK.

Do wojen krzyża myśl nareszcie kłoni  
 Rycerski Albrecht! Szczęśliwe natchnienie!  
 Gorąco sprawę polecę królowi,  
 Czekają Rusi szerokie przestrzenie  
 Oddane na łup Turcyi i hanowi,  
 Tam, wedle rady Łaskiego dojrzałej,  
 Zakon, znalazłszy cel, niech szuka chwały!

## ALBRECHT.

Uczony mężu, czy w zakon wierzycie,  
 Czyli szyderswem rzucacie mi w oczy?

## KOPERNIK.

Wy człowiek młody, w tej piersi jest życie,  
 To życie może krzyż zakonny tłoczy,  
 Stąd wasze walki, szarpania, podróże,  
 Niewdzięcznie w kraju podźgnięte burze!  
 Jeźliście z krzyżem pogodzili oczy,  
 Jeźli wam duszy spokoju udzielił;  
 Czemużby zakon z tej piersi nie strzelił  
 Odrodzon, gotów do świętej posługi?  
 Czemu w was nie wstał założyciel drugi?



## ALBRECHT.

Takiej mi Pan Bóg łaski nie użyjeza.  
 Młode ramiona szata zakonnicza  
 Przygniotła, teraz, kiedy pomeźniały,  
 Agrafta płaszeza spękała w kawaly.

## KOPERNIK.

Jeżli zbyt młodo składaliście śluby,  
 Jeżeli krzyża unieść nie możecie,  
 Papież, od wiecznej ratując was zguby,  
 Może pozwoli, że krzyż ten zdejmiecie.

## ALBRECHT.

Inaczej ludzie, niewierni swym wołom,  
 Dzisiaj habity i ornaty miotają.

## KOPERNIK.

Tak — jeżli wiary nie pomną i cześci.

## ALBRECHT.

Nie — oni pomną, co wiek świata wieści,  
 Co duch ludzkości w głębiach swoich chowa...

## KOPERNIK.

Starsze od wieku są sumienia słowa!

## ALBRECHT.

Czyn dokonany dzisiaj światem włada!

## KOPERNIK.

Lecz zradą dotąd pozostała zrada.

## ALBRECHT.

Odwaga czynu zradą się nie zowie,  
 Niepodległymi bywali mistrzowie,  
 Cesarstwu tylko korni i papieżom;  
 Dziś z woli Rzymu, z cesarstwa słabości,  
 Do sarmackiego królestwa należą.  
 Jeżeli do dawnej przywrócę wielkości  
 Niemieckie imię, w brew sarmackiej pięści,  
 Jeżeli mym myślom zmienny los poszczęści:  
 Zrada dzisiejsza jutro w laur wyrośnie,  
 By moje czoło otoczyć radośnie.

## KOPERNIK.

Czy mnie ostrzegasz, czy pomocy mojej  
 Wzywasz?

Zaczyna rozumieć: a za chwilę zrozumie już zupełnie, i odpowie.

## ALBERCHT.

Nie! w kanonicze szaty przyodzianu  
 Człek wielki, chluba uczonego świata,  
 Człek wielkiej miary, co się duchem brata  
 Z najwspanialszemi stulecia duchami,  
 Człek, który siłą będzie między nami!  
 Wiesz jaka otchań pod stopy waszemi,  
 W stallach katedry śpiący kanonicy!  
 Katedra pusta, głuchy gwar ulicy,  
 Miesza się tylko z psalmy szeptanemi  
 Z starych brewiarzów: dzwon wielki kościoła

Woła na modły, lecz napróżno woła.  
 W ustronne domy biskupiego miasta  
 Śpieszy mieszczanin, dziecię i niewiasta,  
 A psalm z nowymi mistrzami nucony  
 Przynęca silniej, niżli wasze dzwony!  
 Jeżeli tym mistrzom hasło będzie danem,  
 Rozpęknie kościół, uderzon taranem  
 Psalmu, co z piersi ludu tego wzlata;  
 Spadnie z mych ramion zakonnicza szata,  
 Pożar, co Prusy, Pomorze zapali,  
 Kościół i władzę Polski tu obali.  
 Człowiek, co myślą potężną swą sięga  
 Dalej niż Luter, niżli biblii księga,  
 Feniks z popiołów tej starej budowy,  
 Jeden wstrzymuje cios — dawno gotowy!  
 Dłoń, co się porwie na takiego męża,  
 Jest zwyciężona — nawet gdy zwycięża.  
 Więc ją podaję! niech pracę mą dzieli  
 Duch, starą ciemność co światłem przenika,  
 Między imiony oswobodzicieli  
 Przy mnie niech stanie imię Kopernika.

## KOPERNIK.

*(w najwyśszem oburzeniu).*

Kto ci dał prawo, ty! bez czci i wiary,  
 Przychodzić do mnie z takimi ofiary?  
 Kto ci dał prawo plwać na mą sukienkę  
 Duchową, z mnichem mieszać mnie wywłoką?  
 Kto ci dał prawo myśleć, że potokom  
 Czasu nie stanę mężnie oko w oko,  
 Że im zdradziecką chęć podawać rękę?  
 Kto ci powiedział, że zetnę to znamię,  
 Które na wieki mnie z kościołem wiąże?  
 Kto ci powiedział, że przysięgę złamię,  
 Którą polskiemu złożyłem królowi?  
 Jurgieltów obcy nie dawał mi książkę,  
 Zdrad nie knowałem przeciwko tronowi,  
 Pokrewieństwami nie zdobyłem zdradnie  
 Zaszczytów moich, by ważył przycehajony  
 Pokąsać rękę, która mnie podniosła:

Bogu i Polsce służyłem przykładnie,  
Albrechtowego nie znając rzemiosła!

## ALBRECHT.

Kto mi dał prawo? mędrzeze hipokryto!  
Ty sam! — nauką twoją i żywotem,  
Ty sam twą głową nad współczesnych wzbiją,  
Częstszą pod niebios gwiazdzistym namiotem,  
Niż pod ponurem kościoła sklepieniem;  
Ty sam myślami, co płyną strumieniem,  
Z twego odkrycia wiatry Boreasza,  
Aż się oburza mistrz, aż się przestrasza!  
Mędrce pogańscy w duchownej sukience,  
Obalający wiarę w cichej celi,  
Wy chcecie, aby podnoszącym ręce  
W kłamanej modle, w augurskiej postawie  
Ludzie do głębi sumień nie zajrzeli?  
By nie wywlekli, co bije jaskrawie  
Z ocz powleczonych obludy zasloną:  
Nie! w ucznia twego szczerych oczach płoną  
Te myśli, ludu wzruszają sumienie.  
Nie wstrzyma burzy, co huezy straszliwa,  
Roztropność żadna, żadne zastrzeżenie:  
Jak proch strzelniczy, co Szwarca rozrywa,  
Myśl, ukrywana w głębi twego łona,  
Zwróci się na cię, sztuki twe pokona!

## KOPERNIK.

Jaka myśl? Cóżeś wywiódł z mej nauki?

## ALBRECHT.

Zasady mojej panowania sztuki,  
Ambicyi mojej bezpieczne schronienie!  
Patrzaj! przed tobą nie brakło obroży...  
Z niebios na ziemię zstępował rząd Boży,  
Chrystus biskupom powierzył go Rzymu,  
Wśród śpiewu psalmów i kadzielnic dymu,

Rzym na cesarzy i królów go zdaje,  
 W pierścien chrześcijaństwa wiążąc świata kraje:  
 Ty, mistrzu, lotne przypiąłeś mi skrzydła:  
 Wolnym od przysięg i ślubów wędziła!  
 Bóg wielki, słowa cofnięty twojemi,  
 Dojrzy zaledwie, co czynię na ziemi,  
 Jak mieczem śmiałym, co chrzęści o zbroję,  
 Z ciała chrześcijaństwa kęs sobie odkroję!  
 Zuchwałym bywał, kto śmiał; w jego duszy  
 Własnej paliło się światło katuszy;  
 Dziś Luter cnoty nie żąda, lecz wiary,  
 Ty w głębie niebios odsuwasz grom kary!  
 Za Lutrem z biblią pójdzie ludzi rzesza,  
 Za tobą każdy rozumny pośpiesza,  
 W bój o pierwszeństwo, o władzę na świecie.  
 Aż najsilniejszy mniej silnych rozmicie,  
 Aż na szalbierczych dawnych praw rydwanie  
 Rozumnej siły twarde herło stanie.

## KOPERNIK.

Krzyż, co od bluźnierstw na piersi się zgina,  
 Dzieje mi twego zakonu wspomina.  
 Jak ty, on kłamał przez mnogość stuleci  
 Hasła zbawienia, co na piersi świeci:  
 Obrońca wiary, żył świata rozbojem,  
 I pychę w czynach miał, co w słowie twojem!  
 Wtedy Bóg z niebios, Pan zastępów stary,  
 Zesłał nań Grunwald, archaniola kary,  
 Że dziś, po wieku, jeszcze nędznie kona,  
 W awanturnika upadłszy ramiona.  
 O! jeśli taką ma być przyszłość ziemi  
 Na czas—że cofnął ją Bóg w nieba tonie  
 Zolbrzymiałego światy bezdennemi,  
 A gasnącego w równych tobie łonie.  
 Tam w gwiazd przestworach ukryje on głowę,  
 Pan, co na wieki karę swą rozkłada,  
 A kiedy wzrosną Bogi twoje nowe,  
 Pycha rozumu podrośnie i zdrada,  
 Zbliży się z światów nieskończonych dali,  
 Drugim, straszniejszym, was Grunwaldem spali!

## ALBRECHT.

Wpierw nim się wieków tych wysnuje wątek,  
Ty dzieła mego zobaczysz początek!

*(Ochodzi).*

Na spełnione nadzieje Albrechta patrzymy: na spełnienie przepowiedni Kopernika czy nie widać już jakich znaków?

Albrecht odszedł: mieszczenie, przez niego podszezuć, przychodzą uragać Kopernikowi. Jeden z nich, za kanonika przebrany, pędzi kijem chłopaka, przebranego za Ziemię, żeby biegł koło drugiego, przebranego za Słońce. Żartów, obelg, nawet bluźnierstw, naturalnie, nie brak. Ale smutno się kończy ta karnawałowa zabawa. Administrator dyecezyi uważał dawno, że niepokój w mieście może wyrosnąć na rozruch, i uprzedził: oddział wojska wchodzi do Frauenburga właśnie w chwili, kiedy gawieź wdarła się do Kopernika. Gawieź pierzcha. Albrecht, naturalnie, jako wierny lennik, przyszedł tu po to tylko, żeby ją w karbach porządku utrzymać! Ledwo się to skończyło, odbiera Kopernik list z Rzymu, wiadomość od kardynała Schomberga, że Papież dedykację dzieła przyjmuje, a rychłego jego ogłoszenia pragnie:

„Prawdą Bóg wielki będzie pochwalony:  
„Głosisz ją: Rzym ją z radością powita.

ST. TARNOWSKI.

*(Dalszy ciąg nastąpi).*

---

# RICK I ROCK.<sup>1)</sup>

---

## P O W I E Ś Ć.

---

### XLIV.

— Nina! — odezwał się wreszcie książę słabym głosem po długim milczeniu, otarłszy oczy chustką.

Nina zaraz odstępowała od okna, którem przez cały ten czas wyglądała na ulicę.

— Nina! — powtórzył ciszej.

— Co?

— Ty się na mnie gniewasz?

— Nie...

— Szczerze?

— Ależ szczerze.

— Ale ty masz pretensję do mnie, że ci zakłócam spokój.

— I to nie. Ale kiedy widzę płaczącego mężczyznę, doznaję dziwnego wrażenia. Nic mnie to nie wzrusza, ale to nie a nie. Ja nie jestem taka twarda, jakbym zawsze chciała... Ale lzy... lzy... Nie, nie...

---

1) Patrz zeszyt kwietniowy.

To mi nie nie mówi... Mam ochotę wtedy przedrzeźniać się, jak to robią małe dzieci... Skrobać marchewkę na paluszku i wolać: zyg—zyg—zyg...

Księżę westchnął głęboko.

Potem podszedł do Niny, ujął jej rękę, pocałował z pokorą i powiedział:

— Przepraszam cię...

Nina roześmiała się wesoło i sympatycznie:

— Niema za co, — odrzekła.

Potem przyprowadziła księcia do kanapki, kazała mu usiąść, sama usiadła obok niego i przyjacielskim głosem zapytała:

— Więc już koniec?

Księżę szybko przyłożył chustkę do oczu po raz ostatni, i energicznie ją zaraz wsunąwszy do kieszeni, powiedział:

— Koniec... koniec... Widzi pani, że mam oczy suche zupełnie.

— To bardzo dobrze. A teraz proszę mi powiedzieć, skąd ten atak rozpacz? Dlaczego księżę czujesz się dziś mianowicie nieszczęśliwszym, niż zwykle, niż wczoraj i onegdaj naprzykład...

— Pani o to pyta?

— Pytam, bo nie wiem.

— Przez istotną ciekawość, czy też przez okrucieństwo?

Nina oparła łokcie na kolanach, a policzki na dłoniach,—była to ulubiona jej poza.

— Tym razem, wyjątkowo, przez istotną ciekawość.

— Więc pani powiem...

— Bardzo będę wdzięczna.

— Choć słowa moje są tu tak zbyteczne.

— Jednakże...

Księżę chciał coś powiedzieć, ale widocznie nie mógł. Słowa wzięły mu w gardle.

Więc tylko oczyma wskazał na portret, stojący na stalugach, a kiedy Nina nie od razu zrozumiała wymowę tego spojrzenia, wyciągnął w kierunku portretu rękę.

— Ah! — rzekła.

I przez chwilę milczała, jakby przekonana, że dzisiejsza rozpacz księcia nie była prostą tylko „sceną“, tak bezpodstawną, jak dotychczas sądziła.

Wreszcie zapytała:

— Więc cóż z tego?

Księżę odzyskał wreszcie spokój i panowanie nad sobą.

— Co z tego? pani pyta,—odpowiedział zwykłym już, łagodnym głosem, w którym brzmiał poważny smutek.—To oto, żem żył dotych-



czas nieszczęśliwy, ale, względnie spokojny. pocieszając się choćby myślą, że dopóki w domu pani pierwsze miejsce zajmuje „Pasza“, serce pani jest wolne. A pomimo wszystkiego, żywiłem w głębi jakąś iskierkę malutką nadziei. Teraz zaś, teraz...

Urwał, bo głos mu nagle przelamał się, a łzy na nowo zakręciły pod powiekami.

Nina odwróciła głowę od księcia, i przybrała wyraz twarzy poważny.

Księżę czekał na jej słowo.

Ale ona widocznie nic mu na to nie miała do powiedzenia.

Widząc więc, że się niczego nie doczeka, przemówił:

— Nina! Pani temu nie przeczysz?! Pani temu nie przeczysz?!

Nina wzruszyła ramionami.

— Pani temu nie przeczysz?! — powtórzył.

— Nie!—odpowiedziała mu wreszcie krótko, szorstko i nieprzyjemnie.

— Więc... więc... pani potwierdzasz... potwierdzasz?..

Odpowiedziała tymże tonem:

— Tak.

Księżę wstał i zawołał silniejszym głosem, z gestem tragicznym:

— Oto więc jak wygląda człowiek, który dostąpił szczęścia zostania kochankiem dumnej i niezdobytej Niny!

Nina poruszyła głową:

— Oh! Kochankiem!

Księżę jakby czekał na jedno jej zaprzeczenie.

— On nie jest twoim kochankiem?

— Nie.

— Nie? Doprawdy?

— Nie i nigdy nim nie będzie.

Księżę usiadł przy Ninie i łagodnym głosem, z nową nadzieją, rzekł:

— Nie rozumiem cię, Nino.

— On będzie moim mężem.

Księżę zdumiał się.

— Mężem?

— Mężem.

— Ty chcesz wyjść za mąż?

— Chcę.

— Za tego akrobatę?

— Tak.

Księżę umilkł zadziwiony.

Potem znowu zapytał, jakby niedobrze zrozumiał słowa dziewczyny.

- Pani chcesz wyjść za mąż za zwyczajnego akrobatę?
- Lorenzo nie jest wcale zwyczajnym akrobatą. To artysta.
- O! Artysta!
- Tak, artysta. I wielki artysta.
- Hm, wielki?!..

— Księżę się na tem nic nie rozumiesz. Proszę zapytać Lovella.

- I to fakt?
- Fakt.
- Fakt?! Postanowiony?!
- Postanowiony.
- Pani się dobrze namysliła?
- Wcale się nie potrzebowałam namyslać.

Księżę ujął ją za rękę:

— Pani! Nino! — przemówił z perswazyą. — Niech pani nie dziwi się, że ja tak się o to dopytuję. Ale ja nie jestem w stanie dobrze zrozumieć postanowienia pani, i dlatego wydaje mi się ono nie dość należyte przez panią obmyślane. Powiedział-bym, że to jest *un coup de tête*, gdyby nie to, że znam panią zbyt dobrze i wiem, że nie rządzi się pani przy pomocy *coups de tête*. Ale, panno Nino, Nino, ty?! Ty?! Chcesz wyjść za akrobatę? Ty?! Która-byś mogła zrobić karierę, jaką-byś tylko chciała?

— O! Wyjść za mąż za Lorenza, to jest duża karyera.

Księżę popatrzył na nią w milczeniu.

Rzekł wreszcie:

- Pani go kochasz?!
- Kocham, — odpowiedziała po prostu.

I ze słodkim uśmiechem zwróciła twarz w stronę stalug, na których stał teraz duży, czerwienią rysowany, portret Barana.

- Pani go bardzo kochasz?!
- Czy ja go bardzo kocham? Lorenzo, mój miły, mój złoty Lorenzo! Powiedz, proszę, jak ci się zdaje... czy ja cię bardzo kocham?

Księżę zerwał się z kanapy:

— O, jak pani inaczej teraz wyglądasz! — zawołał z goryczą. Nina źle sobie wytlómaczyła jego ruch.

Wstała także:

— Księżę już wychodzisz?

Księżę się trochę zmieszal:

- Nie... to jest... Czy pani-byś sobie życzyła, abym poszedł?
- Ale gdzież tam!

Usiadł więc książkę znowu, i wzięwszy obie jej ręce, począł je z wielką miłością do ust przyciskać:

— Ja cię tak kocham, Nino, ja cię tak kocham, — mówił cichym i wzruszonym głosem. — To jest moje ostatnie uczucie... Niewczesne, spóźnione... Sam wiem o tem dobrze... Ale tem bardziej je błogosławię, im mniej spodziewałem się, aby pierś moja uderzyła jeszcze taką siłą, jak bije mi teraz... I tem bardziej ci wdzięczny jestem za to, żeś potrafiła dokazać tego cudu... Ach! Nino... moja Nino...

Nina nie bronila mu wcale tych pocałunków, trzymając z dobrocią ręce swe przy jego ustach, dopóki sam tego pragnął.

On zaś całował jej piękne, białe ręce długo i namiętnie, od czasu do czasu odrywając usta od jej ciała, aby powiedzieć, że ją kocha więcej, niż potrafi to wyrazić, i że nigdy, nigdy nie zdoła o niej zapomnieć.

To wszystko uspokoiło go widocznie.

Głos stał się nareszcie równym, oczy ożywiły się nawet, a z twarzy zeszedł wyraz smutku.

— A powiedz mi, Nina, czy to się prędko już stanie?

— Co?

— To... małżeństwo.

— Trzeba będzie o tem na seryo pomyśleć.

— Czy ty myślisz wyjechać na ślub do Francji.

— Dlaczego miała-bym wyjeżdżać do Francji?

— Bo ty wiesz... u nas... w Austrii... niema ślubów cywilnych.

— Ja też chcę wyjść za Lorenza nie na żarty...

— Więc w kościele...

— Naturalnie, że w kościele.

Książę zrezygnował wreszcie. Spostrzegł, że to jest poważna i stanowcza decyzja Niny.

— Ty jesteś jednak niezwykła dziewczyna, Nino; ty nic nie robisz tak, jak inne. Nic na żarty. Zresztą, to nic dziwnego. Gdybyś nie była niezwykłą, nie był-bym cię pokochał tak, jak pokochałem.

Spojrzał jej melancholijnie w oczy.

— A powiedz mi, Nina, czy ja... czy ja panią zupełnie utracę wtedy?

— To już jak książkę będziesz chciał.

— A nie pomyślałaś o tem, aby mnie z tego powodu zupełnie i bez pardonu od siebie odpędzić?..

— Nie, nie pomyślałam.

— I wolno mi będzie kochać cię ciągle?

Odpowiedziała mu z łagodnym uśmiechem:

— Dopóki się to księciu nie sprzykrzy.

— I odwiedzać cię?

— To naturalne.

Książę spoglądał na nią z rosnącym zachwytem:

— I pozwolisz mi dbać o ciebie? Troszczyć się o ciebie? — pytał proszącym głosem.

— Pozwolę...

Pocałował jej rękę z uczuciem dziękczynności.

— Dziękuję, dziękuję, — powiedział wzruszony znowu. — Nina! Nina! Jaka ty jesteś dobra!

#### XLV.

— Tak jest... w samej rzeczy, — przyświadczył Lowell swoim cichym, miarowym głosem. — Nina nie jest trop canaille...

Trop canaille?!

Książę pomyślał sobie, że takie pochwalenie kobiety, tak pod wielu względami niezwykłej, jaką była Nina, nie wiele różniło się w gruncie rzeczy od prostej zniewagi.

I w odpowiedzi uczynił to, co od lat wielu już zwykł był czynić w razach, w których inni ludzie mieli zwyczaj oburzać się, unosić, lub choćby tylko protestować: — umilkł i uśmiechnął się.

Postanowił przytem wobec Lowella nie podkreślać tak wybitnych rysów szlachetności charakteru Niny, choć szlachetność była, dla księcia, jedną z najwybitniejszych cech tej nadzwyczajnej dziewczyny.

I ciągle tym samym tonem subtelnej uprzejmości, w którym książę umiał prowadzić długie, a przynoszące mu niemalą ulgę, rozmowy z Lowellem o Ninie, pomijając przytem wszelkie zbyt poufale i nie na miejscu pozory zwierzania się, rzekł:

— No, ale spodziewam się, mój kochany panie Lowell, że przynasz Ninie bez zastrzeżeń, że jest dziewczyną intelligentną. Więcej nawet, że jest rozumną, i to rozumną, jak rzadko.

Lowell potwierdził zdanie księcia, ale w potwierdzenie to nie włożył ani tyle ciepła, ani tyle przekonania, ile-by sobie książę w tej okoliczności życzył.

— Tak, niezawodnie, — rzekł — niezawodnie. Ona jest rozumną dziewczyną, zupełnie rozumną.

Lowella wogóle zajmowały więcej kwestye ogólne, aniżeli fakty konkretne, co chwilami psuło harmonię konwersacyi pomiędzy nim a księciem, który, jakkolwiek kwestyi ogólnych nie unikał, w rozmowie o faktach konkretnych przecież znajdował całą przyjemność dzielenia swych myśli.

Lowell też i teraz dał folgę swym zamiłowaniom:

— Nie wiem, czy książę raczył kiedy zastanawiać się nad tego rodzaju rozumem, jaki spotkać można, i nierzadko nawet, u pięknych dziewcząt, dla których jedyną szkołą, i jedynym nauczycielem było życie...

— Co pan chcesz przez to powiedzieć, panie Lowell?

— Ja się nad tem nieraz zastanawiałem i sędzę, że to jest rzecz dość dziwna. Skąd bo taka dziewczyna, która bez wahania napisze słowo: *d u s z a* przez *o* kreskowane, staje się prawdziwym, nieraz po prostu wytrawnym psychologiem? Jakim sposobem jest ona w stanie w ciągu paru lat, nieraz w ciągu paru miesięcy, zdobyć sobie, tak z powietrza, taki ogromny zapas mądrości życiowej? Lada okruczeństwa, który dla kogo innego, dla wykształconego mężczyzny naprzykład, nie był-by nawet lekcją, dla niej jest całym, wyczerpującym kursem. Całemi godzinami można z nią rozmawiać zajmująco, choćby się do niej nie miało żadnego interesu, taki to jest umysł giętki i błyskotliwy, pełen zazwyczaj miary i zdrowego sensu, wolny od wszelkich gwoździ i doktryn, tryskający jakimś żywym źródłem rozsądku. Za lada podrażnieniem płynie to źródło kaskadą, tak jakoś naturalnie i lekko, — zdaje się, że dla siebie, nie dla ludzi. Wszystko to, co człowiek zdobył sobie pod razami twardego pociągła losu, całemi latami nadstawiając grzbietu, czego doszukał się w książkach, zjadając całe biblioteki, czego się dowiedział tłukąc głowę o mury i kupując za cenę własnej krwi drogie tajemnice porządku naturalnego — wszystko to ona wie odrazu, na pamięć — i sto razy lepiej.

Książę słuchał uważnie i potakująco głową kiwał.

Uśmiechał się przytem lekko do wdzięcznej postaci Niny, która przez cały czas tej prelekcji stała mu, jak zaklęta, przed oczyma.

— Istotnie, są to wszystko doskonale zaobserwowane rzeczy. — rzekł, gdy Lowell zrobił pierwszą dłuższą pauzę.

— Ta mądrość jest naprzód dziwną, że przychodzi im sama, — podjął na nowo człowiek-waż, skłoniwszy się lekko księciu, w odpowiedzi na jego pochwałę. — Ale jest ona i jeszcze z jednego względu godną zastanowienia. Wydaje się ona do tego stopnia prostym attributem kobiecej piękności, że z tą pięknością zjawia się, z nią trwa i z nią mija.

Książę przestał w tem miejscu potakująco kiwać głową, ale słuchał w dalszym ciągu z jednakową uwagą.

— Ta mądrość boi się, zdaje się, szpetoty i starości, gdyż na widok pierwszej zmarszczki przerażona ucieka i przepada. Piękna kobieta równocześnie i równomiernie brzydnie i głupieje, — jakby to była dla niej zupełnie jedna i ta sama rzecz, a tylko dzięki jakiemuś niewytłómaczonemu złudzeniu psychologicznemu, przedstawia się pod dwoistą postacią. Intelligencya takiej damy, która zastanawiała ludzi intelligentnych, dowcip, którym błyszczała w gronie osób dowcipnych, jej rozum, przy którym uczeni swój własny tracili, wszystko to był bezpłatny dar przyrody, która go bierze, jak go dała. Wszystko to było tylko, jak się pokazuje wtedy jasno, jednym więcej czarem w tęczy uroków, jednym więcej klejnotem w koronie piękności, widmem, złudzeniem, wilczym dołem — jednym słowem, grubym szelmowstwem.

Książę marszczył czoło.

Ale Lowell tego nie spostrzegal.

— Mości książę, ja znalazłem sławną Charlotte Doreau, która dawała swego czasu rady pierwszym dyplomatom, która krytykowała i wprowadzała w modę artystów. Ludzie starsi, co ją znali, przyznawali jej zgodnym chórem zarówno olśniewającą urodę, jak i wyjątkowy rozum. Z jednego i drugiego nie pozostał ślad śladu. Rozmawiałem z nią przez godzinę: była potwornie brzydka i kolosalnie głupia.

Książę słuchał do końca spokojnie tych uwag, które nagle tak mętnem popłynęły korytem. A choć Lowell najwidoczniej w świecie, zajęty samą „kwestyą“, jak najdalej był od wszelkich możliwych alluzji, książę powziął podejrzenie, czy człowiek-wąż nie ma zamiaru dokonać na nim znanej i banalnej operacyi okulistycznej, która się zresztą nigdy nie udaje, zwanej: „otworzeniem komuś oczu“.

Rzekł więc bardzo uprzejmie, ale z pewną, niezwykłą u niego, stanowczością tonu:

— Kochany panie Lowell, niezawodnie masz pan głęboką rację. Ale czegoż to dowodzi? Że są na świecie złudzenia? Co do mnie, nie znam prawd prawdziwszych, nad złudzenia właśnie; ani też nie widzę w życiu nic rzetelniejszego, nad widma.

I dodał z udaną dobroduszością:

— A gdybyś mnie pan zobaczył kiedy przypadkiem pływającego po jeziorce złudzeń, proszę cię, zrób pan jeszcze dziurę w mojej łódce.

Lowell zrozumiał, trochę się zmieszał, ale widząc, że niema sposobu zapewnienia księcia o braku jakichkolwiek osobistych intencji we wszystkim tem, co mówił, poprzestał na skłonieniu głową:

— Nie omieszkam, mości książę, — odpowiedział.

## XLVI.

Kiedy Nina Pexio rzuciła się publicznie na szyję Ricka-Barana podczas przedstawienia w cyrku, ci, co ją znali mniej dobrze, powiedzieli sobie:

— O! Fantazyal!

I wcale tego nie brano jej za złe.

Ludzie uważali, że jest to rzecz zupełnie naturalna, a nawet potrzebna, aby piękna kobieta posiadała swe fantazyje, i aby od czasu do czasu popisała się z którą z nich w ten sposób, iżby wszyscy mieli przez czterdzieści osiem godzin o czem mówić.

Ci zaś, co bliżej Niny stali, zaczęli naprzód się dziwić, potem martwić.

Lowell tylko w swoim charakterze obojętnego obserwatora objawów życia, przeniósł odrazu fakt na grunt ogólny, wygłosiwszy sentencyonalną prawdę;

— *Que vouslez vous?*.. Kobieta jest istotą nieobliczoną...

Wkrótce jednak tajemniczy stosunek Niny do Ricka zaczął się „klarować“.

Nie była to fantazyja, ale efekt wspomnień dzieciństwa.

Ten akrobata, jak się jedni od Niny, inni od Barana, jeszcze inni od starej Mariquitty dowiedzieli, był niegdyś przyjacielem i obrońcą malej Niny, w czasach, kiedy dziewczyna była — jak mówi dziś — „brzydka, blada i chuda“. Bronił ją wtedy od katowania „ojczyrna“, bawił się z nią, kupował ciastka i cukierki.

Wszystko to na razie zachwycalo księcia Kahlensteina-Rotterberga, który doświadczenem okiem wytrawnego dyplomaty odkrył nową enotę w bogatej i tak duszy Niny Pexio.

— Ta kobieta... Jakie ona ma wdzięczne serce...

Zaczęli teraz ludzie z ciekawością przysuwać się do Barana.

I przekonali się, że jest to chłopiec cichy, prosty, dobry i naiwny. Co się tyczy zalet zewnętrznych, zbudowany był, co prawda,

wspaniale, poza tem jednak nie sposób w nim było dojrzec absolutnie żadnych kwalifikacyi na pogromcę bojującego rodu niewieściego. Jego miłe i rzetelne zalety wewnętrzne należały do tej właśnie kategorii, której kobiety nie poświęcają ani okruszyny swej cennej uwagi.

Zaś do oczu skaczącego nie było w tym człowieku nic.

Wszystko to wzięwszy pod uwagę, zaczęli się uspakajać głośni i cisi wielbiciele Niny.

Cytadela ciągle była do zdobycia.

Jedni więc, którzy nadziei nie utracili jeszcze, ochłonęli i naprawiać zaczęli swe środki oblężnicze. Inni zaś podreparowali upadłego ducha myślą, że miłą jest dla istoty ludzkiej rzeczą widok niepowodzenia tam, gdzie się samemu nadkręciło karku.

I ostatecznie to, co zrazu uważano jako fantazyę kobiety, zakwalifikowano do rzędu drobiazgów codziennych, któremi nie warto się było niepokoić.

Aż pewnego razu Lowell przyniósł do cyrku nowinę niespodziewaną i sensacyjną:

— Czy wiecie, że Pexio wychodzi za mąż?

— Co? Nina? Za mąż?

Otoczono go zaraz kołem.

— To fakt?

— Najautentyczniejszy.

— Za kogo? Za kogo?

Lowell nie śpieszył z odpowiedzią:

— Ba! Zgadnijcie!

Zaraz z jakichś ust kobiecych padło:

— Za księcia!

Męskie głosy zaczęły protestować:

— Cóż znowu?!

— Co za concept?!

— Także!

Kobiecey głos zaczął się bronić.

— Dlaczego-by nie? Proszę kogo? Czyż Nina była-by pierwszą artystką, która wyszła za księcia?

Lowell bawił się i milczał.

Zaczęto go napierać:

— Gadaj-że, Lowell!

— Nie chcecie zgadywać?!

— Za Nevadę! — rzekł ktoś.

— On żonaty! — odparł ktoś inny.

— Za ciebie, Lowell!

— Nie, nie za mnie. Nie zgadliście. Nina wychodzi za Barana.



- Za Barana?! To fakt?!  
 — Fakt! Ale wiecie, wychodzi naprawdę. Będzie miała w papierach: M a d a m e B a r a n e.  
 — Skąd wiesz?! Czy sama mówiła?!  
 — Słyszałem to przed chwilą z ust księcia Kahlensteina-Rotterbergera, jako rzecz postanowioną.

Głosek kobiecy pisnął:

— Mogła-by, co prawda, zrobić większą karierę.

Był to zresztą jedyny komentarz.

Inni przyjęli wiadomość tę sensacyjną, nie wypowiadając żadnego o niej zdania. W atmosferze, gdzie rozwijają się egzystencje tak bujne i odległe tak daleko od szablonów życia społecznego, jeden fakt jest równie dobry, jak i jakikolwiek inny.

## XLVII.

Wiadomość o zamążpójściu Niny, obiegając dokoła, trafiała od czasu do czasu o serce czule i zainteresowane w tej sprawie — i srogie w niem podnosiła burze.

Pewnego razu wleciał do pokoju Barana de la Rivière, a wleciał jak huragan.

— Baran! Baran! Czy to prawda?!

Baran przestraszył się:

— Co? Co?! — zapytał.

De la Rivière przewrócił tragicznie białka oczu:

— Ty się żenisz z Niną?!

Baran nie zdawał sobie ani trochę sprawy ze związku, jaki zachodzić może pomiędzy jego stosunkami do Niny, a niezwykłym usposobieniem jego artystycznego współnika.

Odpowiedział więc:

— Żenię.

I czekał, co dalej będzie.

De la Rivière chciał coś mówić, o coś pytać, ale nie mógł. Usta mu się trzęsły, jakby w napadzie febry.

Stał tak długą chwilę.

Baran stał także w milczeniu, ciągle oczekując na wyjaśnienie, co mogło tak przerazić de la Rivière'a.

Wreszcie de la Rivière zapytał:

— Kiedyż... ślub?

— Nie wiem.

— Nie wiesz? Jakto?! Żenisz się i nie wiesz, kiedy twój ślub?

Szyderstwo grało w jego głosie.

— Zapomniałem się zapytać Ninny, — powiedział Baran. — Ale dziś się zapytam.

— Dziś się zapytasz?! Dziś się zapytasz?!

De la Rivière dusił się niemal z wściekłości. Ona oddaje się całą, całą takiemu Baranowi, takiemu Baranowi, ona! A jemu, jemu, de la Rivière'owi z Saint Germain, nie raczy nawet przychylniejszego spojrzenia rzucić?! Nie! Świat chyba stanął do góry nogami. Baran?! Baran?! Ależ to nieledwie idyota?! Jak ona może rozmawiać z takim człowiekiem, który nigdy nic ciekawego do powiedzenia nie ma, który nawet nie rozumie, jeżeli jemu powie kto coś ciekawego?!

Co się jej w nim podobało do tego stopnia?!

I de la Rivière stoi naprzeciwko Barana, i raz jeszcze ogląda go i egzaminuje. Co za szeroka gęba?! Jakie czoło wązkie?! Jaka niekształtna i brzydka głowa?! A ten wyraz twarzy, ten wyraz...

Nie, ona zwaryowała chyba...

Baran przemawia wreszcie, widząc, że de la Rivière milczy:

— Co tobie jest?!

De la Rivière błysnął oczyma:

— Co mi jest?!.. Co mi jest?! Pytasz... Ty...

Wyglądał, jak człowiek przed atakiem apopleksyi.

Wybuchnął wreszcie:

— Co mi jest?! Nie tobie będę o tem mówił?! Ty-byś tego nie zrozumiał?! W twojej ciasnej mózgowicy to-by się nie pomieściło?! Nie dowiesz się, co mi jest, nie dowiesz!

I wybiegł, trzasnąwszy drzwiami z całych sił.

## XLVIII.

Do burzy też był podobny Silvio Nevada, gdy, dowiedziawszy się o nadzwyczajnem szczęściu, które spotkać ma Barana, wbiegł do saloniku, gdzie Nina drzemała, leżąc na kanapce.

— Nina! Nina!

Nina zerwała się szybko:

— Co się stało?

— Ty wychodzisz za mąż?! Ty wychodzisz za mąż?! Ty wychodzisz za mąż?!

Nina wytrzeźwiała szybko i zapytała surowym głosem:

— A cóż to ciebie obchodzi?!..

— Ty mnie pytasz?.. Co mnie obchodzi?!.. Ja od zmysłów odchodzę!

— Widzę to.

— Ja zabiję jego! Zabiję ciebie! Zabiję siebie!

— Zacznij od siebie, błaznie!

Chwycił ją za rękę.

— Nina! Powiedz mi przynajmniej jedno, ale szczerze, zupełnie szczerze. Powiedz mi, gdybym był wolnym, czy wyszła-byś za mnie?

Nina wyrwała mu rękę.

— Chociaż-byś był dziesięć razy wolnym, to-bym za ciebie nie wyszła. Nigdy, słyszysz? Dowiedziałeś się, czegoś chciał, a teraz się wynoś.

I ułożyła się napowrót na kanapce.

Ale Silvio nie myślał się wynosić.

— Nina! Nina! Ja tego nie przeżyję...

— Cóż zrobisz?

— Ja umrę.

— Światłość wiekuista niechaj ci świeci. Amen.

— Podła! Podła! Jesteś podła!

— Anie! Anie!

Zjawila się Anie.

— Pokaż temu panu drogę! I jak będzie chciał wrócić tu, to mnie nigdy niema, rozumiesz? A jak go kiedy wpuścisz, to oboje wyliciecie za drzwi!

## XLIX.

Francuskie przysłowie powiada, że noc często dobrą radę przynosi.

Ostatnia noc obfitą być musiała w dobre rady, bo i de la Rivière wstał spokojniejszy i Nevada mniej myślał o zbrodni, samobójstwie i ementarzu.

— Hm!.. może to i lepiej... — myślał de la Rivière.

I jakieś dalekie kombinacje układał w wyobraźni.

Spotkawszy też Barana, zgoła inaczej go przywitał dziś, niż wczoraj pożegnał.

— Jak się masz, miły! — zawołał, wyciągając dłoń z daleka i strojąc twarz w pogodny uśmiech.

Baran rad był, że de la Rivière się uspokoił.

Podał też mu rękę, nie myśląc odplacać nieprzyjaźnią za wczorajsze obraźliwe słowa.

-- No, słuchaj, Baran, przyjm ode mnie powinszowanie... najszczęśliwsze powinszowanie...

— Dziękuję ci.

— W czepku musiałeś się rodzić, bestyo jedna, bo wszystko ci idzie jak po maśle. Nie dość ci było mieć przyjaciela, takiego jak ja, którego ci wszyscy zazdrościli. Zachciało ci się jeszcze żony, i dostajesz prześliczną kobietę, jakiej ci znowu cały świat będzie zazdrościć. Wprawdzie Nina nie jest w moim guście, ja wolę jaśniejsze nieco... Ale przyznaję, że jest piękna, wyjątkowo piękna. I wiesz... wiesz... Ale ty, słuchaj, musisz tę uroczystość oblać. I zapowiadam ci z góry, uroczyste, że jak mi nie zafundujesz dziś, z racji szczęścia, które na ciebie spadło, obiadu, to ci oświadczam, że nosa nie pokażę na twoim ślucie.

— Ależ dobrze, dobrze... Proszę cię... Pójdziemy dziś razem na obiad...

— Ho! ho! nie tak prędko! Ty bo mi się dziś, moja rybko, nie wykręcisz lada czem. Ja wiem, gdzie w Wiedniu dobrze jeść dają

i ja cię zaprowadzę. A ułożę menu... No, zadziwisz się... A także muszę ci oświadczyć, że lada lura mnie nie napoisz...

. . . . .

Nevada zaś całe przedpołudnie strawił na wystylizowanie do Niny listu pokornego i rozplywającego się w przeprosinach; wyznawał, że był osiel, że wie, iż żadnych praw do Niny nie ma i żadnych też sobie nie rości, że żałuje swej gwałtowności, że wreszcie liczy na jej dobre serce i spodziewa się, iż mu wybaczy i nie tylko przyjsć do siebie pozwoli, ale nawet, wzięwszy jego pokorę i żal pod uwagę, sama go zawoła.

Nina wytrzymała go za karę przez trzy dni, poczem napisała do niego na swym bilecie wizytowym:

„Możesz przyjsć.“

Zjawił się grzeczny i skromny, jak dziecko, co dostało w skórę, i zapewnił Ninę:

— Już nigdy nie będę..!

Jego mina szczerze ją rozśmieszyła.

— No, pamiętaj—rzekła.

I wyciągnęła do niego obie ręce.

Rzucił się na nie łączywemi ustami; podczas, gdy je całował Nina mówiła poważnie:

— Należała ci się porządniejsza nauczka. Ale ja mam słabość do ciebie...

## L.

Dziwna legenda chodzić zaczęła od pewnego czasu po korytarzach i garderobach cyrku Luzzattiego.

Kto ją wprowadził? Niewiadomo. Każdy ją jednak opowiadał.

Legenda ta przedstawiała piękną i dumną Ninę Pexio w świetle śmiesznym...

Gdyby tej legendy dać wiarę, Nina, najpiękniejsza kobieta w całym Wiedniu; Nina, urocza mistrzyni w szkole wyższej jazdy; Nina, zakochana w koniach, a pogardzająca mężczyznami; Nina, której czarowi nie zdołał się oprzeć nikt, kto się do niej zbliżył; Nina, wspaniała Nina, okrutna Nina, niezwykciona Nina... nareszcie pozwoliła odezwać się swemu sercu.

Zakochała się.

Zdarzenie to, ciekawe może dla tych wszystkich drobnych dusz, co się interesują sprawami bliźnich swoich, nabierało tym razem interesu szczególnego, nie tylko przez wzgląd na popularność Niny, ale jeszcze i na ekscentryczność jej gustu.

W kim to ona się zakochała?!

Oh! w kim?!

W akrobacie, w pajacu, który jest człowiekiem ordynarnym i popolitym i którego mądrość cała siedzi w trapezie.

Poza trapezem jest on głupi, jak pień.

Wszystko to jednak jest „jeszcze nie“. Najciekawszym epizodem w tej awanturze to, że akrobata ani chce słyszeć o miłości najpiękniejszej kobiety w całym Wiedniu.

Ani chce słyszeć...

Nina szaleje za nim poprostu...

A on nic.

U nóg mu się włóczy...

A on nic.

Zapewniano, że raz prosiła go, aby raczył ją choć kopnąć nogą.

A on nawet nie raczył.

Wtedy Nina chwyciła się ostatecznego środka. Obiecała oddać mu cały swój majątek: nie licząc brylantów i kosztowności posia-

da ona w papierach publicznych siedemkroć czterdzieści pięć tysięcy franków. Wszystko to, byle się z nią chciał ożenić.

On na to przystał.

Nosił się bowiem oddawna z projektem wybudowania w Warszawie — pochodził z Warszawy — ogromnego własnego cyrku.

Gdyby nie ten projekt, mogła-by Nina rozbić o mur cudownie piękną swą głowę.

Ale teraz Nina szaleje ze szczęścia.

Drogo ją to kosztowało, ale zdobyła, co chciała.

I codzień spędza z nim długie godziny i nie posiada się z radości, gdy kto powie do niej o nim:

— Pani narzeczony...

Że księcia naciąga na coraz to większe summy, to się samo przez się rozumie.

Podobno marzeniem jej jest, aby dociągnąć majątek swój do okrągłej summy miliona.

Milion.

I będzie akrobata milionerem.

Ale ta perspektywa nie zdołała rozgrzać akrobaty. Jest ciągle zimny, jak bryła lodu, choć traktuje już przez agenta o kupno placów w Warszawie. Przywykł podobno już do czułych spojrzeń i słów Niny i tylko się jeszcze lekko krzywi, kiedy jej różowe usta ścielą słodkie pocałunki na jego czole.

. . . . .

— Nina?!

— Nina, mój drogi.

— Nina Pexio?!

— Ona sama.

— Eh! bajki.

— Dobry jesteś! Wszyscy to mówią. Idź tylko do cyrku.

. . . . .

- Nina?!
- Nina, moja kochana.
- To zabawne.
- No, nie dla niej...
- Co chcesz, trafiła kosa na kamień.
- To nie plotki?
- Prawda najzupełniejsza... słyszałem to od człowieka, który nigdy nie kłamie.

## LI.

Dzięki gadatliwości Mariquitty, mającej ściśle i nienastające stosunki ze wszystkimi babami cyrku, a także dzięki jej głupocie, która nie czyniła różnicy pomiędzy tem, co Ninie warto powtórzyć, a tem, co było-by lepiej i właściwiej zachować przy sobie, dowiadywała się Nina wszystkiego, co o niej mówiono na świecie.

A mówiono o niej dużo — i rozmaicie...

Bawiło ją to bardzo.

Zazwyczaj też dzień jej rozpoczynał się od wysłuchania wszystkich plotek z dnia poprzedniego.

Słuchała ich z zajęciem, ciekawością i poczuciem ważnej roli, jaką grała na świecie, — oparta plecami o poduszki łóżka i pijąc powoli, łyżeczka za łyżeczką, ranną czekoladę.

Mariquitta siadywała wtedy na krawędzi łóżka, ale nie długo wytrzymywała w pozycji nieruchomej; zeskakiwała więc i kręciła się po pokoju, potrzebując do illustrowania swych opowieści swobody całej swej figury.

Mariquitta lubiła opowiadać passyami, Nina lubiła passyami słuchać opowiadań o sobie i w ten sposób dzień mile się zaczynał dla obu kobiet, dla których teraz życie płynęło strumieniem zadowolenia.

Ale dzisiejszy zapas plotek był nietylko wyjątkowo obfity, lecz także i wyjątkowo nieprzyjemny dla pięknej dziewczyny.

Słuchała ich też Nina, marszcząc brwi i przestawszy pić czekoladę.



Kiedy zaś Mariquitta wyczerpała do dna swoją porcję, Nina wybuchnęła zdaniem krótkim, pełnym gniewu i pogardy:

— Bydło!

To dało jej spokój i równowagę. Teraz dopiero wróciła do swej czekolady i zawołała, aby przygotować jej kąpiel.

Wróciła z wanny świeża i pachnąca lewandą, w różowym, jedwabnym, leciuchnym i obfitym szlafrocisku, maskującym zupełnie piękne jej kształty, i ułożyła się na kozetce, podawszy z roztargnieniem ręce Mariquicie, uzbrojonej w cały arsenał narzędzi do czyszczenia i polerowania paznogi.

Była zamysłona.

I tym razem nieustanny turkot słów Mariquitty zamysłu nie to przerywał i drażnił ją.

— Moja mamó—poprosiła łagodnie Nina—niech mama już na teraz da spokój. Resztę opowie mi mama jutro.

— Dobrze, dobrze, moje dziecko—zapewniła ją z pośpiechem Mariquitta, ujęta łagodnym tonem córki—jeżeli ci się to niepodoba nie powiem już ani jednego słówka, ust nie otworzę, poprostu nie wypuszczę pary z gęby. Będę siedziała cichutko, jak mumia, choć mnie proszę zaraz tu odfotografować.

Umilkła rzeczywiście na chwilę.

Ale zaraz uznała potrzebę wytłómaczenia się ze swego wielomówstwa.

— Przecież jeżeli ja ci opowiadam to wszystko, moja Nineczko, to tylko dla tego, żeby cię zabawić, żeby cię rozerwać... Wiem ja, dziecko, że i ty masz nieraz swoje troski, swoje kłopoty. Myślę sobie: „rozśmieszę ją, tę moją perelkę najdroższą, wprowadzę ją w dobry humor, tę moją gołąbeczkę najmiłszą“. A jak zacznę jedno, to mi zaraz drugie przychodzi na myśl, po drugim to mi się trzecie przypomina... A tu czas leci i leci, ani się obejrzyysz, gdzie się podział... Ale, ale, ot! była-bym zapomniiała. Co to za niestworzone rzeczy opowiadała mi wczoraj Wahlmanowa o swoim zięciu i jak mi zaczęła opowiadać, tak, powiadam ci, wszystek rosół się jej wygotował... Zapomniiała wodą podlewać... Przylata wreszcie do garnka, a tu mięso do garnka się przyskwarza... Swoją drogą jej zięć to także ptaszek... Wyobraź sobie, co on robi, kiedy mu podadzą coś takiego, co mu do gustu nie przypada...

Nina wyprowadzoną została nareszcie z cierpliwości.

— No, prędzej, prędzej!—zawołała szorstko i krzykliwie.—Niech się to raz skończy to czyszczenie. Skaranie boskie! Pytlujesz matka tym ozorem, nie można myśli zebrać.

Mariquitta od razu bardzo się rozgniewała:

— Ozorem?! Ozorem?! Poczekaj! usłyszysz ty kiedy ode mnie, aby jedno słowo... Krowa! Ja umyślnie się dla niej staram, chodzę po ludziach, znoszę, co mogę... A to nic dobrego... Ozorem?! Taka to wdzięczność dzieci! Taka-to ich wdzięczność! Trzymaj łapę spokojnie, sroko jedna, bo cię jeszcze skaleczę. Doczekałam się pociechy... doczekałam... Tak samo, jak i Wahlmanowa... Ma ona teraz ze swoim zięciem! Boki zrywać, co ona o nim powiada. Wyobraź sobie, że wczoraj...

Nina pograżyła się w rezygnację.

Istotnie, bo na Mariquittę nie było sposobu.

### III.

Tego dnia po śniadaniu Nina zatrzymała Barana:

— Nie odchodź, Lorenzo. Zaraz przyjdzie Nevada mnie malować. Zostań przy seansie. Będzie nam weselej.

— Dobrze,—zgodził się zawsze chętny Lorenzo.

— Ja pójdę zrobić się na uroczą baletnicę. Za pięć minut będę gotowa. Przez ten czas Mariquitta opowie ci kilka bardzo zabawnych historyjek. Tyś mnie nie widział jeszcze w tym kostiumie.

— Nie.

— Zaraz zobaczysz.

I po kilku minutach ukazała mu się w swym jarzącym się stroju, z czarną mantylką w rękę, odkrywszy pierś dojrzałą, wspaniałą, białości marmurowej.

Lorenzo popatrzył na nią zachwycony.

Nina śledziła bacznie jego spojrzenia, jakby z oczu jego chciała wyczytać jakąś prawdę, o którą jej chodziło.

— Piękna jestem? — zapytała.

— Ba!

— Podobam ci się?

— Bardzo mi się podobasz.

Usiadła naprzeciw niego.

— Słuchaj, Lorenzo, powiedz mi, czy ty rad jesteś z tego, że będziesz miał taką piękną żonę?

— Bardzo rad jestem.

— Ty mnie kochasz, Lorenzo?

— Bardzo cię Kocham.

— Hm?!, Bardzo?!.. — wąpiła. — Silvio Nevada kocha mnie więcej, silniej.

— Ty temu nie wierz. Ja ciebie daleko więcej Kocham.

W tej chwili wszedł właśnie Silvio.

Nina wstała i podeszła do niego z niezwykłą uprzejmością:

— Zatrzymałam Lorenza na seans. Będzie nam weselej, prawda, Silvio.

Nevada zmarszczył się.

— Weselej?! Może, — odrzekł cierpko. — Tylko że ja nie umiem po prostu pędzlem ruszyć, gdy kto na mnie patrzy.

— To też nikt na ciebie patrzeć nie będzie. Lorenzo, przez cały czas żebyś patrzył na mnie.

— Dobrze!

— Nawet jak jest ktoś w pokoju. To już nerwowe. Tego nie można przerobić.

Baran wstał:

— O. to ja pójdę! — oświadczył.

Ale Nina zatrzymała go:

— Zostaniesz! — rzekła mu rozkazująco.

I wzięwszy Nevadę za rękę, energicznie i zalotnie zarazem pociągnęła go do pokoju, gdzie stało płótno na stalugach, i przesunawszy białe swe palce po jego kruczonych, nastroszonych włosach, rozkazała mu głosem miękkim i pieszczotliwym:

— Nie grymasz, nie grymasz! Dalej! Bierz się do roboty.

Nevada usiłował zachować twarz nachmurzoną, ale w duszy zrobiło mu się jasno i rozkosznie.

Zabrał się więc zaraz do pracy, myśląc:

„Jaka ona dziś miła“...

Nina tymczasem usadowiła Barana i sama usiadła w portretowanej pozie.

Po chwili zawołała:

— Silvio!

Nevada zwrócił ku niej oczy.

— Czemu ty tak brwi marszczysz?

— Nie wiem... nie myślę o tem.

— Kłamię... Jak on kłamię...

— Dlaczego miał-bym kłamać?

— Marszczysz brwi, bo wiesz, że ci z tem do twarzy.

Silvio uśmiechnął się.

„Ona nigdy do mnie dotychczas nie mówiła ani w te słowa, ani tym tonem“, — pomyślał.

Przez chwilę malował w milczeniu.

Nina wkrótce znowu go zaczęła:

— Silvio!

— Co?

— Ty nic nie mówisz?

— Maluję.

— Zwykle to ci nie przeszkadza rozmawiać.

— Jeżeli każesz.

— Zwykle nie potrzebowałeś do tego mego rozkazu.

I dodała znacząco:

— Widocznie już mi nic więcej nie masz do powiedzenia.

Silvio chciał jednym skokiem rzucić się do jej nóg, ale spojrzał na Lorenza, siedzącego w rogu pokoju, na fotelu, ścisnął więc tylko paletę i zgrzytnął zębami.

„Ona ze mnie drwi i naigrawa się, nikczemna“, — pomyślał.

Malowanie mu dziś nie szło wcale. Tak był od samego początku źle do pracy usposobiony, że nieledwie kolorów nie umiał rozróżnić. Robił więc tylko tło, tło fantazyjne z ciemno i jasno - zielonych kresek.

Nina znowu go zaczęła:

— Silvio, — rzekła miękko, niby pieścizotliwie.

— Na rozkazy, — odpowiedział zimno.

— Prędko skończysz ten portret?

— Niedługo, niedługo, nie obawiaj się.

— Hm, niedługo... A co będziesz robił, jak skończysz?

— Nie wiem. Może się powieszę, może się otruję.

— Ale przedtem zrobisz mi jeszcze jeden portret, prawda?

Silvio rozjaśnił twarz.

„Nie, ona nie naigrawa się“...

— Jeżeli pozwolisz...

— Jeżeli ja pozwolę?! Ty mnie, słuchaj, nie kokietuj... On niby nie wie, jak ja cenię jego prace...

— Prawdę powiedziawszy...

— I jak mi przyjemnie płyną te chwile, spędzane na naszych seansach.

— Nie wiem. istotnie.

— Udawaj, a dobrze!

Silvio uwierzyć nie chciał temu, co słyszał.

„Czyż-by to było podobnem?! — walczył. — Nie, nie, to nie sposób chyba.

— Silvio! Wiesz ty, do kogo w tej chwili jesteś podobny?

— Wiem.

— No?

— Do starego osła.

— Nie!—wcale nie!

— Więc.

— Ty jesteś dziś podobny do dyabła.

— Dziękuję.

— Tak, tak! Do niebezpiecznego dyabła, do dyabła ponętneho, przewrotnego i pełnego chytryści.

Silvio spojrział przenikliwie na nią.

— Co tobie się stało, Nina?—zapytał przyciszonym głosem.

— Ah! ja sama nie wiem—odpowiedziała zagadkowo.

Jednak! Jednak! — myślał Silvio — Ona nie należy do kobiet, które robią sztuki...

Naraz Nina wstała.

— Dosyć na dziś—rzekła—Zmęczona jestem. Jutro będę ci siedziała jak długo zechcesz, ale na dziś dosyć.

Przez cały czas pozowania nie przestawała Nina rzucać badawczych spojrzeń ukradkowych w stronę Lorenza.

On nie odezwał się prawie ani jednym słowem przez całe posiedzenie.

Z początku jednak spokojny i uśmiechnięty, jak zwykle, po pewnym czasie spowaźniał, bardziej się wsunął, zasepił się wreszcie i głowę zwiesił, a nawet przybrał twarz ponurą.

Ninie nie uszedł najmniejszy ruch jego twarzy.

Była tem weselsza, im więcej smutku widziała na twarzy swego Lorenza, i tem złośliwsza też, bo tem czulszym głosem odzywała się do Nevada.

Podeszła w końcu do płótna.

— Dużoś dziś zrobił?

— Tak sobie.

Przypatrywała się przez pewien czas portretowi, przytem, ruchem niby bezmyślnym, instynktownym ściągnęła mantylę, okrywającą jej szyję i piersi.

— Będzie doskonały portret! Dziękuję ci, Silvio, dziękuję. Jesteś artystą.

Spojrziała mu w oczy spojrzeniem zagadkowym i obiecującym piekło i niebo.

Silvio czuł tak blisko siebie białe, piękne, i świeże jej ciało, iż zaczął drżeć i szeptał:

— Nina... Nina...

— Co Silvio?—zapytała przeciągle.

Silvio, zachęcony jej spojrzeniami, gwałtownie położył usta na szyi jej.

Nie drgnęła pod żarem tego namiętnego, pełnego ognia pocałunku.

— O! Silvio!— rzekła głosem spokojnym i żartobliwym — ale ty sobie już płacisz za portret, któregoś jeszcze nie dokończył.

I lekkim, delikatnym, ale stanowczym ruchem usunęła swą szyję z pod jego ust.

— A co będzie, jak zepsujesz portret?

Silvio nachylił się ku niej i szepnął w samo jej ucho:

— Nina... ja zwarzuję...

Nina przyglądała się portretowi.

— Czy ja naprawdę mam tak piękne ramiona, jak te które mi tu zrobiłeś?

— Oh! masz stokroć piękniejsze... Żaden malarz na świecie takich ramion...

Nina wskazała palcem na miejsce na swem białem ramieniu.

— Pocałuj tu.

Silvio przyklepił usta do wskazanego miejsca.

— Poczekaj!— rzekła odgarniając jego twarz— teraz tu...

Wskazała inne miejsce.

Silvio z kolei tam przyczepił swe wargi.

— A teraz na zakończenie, tu.

Położyła mu dłoń na ustach.

— Teraz idź już— powiedziała— A jutro proszę się nie spóźnić, bo dostaniesz... Nie, na dziś dosyć, przecież nie możemy się ciągle tylko całować... Przytem nie jesteście sami, Silvio...

A kiedy już stał na progu, szepnęła mu głosem niby przyciszonym, ale takim, że slychać ją było na drugim końcu:

— A i na jutro trzeba coś zostawić... Nie spóźnij się...

Nevada szedł po schodach, trzymając się za poręcz, w głowie bowiem tak mu się kręciło, jakby stąpał nad przepaściami.

To prawda, to prawda— myślał.

Tylko... dla czego ona dziś kazała assistować Baranowi przy malowaniu, dziś właśnie?!

To jedno niepokoiło rozkoszne marzenie Nevady.

Naraz zdawało mu się, iż zrozumiał tę zagadkę:

„Tak... Ona obawiała się własnej dla mnie słabości...”

## LIII.

Gdy Silvio wyszedł Nina stała przez chwilę nieruchoma i jakby zamyślona na środku pokoju, poczem szybko podbiegła do okna.

— O... idzie... idzie...—mówiła do siebie, uśmiechnięta.

I ukloniła się przez szybę uprzejmie i radośnie.

Lorenzo nie poruszył się przez cały czas tej sceny wynagrodzenia i pożegnania malarza.

Nina teraz zbliżyła się do niego.

Tak zachmurzonym nie widziała go nigdy.

— Lorenzo—rzekła cicho.

Baran milczał. Zdawał się nie słyszeć jej wołania.

— Lorenzo!—zawołała głośno.

Podniósł na to głowę spuszczoną dotychczas na piersi.

— Lorenzo... tobie coś jest... Ty wyglądasz taki smutny...

— Nie...

— Nie?! Nie ci nie jest... Nie kłamiesz?!

— To jest... widzisz...

Usiadła przy nim i zapytała troskliwie i czule:

— Powiedz mi o czym tyś myślał teraz... Proszę cię, Lorenzo... Powiedz mi wszystko... Przyznaj się, ty jesteś taki smutny.

— No, jestem—potwierdził.

— A widzisz! a zaprzeczałeś! Więc o czym myślałeś przez cały ten czas, kiedy Silvio mnie malował, o czym? powiedz?

Baran, westchnął ciężko.

— Myślałem... myślałem... czy ja też kiedy zobaczę w życiu moją Warszawę...

## LIV.

Dzień następny naznaczony był czerwonym ołówkiem w kalendarzu cyrkowego życia.

Dnia tego, po południu, artystyczny personel zakładu Luzzattego miał zebrać się w teatralnym domu Rogorów.

Mario Rogora od tygodnia zapraszał uprzejmie kolegów na swoje imieniny.

Pani Rogora zapraszała ze swej strony cyrkowe panie z równą uprzejmością tylko z większym zapalem.

Uroczystość to była potrójna: Rogora, jego żona i ich córka najstarsza nosili jedno imię. Od lat też obchodzono dzień imienin jednocześnie i zapraszano cały cyrk na małą ucztę familijną.

Rodzina Rogorów była liczna, bo składała się z siedmiu osób, i była to przytem prawdziwa rodzina. Pani Rogora była naprawdę panią Rogora, a wszystkie ich dzieci były własne, wspólne i poślubne. Rogora był gorliwym katolikiem i całą swą rodzinę natchnął powagą i przywiązaniem wzajemnem. Rodzice się kochali i szanowali, dawali dzieciom dobry przykład; dwie córki zaś i trzech synów wychowywano w pracy, rozumnej karności, wiadomości złego i dobrego i bojaźni bożej.

Wszyscy oni występowali razem jako jeden numer: Familia Rogora.

I kiedy wieczorem wysypywali się w jednakowych trykotach dzieci i rodzice, kobiety i mężczyźni, na żółty piasek areny — stary Mario na lewym flanku, a madziubdzi Giovanetto na prawym — robiło to efekt żywego geometrycznego prostokątnego trójkąta dłuższą przyprostokątną opartego pionowo na płaszczyźnie.

Rogorów w cyrku lubiono i szanowano.

Nina Pexio przyszła na imieniny jedna z pierwszych.

Jej wejście wywołało manifestację prawdziwą.

Maria zaraz przy progu rzuciła się jej na szyję z okrzykami wdzięczności.

Mario zaś pocałował ją w rękę i zapewnił, że prezenty były zupełnie niepotrzebne, i że swoją obecnością wyświadcza ich skromnemu domowi dość honoru i szczęścia...



Maria potwierdziła słowa męża w zupełności, dodała jednak, że ta lampa błyskawiczna jest prześliczna, i że w gospodarstwie bardzo się przyda.

Z kolei uściskała Ninę Marietta raz jeszcze.

Otrzymała ona od niej na imienniny śliczny pierścionek z szafirem.

Były to zresztą, oprócz trochę kwiatów, jedyne prezenty, jakie rodzina Rogora otrzymała w dniu tym potrójnego rodzinnego święta.

Za stołem, zastawionym mnogością słodczy, owoców i pootwieranych puszek z rybami i mięsnymi konserwami, zebranych już było kilka osób.

Każdy poruszył się, niektórzy nawet wstali, aby zrobić miejsce Ninie.

Wybrała sąsiedztwo Lowella.

Ledwie usiadła, stanął z jednej strony Vinzenzio Rogora z butelką Madery, z drugiej Lucia Rogora z butelką Tokaju.

— Nie, nie — odrzekła — nie cierpię słodczy, dajcie mi poprostu kieliszek koniaku.

Podbiegł natychmiast Romeo Rogora, któremu dziś powierzono szafowanie poważnemi trunkami.

— Proszę was — rzekła Nina, umoczywszy wargi w kieliszku — kto zna z was Warszawę?

Poczęto sobie posyłać ukradkowe a znaczące spojrzenia.

Zaraz jednak odezwało się kilka głosów:

— Ja znam!

— Ja znam!

— I ja znam.

— Jakież to miasto? Duże czy małe? Ładne czy brzydkie?

Pierwsza zabrała głos poskromicielka lwów i tygrysów, blondyna bardzo żywa i wesola:

— Warszawa! Bardzo piękne miasto! Rzeczywiście piękne miasto! Czy duże? Nie! Duże nie jest. Takie sobie średnie. Ale miłe, miłe i piękne. Dobre drożki, doskonałe restauracje, dużo wojska, oficerowie bardzo przystojni.

Lowell nachylił się ku Ninie.

— Niechże pani się nie omyli. To znaczy tylko, że ona miała powodzenie. Kilku huzarów to jeszcze nie całe miasto.

Poskromicielka lwów i tygrysów upewniała:

— Powiem nawet, że jest to jedno z najmilszych miast, jakie znam. Rzadko gdzie bo doprawdy żyje się tak miło i wesoło...

Ale zaprotestował zaraz przeciwko temu świetnemu świadectwu ponury brzuchomówca:

— O! O! jedź pani, jedź, a prędzej! Tak pani mówisz, jakby nikt już nie był w Warszawie..

— Mówię jak jest—odrzekła pogromicielka, nieco urażona ordynarnym sposobem odezwania się brzuchomówcy.

Nina zwróciła się zaraz do niego.

— Więc jakże?!

Wzruszył ramionami:

— Byłem tam dwa razy, to wiem. Raz byłem w r. 1890; a drugi raz 1892... Nie tak dawno, abym miał zapomnieć... Dziura, i już. Co tam długo gadać! Dziura! Miasto małe, brudne. Cyrk odrapany. W restauracjach ludzi trują... Przez cały czas mego pobytu chorowałem na wątrobę. Czy chcecie lepszego dowodu?!

Skrzywił się pogardliwie:

— A publiczność?! Co za publiczność?! Jak na Praterze! Żadnej dystynkcji, żadnego znawstwa?! Hałasuje i krzyczy!..

Lowell szepnął Ninie:

— Musiano go tam wygwizdać.

Pogromicielka lwów i tygrysów podniosła się z siedzenia z wielkiej werwy:

— O! O! O! publiczność warszawska głupia?!—zaprotestowała— Już to nie prawda! Miła, dobra, gorąca publiczka! Ledwie się ukazać, już brawo! Ukłonić się— brawo! Potrzeba jechać chyba do Marsylii, aby znaleźć równą publiczność... Przywołuje po pięć, po sześć razy.

— Śni się pani—mruknął brzuchomówca.

I zaczęli się z sobą kłócić, podczas, gdy ogólna uwaga odwróciła się od nich. Widocznem jednak było, że pogromicielka dzikich zwierząt nie zdoła poskromić brzuchomówcy.

— Ale to nie jest małe miasto? co? taka mała miejscina? — dopytywała Nina młodego, ładnego, świeżego chłopca, zjadacza ognia, który również znał Warszawę, ale nie zdołał dotychczas wtrącić swego zdania.

— O! nie! Duże miasto!—zapewnił ją—mniej więcej takie, jak Wiedeń... Tylko nie ma ringów... Cyrk gra codziennie, a w niedziele i święta daje dwa przedstawienia i jeszcze mnóstwo ludzi odchodzi od kasy... Poprostu wiekie miasto...

— Teraz wie pani wszystko—szepnął Ninie Lowell.

Uśmiechnęła się, popijając koniak.

— Rzeczywiście żem się nic nie dowiedziała—odpowiedziała mu po cichu również.

I spojrziała w stronę Romea.

## LV.

— Więc ty, Lorenzo, nie bardzo lubisz de la Rivière'a?

— Wcale go nie lubię.

— Ty go wcale nie lubisz?..

— Za co ja mam go lubić.

— Przyjaciel twój przecie.

— On? mój przyjaciel? On tylko tak gada. Ale on wcale nie jest mój przyjaciel.

— Widać was ciągle razem.

— A bo przyłazi do mnie... To co ja zrobię... Przyłazi, wywłóczy mnie, powiada: chodź, chodź... Ja nigdy do niego nie przyłożę...

— Przytem jesteście współnikami... Robicie przecie razem Ricka i Rocka.

Lorenzo ramionami wzruszył.

— A bo... a bo... Ot! przyczepił się do mnie jak pijawka i odczepić się wcale nie chce... On myśli, że ja taki głupi jestem, że ja nie rozumiem... A ja wszystko dobrze rozumiem...

— Co rozumiesz?!

— Że on przyczepił się do mnie.

— A rozumiesz dla czego on się do ciebie przyczepił?

— Ma się rozumieć... Żeby mnie tylko naciągać.

— On cię naciąga.

— Ba i jak jeszcze!

Na chwilkę umilkł, żeby myśli uporządkować. Mówienie zawsze przychodziło mu z pewną trudnością.

— Ot! — rzekł — przed rokiem miałem przeszło jedenaście tysięcy franków, com je zaoszczędził sobie. A teraz to nie mam i pięciu tysięcy.

— Przecież on ci nie zabrał?

— On mi je zabrał! On mi zabrał! Miałem przeszło jedenaście tysięcy, niech będzie jedenaście, a teraz mam pięć, to mi brakuje sześć tysięcy.

— Jakże on ci mógł pieniądze zabierać?

— A jak?! Wyciągał, wyciągał i ciągle jeszcze wyciąga, bo na tem nie koniec.

— To czemuż ty dajesz sobie wyciągać?! Dziecko jesteś?

— Nie jestem dziecko. Ale... ale... jak przyjdzie, jak powie, że mu koniecznie potrzeba... że mi odda... Jak mnie nagada, omani... To wyciągnie...

— I długo tego będzie?..

Lorenzo energicznie wstrząsnął głową.

— O! nie długo!

— Powiesz mu, żeby sobie poszedł do stu tysięcy dyablów, co?

— Powiem, ma się rozumieć, że powiem.

— I żeby sobie poszukał kogo głupszego, co?

— Tak mu właśnie powiem. Tak samo. Żeby sobie poszukał głupszego.

— Kiedyż mu to powiesz?

— Niedługo.

— Im wcześniej, tem lepiej.

— Ma się rozumieć...

— Dziś mu powiedz.

Lorenzo zawahał się.

— Dziś... nie. -

— Więc jutro... jutro rano...

— Nie... poczekał... jutro jeszcze nie... Ale już niedługo! już niedługo!

Nina nie mogła wstrzymać się od uśmiechu.

Jaki on słaby! Jaki on dobry—pomyślała z czułością.

I jednocześnie zanotowała sobie w pamięci:

To taki ptaszek ten de la Rivière.

Ale odłożyła załatwienie rachunku z tym ptaszkiem na później, bo właśnie w tej chwili był jej potrzebny do planu, który ułożyła dla wspólnego dobra jej i Lorenza.

Spojrzała więc przed siebie wzrokiem obojętnym i rzekła:

— To szkoda, że ty tak nie lubisz de la Rivière'a?

— Dla czego to jest szkoda?

— Bo ja go lubię...

Baran zadziwił się.

— Ty go lubisz?

— Bardzo go lubię.

Otworzył szeroko oczy.

— Ty go bardzo lubisz?

— Bardzo go lubię.

— De la Rivière'a bardzo lubisz?

— De la Rivière'a.

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem za co jego można lubić.

— Oo! za co?! Jest on człowiek, pełen wyższych zalet i przymiotów.

— Jakie on tam ma przymioty...

— Jakie? Dobrze, zaraz ci wyliczę kilka: rozum, wymowa, dowcip...

— On wszystko kłamie.

— On? kłamie?

— O! żebyś wiedziała jak on kłamie?! — zaczął się Baran robić wymowny — Ja go dobrze znam. U niego same tylko kłamstwo i nic więcej. Prawdy wcale niema. Co tylko powie, to zaraz skłamie. Jakiśmy się poznawali powiada: „O! ja dobrze znam Warszawę.“ Powiada: „Trzy razy tam byłem!..“ Powiada: „o! a jakże!“ Potem mówi, że ma w Warszawie brata, w konsulacie, i że ten brat papiery mi wyrobi... Wziął nawet pięćdziesiąt franków na koszt... I co?! Wszystko, ale to wszystko same kłamstwa, nie tylko same kłamstwa... Wcale w Warszawie nie był ani razu, ani brata nie miał...

— Widzisz, Lorenzo, dla ciebie to jest wielka kwestya: czy kto w Warszawie był, czy nie był. Ale dla mnie to jest zupełnie wszystko jedno. I choć wierzę ci najzupełniej, iż de la Rivière nie był w Warszawie ani jednego razu, nie przeszkadza mi to wcale gustować w tym chłopcu...

— Ty? w nim?

— Tak, mój miły... I nawet proszę cię, powiedz żeby przyszedł jutro razem z tobą na śniadanie... Słyszysz?!

Baran z rezygnacją chwilową odrzekł:

— Dobrze powiem mu. Ale ty sama zobaczysz, że on wszystko kłamie. Tylko dobrze uważaj, jak on będzie mówił... Ty go lubisz?

— Lubię... stanowczo go lubię...

Baran chciał coś przemówić, ale tylko westchnął, bo mu argumenty nie przychodziły, choć czuł, że te argumenty gdzieś są i blisko i mocne.

Wreszcie zrobił wysilek:

— Ja go także lubilem z początku... Myślisz, że nie?! Bardzo go lubilem... Póki go dobrze nie poznałem... Ale teraz nie mogę go lubić...

— A ja czuję, że jak go lepiej poznam, będę go lepiej lubiła, o! dużo więcej.

— To tak ci się zdaje. Ale ty się przekonasz, że nie... Ty tylko dobrze uważaj, jak on będzie mówił. Co rusz, to kłamstwo! Co rusz, to nieprawda!

— I ty nie wstydzisz się nim tak źle ciągle mówić, Lorenzo?!

Te słowa powiedziała jakimś ostrym tonem, który Barana bardzo dotknął.

— Widzisz... widzisz...

— Fe! fe! niedobry jesteś.

— Ja byłem dla niego dobry—bronił się, jak umiał—O! byłem! Ja długo byłem dla niego dobry. I teraz ja nie jestem dla niego zły... Oho! kto inny to-by inaczej... Ale on to nawet żadnej przychylności do mnie nie miał... Żadnej, powiadam ci... Prawdziwie... Jak wziąć, to i owszem... O! wziąć to choćby wszystko... Zaraz gotów... O nic nie zapyta... Ale ja wiem, że jakbym tak potrzebował od niego choćby pięciu guldenów, to-by weale mi nie dał... A jakbym naprzykład był chory, to-by mnie rzucił i nie zapytał, czy jeszcze żyję, czy już umarłem... Ja jego dobrze znam... i ja tobie mówię szczerą prawdę... Ja nie jestem taki, żebym miał obgadywać kogo... Ale co prawda, to prawda...

— Fe! Lorenzo! Przecież to widać, że złość przez ciebie mówi.

— Nie! nie!—zaprotestował gorąco.—Mogę ci się przysiąc, że to wszystko prawda.

— Złość! Złość najwyraźniejsza...

Złożyła ręce i potrząsnęła głową.

— A ja takie zaufanie miałam do ciebie...

Zmartwił się Baran. Czuł jakby się ziemia pod nim trząść zaczynała, a on nie wiedział, w którą stronę wyciągnąć rękę o pomoc, czego się dla oparcia chwycić.

— Bo widzisz...

— Nie nie widzę—przerwała mu Nina szorstko—To jedno chyba, że de la Rivière jest przystojnym chłopcem, i że ty tak źle o nim mówisz, ponieważ spostrzegłeś, że on mi się podoba i chcesz mu w opinii u mnie zaszkodzić...

— Nie, doprawdy. Ja weale nie wiedziałem, że on ci się podoba.

— No, no, nie udawaj...

— Ja nie udaję...

— Tyś to oddawna widział.

— Nie. Przecież sama niedawno mówiłaś, że on jest taki natretny...

— To co z tego, że mówiłam? Mężczyzna powinien być trochę natrętny, jeżeli chce się kobiecie podobać. A on właśnie chciał mi się podobać... I dopiął swego celu... I teraz możesz mu to powiedzieć, jak ci się spodoba, ja nawet życzyłam-bym sobie żeby on był jeszcze bardziej natrętny. Przytem ja zawsze miałam słabość do ludzi, co mają taki nos, jak on, trochę zakrzywiony. To oznacza stałość w miłości.

— O! on wcale nie jest stałym.

Nina podniosła się, widocznie zagniewana.

— Właśnie! właśnie! jest to zbiór wszystkich wad, prawda? Fe, zazdrość cię unosi.

— Wcale nie...

— Jakiś ty zły?! Jaki ty się zły zrobiłeś?!

— Ja wcale się zły nie zrobiłem, ale mówię prawdę i ty sama...

Nina podała mu kapelusz.

— No idź już, już. Na dziś mam dosyć twojej milej rozmowy... Dobrego po trochu! A jutro przyjdź na śniadanie razem z de la Rivière... Pamiętaj, abyś mi się bez niego nie pokazywał. Do widzenia, do widzenia.

## XLI.

De la Rivière kochał Ninę, kochał ją szalenie, miłością pełną gorzycy i jadu.

Nieszczęśliwe było to uczucie...

Napróżno bo stawał przy każdej sposobności jej na drodze, w kurytarzach i stajniach cyrkowych,—Nina przechodziła obok niego obojętnie, zbywając go czasem jakim niedbałym i bez znaczenia słowem i często pozostawiając go z otwartymi ustami w połowie zaczętego zdania.

Napróżno usiłował wedrzeć się kilkakrotnie, w różnych odstępach czasu i o różnych porach, do jej mieszkania, wysłedziwszy przedtem, kiedy Nina była w domu — drzwi jej były strzeżone czujnie, umiejętnie i energicznie.

Napróżno przymilał się „Paszy“, chwalił go, klepał, pieścił, drapał, przynosił mu w kieszeniach kawałki chleba i cukru — „Pasza“ przyjmował to wszystko tak, jak przyjmuje piękna kobieta cukierki: obojętnie i nie poczuwając się do żadnej wdzięczności.

De la Rivière, który był naturą wogóle ekspansywną, pod wpływem pierwszego zachwytu obnosił po świecie głośno i z szumem swoje przekonanie o Ninie:

— Nadzwyczajna kobieta,—mówił do każdego, kto posiadał dobrą wolę słuchania go. — Co za kształty?! Co za chód?! Junona! Dali-bóg Junona?! Uciekła wprost z Olimpu... A jakie maniery... Na punkcie dobrych manier to mnie już możecie wierzyć, bo na tem dobrze się znam... Jest to prawdziwa *femme du monde*... Wielka dama! Jak ona chodzi... Jak się kłania... Jak wita... Jak podaje rękę... Co za gracya! Jaki szyk kolosalny! Wszystko powinno leżeć u nóg takiej kobiety...

Potem jednak zupełnie odmienił pierwotne swe o Ninie zdanie.

— Nie! To jest po prostu coś impertynenckiego. Ja nie rozumiem, jak wy wszyscy możecie tolerować coś podobnego... Jakie tony! Jakie miny! Jakie fomy! Fiu, fiu!.. Bez kija ani przystępuj!.. Wielką łaskę robi, jak spojrzy... jak raczy spojrzeć... Szczyście nadzwyczajne, gdy raczy się do kogo uśmiechnąć... Same łaski... I kto?! Kto?! Kto?! Proszę was, powiedzcie mi, kto jest ta Nina Pexio? Zwyczajna, ordynarna mała!

A kiedy ten i ów robił na te ostre słowa gesty protestujące, de la Rivière zapalał się jeszcze bardziej, i wołał:

— Powiedziałem, com powiedział, i nie cofnę tego za cenę krwi nawet. Kto chce, niech mnie wyzywa na pojedynek, ale uprzedzam, że biję się tylko na gwintowane pistolety i na pięć kroków... Powiedziałem i powtarzam, że jest to ordynarna mała!.. Ja wiem, co mówię. I przy pierwszej sposobności powiem jej to w oczy. Tak! Wprost w oczy! O, wy mnie nie znacie! Dostyc już tego jej rozbijania się po cyrku... Jak ona wszystkich lekceważy! Że wy to cierpicie?... Czyż mało tu ludzi, których powinna-by cenić i szanować!... O mnie tu nie idzie... ma się rozumieć... O! co do mnie?! Ja... Ja sobie drwię z wszystkich małą całego świata...

De la Rivière zachwiał się jednak, i to kilkakrotnie, w swoim srogim sądzie o pięknej Ninie Pexio.

Było bo to serce otwarte na oścież dla wszelkiej nadziei.

Wystarczało już, aby Nina nieco uważniej wysłuchała jego komplementu, aby nie odeszła, zanim on zdania swego nie dokończył, aby mu z większą, niż zazwyczaj, uprzejmością odpowiedziała na ukłon, aby nawet na powitanie niżej nieco, niż zwykle, skłoniła głowę— a już to serce zaczynało prążyć sny złote.

A wtedy de la Rivière bez żadnego zaślepionego uporu, bez fałszywej ambicji do nieomyślności swych sądów, z ochoczością, właściwą ludziom dobrej woli, gotów był omyłkę swą wyznać...



Wyznać?!

Nietylko wyznać?! Gotów był omyłkę tę wynagrodzić... I jak jeszcze wynagrodzić...

Ale te wahania w opinii de la Rivière'a, jeżeli były względnie częste, zawsze były krótkie. Zazwyczaj trwały one od jednego widzenia Niny do drugiego. Zaraz bowiem okazywało się, że przyznanie się do omyłki samo było omyłką. O! tak! stanowczo, niezawodnie Nina Pexio była istotą nędzną, marną, głupią, złą, podłą...

I zaczął de la Rivière ludzi, aby ich o tej niezawodnej prawdzie przekonać, aby im, po prostu zaślepionym, oczy otworzyć.

Ta prawda go jednak kosztowała.

Stał się ponurym i zaniebany, spoglądał na świat wzrokiem nienawistnym i pił, pił dużo, nawet za własne pieniądze.

W takim-to, ostatecznym niemal, upadku ducha znajdował się nieszczęśliwy de la Rivière, kiedy nagle i niespodziewanie uśmiechnęła się do niego zmienna fortuna jasną, pełną, słoneczną twarzą.

WINCENTY KOŚCIKIEWICZ.

(Dokończenie nastąpi).

---

# O monistycznej filozofii Haeckela.

---

Mglista filozofia okresu po-kantowskiego wyciska swe piętno i na wiedzy przyrodniczej. Filozofia przyrody Schellinga, a jeszcze więcej uczniów jego, odstręcza przyrodników, nazwa filozofii przyrody staje się w ich ustach nazwą szyderezą. Reakcyja przeciw heglizmowi występuje u Feuerbacha, następnie u Czolbego, Dühringa i innych. Koniec pierwszej połowy naszego wieku zaznacza się walką z witalizmem, bałamućnem pojęciem siły życia. Występuje w niej Lotze w artykule pod tytułem: „*Leben und Lebenskraft*“, umieszczonym w „*Handwörterbuch d. Physiologie*“, 1842, Rudolfa Wagnera, wprowadzając mechanizm w miejsce witalizmu. Poglądy Lotzega nie wywarły jednak wielkiego wrażenia i mało się rozpowszechniły w świecie naukowym. Głośną stała się dopiero walka, gdy w roku 1848 ogłosił Du Bois Reymond pierwszy tom swych badań nad elektrycznością zwierzęcą („*Untersuchungen ueber Thierische Electricität*“, 1848).

Uczeń witalisty, słynnego biologa, Johannes Müllera, rzucił w przedmowie do swego dzieła rękawicę witalizmowi, wypowiadając z młodzieńczą porywcznością zdanie, że analityka mechaniczna sięga nawet do zagadnienia wolności osobistej. Wkrótce potem powstają głośne spory naukowe między Lotzem a Wagnerem, Vogtem a Wagnerem, Moleschottem a witalistą Liebigiem, tworzy się materjalizm przyrodniczy, którego najczynniejszym może, choć najpowierzchniejszym przedstawicielem jest Büchner. Jego dzieło pod tytułem: „*Sila i materja*“, było w swoim czasie jednym z najpoczytniejszych. Podobnie jak Haeckel, przyczynił się on wiele do spopularyzowania przełomowych w biologii poglądów Karola Darwina.

Materjalizmowi nadano wkrótce zgoła fałszywe pojęcie materjalizmu uczuciowego, czy też praktycznego. Podczas gdy krzewiciele jego, ci w gruncie idealisci, ze śmiałością przekonań stają w sprzeczności z uznanem powagami naukowemi, a co więcej, z przekonaniami sfer rządzących, wskutek czego droga życia wielu z nich nie różami, lecz cierniami wyslaną była, materjalizm w spółce z darwinizmem, „stwarzającym“ walkę o byt, stał się synonimem egoizmu, chęci zysku i zmysłowego używania.

Młodzieńcze nadzieje Du Bois - Reynonda nie spełniły się, nadszedł dla niego samego, jak i dla innych, dzień fatalny Damaszku, jak sam to wyznaje. Dojrzała rozważa wpłynęła na zmianę poglądów filozoficznych, jaką widzimy nietylko u niego, lecz i u embryologa Baera, psychofizyologa Wundta, patologa Virchowa—zmięną, którą Haeckel przypisuje, przynajmniej w wielkiej części, wstecznemu przeobrażeniu mózgu w późniejszym wieku.

Głośny prąd materjalistyczny ucichł. Najwybitniejsi przedstawiciele materjalizmu, który nietylko, że był jako reakcyja potrzebny, ale wprost konieczny, zstąpili do grobu; najruchliwszy z nich, Büchner, zmarł przed rokiem niespełna; przy sztandarze materjalistycznego monizmu pozostał jeszcze wierny sędziwy biolog Haeckel, który, czując już ciężar przygniatających go lat 66, wypuścił w świat ostatni pocisk ciężkiego kalibru, jaki pochodzi z tego obozu. W obszernem dziele pod tytułem: „*Die Welträthsel. Gemeinverständliche Studien ueber Monistische Philosophie*“, 1899, streścił Haeckel nietylko swe przyrodnicze poglądy, lecz i filozoficzne zapatrywania na świat, urządzenia społeczne i religijne. Słyszymy tam echa przebrzmiałych sporów, szczególnie z „despotycznym dyktatorem i retorem berlińskiej akademii“, który ze swej strony często dość cierpko „jenajskiemu prorokowi“ odpowiadał.

Punktem wyjścia i kluczem, którym, jak Haeckel unniema, udało mu się rozwiązać wszelkie zagadnienia bytu, jest dla niego substancya. pojęcie równoznaczne z Bogiem, wszechświatem i przyrodą. Substancya ta składała się z masy i eteru, co do których twierdzi Haeckel, że „eter, zarówno jak i masa, z całą stanowczością istnieją tak, jak on sam, gdy o tem myśli i pisze“. Substancya ta podlega ciąglemu przeobrażaniu się, ciągłej ewolucyi, począwszy od prostych związków, które nazywamy pospolicie nieorganicznymi, aż do najbardziej złożonych, t. j. człowieka. Węgiel, łącząc się z innymi pierwiastkami, tworzy ciała wysoko złożone, białka, o stałopłynnym stanie skupienia i łatwo się rozkładające. Własności te są przyczyną tych zjawisk ruchowych, które odróżniają organizmy od nieorganizmów, a które nazywamy życiem. Takimi najprostszymi organizmami są „monery“, bryłki żywego białka, pierwoszcza. W miarę rozwoju, przybywa najpierw jądro, potem różniczkują się coraz to więcej narządy. aż do najwyższego ustroju, to jest człowieka.

W miarę rozwoju substancyi i objawy życia stają się coraz to więcej złożone, rozwija się też i dusza. Według określenia Haeckela, psyche jest pojęciem zbiorowem wszystkich objawów psychicznych plazmy. W najniższym stopniu rozwoju, cała plazma jest materialnem podłożem objawów psychicznych, i nosi nazwę „psycho-plazmy“, która u wyższych zwierząt przechodzi w „neuro - plazmę“. W miarę różnicowania się narządów, powstaje komórka nerwowo - mięśniowa, która rozpada się na komórkę zmysłową i komórkę mięśniową, jak naprzykład u pływających meduz. Później przybywa trzecia komórka, to jest komórka zwojowa, czyli duszy. siedlisko nieświadomych wyobrażeń, tak, jak u większej ilości bezkręgowych. Te nieświadome wyobrażenia (Dokesis) są wewnętrznymi obrazami zewnętrznych przedmiotów, a więc ideami w pewnym znaczeniu. W jakim jednak, nie tłumaczy Haeckel zupełnie. U kręgowych wreszcie istnieją dwie komórki duszy, to jest komórka czucia i komórka woli, czyli ruchów dowolnych. Na najwyższym stopniu rozwoju powstają świadomość, jako czynność układu nerwowego środkowego. Są to podstawy oddziaływania ustroju na podniety zewnętrzne, począwszy od najprostszycich zmian kształtów żywego białka, to jest monery, aż do najwyżej złożonych ruchów dowolnych człowieka. Wola zaś jest ogólnym przymiotem psychoplazmy, tropizmem, to jest dążnością, usiłowaniem poszczególnych komórek, tak zwierzęcych, jak i roślinnych. Początkowo nieświadoma, rozwija się stopniowo w świadomą wolę u najwyższych tylko zwierząt.

Psychofizjologia jest najmłodszą gałęzią fizjologii, wiedzy, która sama dla siebie jest młodą. Widzimy w niej jeszcze pewną nieja-

sność i niestalenie pojęć, a co za tem idzie i słownictwa. Haeckel zaś nie tylko, że się w niczem nie przyczynia do ułatwienia wzajemnego porozumienia, lecz, owszem, gmatwa jeszcze całą sprawę. Jego określenie duszy, jako sumy objawów duszy, jest tautologią, a prowadzi dalej do poważnych nieporozumień.

Najstosowniejsem jest nazywanie stanów świadomości psychicznej; psychofizjologia opiera się wprawdzie na nieświadomych czynnościach układu nerwowego, i wywodzi swe wnioski z najprostszych takich czynności, jak odruchy, nie ma to jednak nic do rzeczy, bo wszelki podział jest sztuczny, i żaden dział fizjologii nie jest zamknięty, lecz wkracza w rozmaite inne dziedziny. Jeżeli jednak staniemy na stanowisku Haeckela, to z samego początku widzimy sprzeczności, a mianowicie podział narządów duszy u wyższych już zwierząt na trzy komórki, z których jedna jest komórką duszy, to jest nieświadomych wyobrażeń. Jakże to można pogodzić z poprzednim zastrzeżeniem, że dusza jest sumą objawów psychicznych, a więc czynnością wszystkich trzech komórek?

Podobnie płytkie zaspakajanie się wyrazem bez treści mamy dalej w pojęciu czwartej komórki woli, która u niższych zwierząt jest nieświadoma. Co do woli panuje jeszcze wielka sprzeczność w pojęciach i określeniach. Nazwa wolnej woli jest tautologią, jeśli się zaś jej odejmie wolność, to cała treść jej zniknie, a niewolnicza wola stanie się sprzecznością w założeniu, absurdem. Dlatego też psychofizjologia, stojąca na stanowisku determinizmu, nie zna zgoła wyrazu woli. Jeśli się czasem jeszcze tego słowa używa, jak naprzykład w psychiatrii, to tylko dla wygody i ze zrozumieniem, że obejmuje ono pojęcia różnorodnych objawów, jak czucie, kojarzenie wyobrażeń i ruch. Ponieważ zaś u Haeckela każdy z tych objawów ma swoją osobną komórkę, to w żaden sposób nie można pojąć czynności tej czwartej komórki woli, bo musiała-by ona chyba skupiać w sobie czynności wszystkich trzech poprzednich razem. Jak rozumieć te wole Haeckela, trudno sobie nawet wyobrazić, a nie przyczynia się do tego wcale używanie nazwy ruchów dowolnych (spontane Bewegungen) w miejsce świadomych, lecz i nieświadomych także.

Puste też zgoła są wyrazy, jak nieświadome czucie, nieświadome wyobrażenia, nieświadoma wola, wyrazy, które, niestety, jeszcze dość często w psychologii się płaczą. Czucie i wyobrażenie, są to stany świadomości, stanowiące jej treść. Gdy mówimy o ruchach świadomych i nieświadomych, to mamy dwa odrębne pojęcia, dwa stany, które raz obok siebie istnieją, drugi raz nie. Inaczej jednak rzecz się ma z czuciem i wyobrażeniem. Na to, co Haeckel nazywa nieświadomo-

mem czuciem, posiada fizjologia odrębną nazwę pobudliwości, to jest zdolności oddziaływania zmianami kształtów, a więc ruchem, na bodźce zewnętrzne, bez mieszania z tem pojęcia uczucia, jako stanu świadomego. To samo tyczy się i wyobrażeń, które, przynajmniej o ile można się domyślać znaczenia słowa „*Vorstellung*“ u Haeckela, są skombinowanemi czuciami, dowiedzionemi przez narządy zmysłowe <sup>1)</sup>. Jeżeli tym wyobrażeniom odejmiemy świadomość, to cóż pozostanie? Znaczyło-by to przyjąć, zamiast wyobrażenia, stany materialne komórki zwojowej, jako to: zmiany chemiczne, a więc przemiana materji, termiczne, to jest podwyższenie ciepłoty w stanie czynnym, wreszcie jakies hypotetyczne zmiany molekularne. Czyż to wszystko są objawy identyczne ze świadomością? Powolne i niezgrabne ruchy żywej protoplazmy, odpychanie swego ciała za pomocą śluzowej masy u *Closterium*, składanie listków mimosy, zcieranie łapką płatka białej, napojonej kwasem, u żaby, pozbawionej mózgu, aż do tak złożonej czynności, jak czasem gra na fortepianie, jednym słowem, najprostszy ruch, aż do najwięcej złożonego ruchu automatycznego, wszystko to są czynności, w których świadomość zgoła nie istnieje. W zamysleniu można grać długo, a ton żaden nie dojdzie do naszej świadomości, tak samo, jak nie wiemy nic o tem, żeśmy dosyłali podniety do palców, uderzających w klawisze, podniety nader złożone. Pan Zagłoba, gdy w ucieczce z Heleną, zmęczony drogą, zasypia i żydy wozi na kulbace, utrzymuje całe ciało w równowadze bez świadomości, podobnie jak żołnierz, gdy maszeruje, śpiąc równocześnie. W tych wypadkach liczne podniety dochodzą do mięśni, dla zachowania równowagi ciała, tadzież poruszania członkami, podniety, którym zupełny brak świadomości. Dla tego też psychofizjologia, rozbierając najróżnorodniejsze czynności rdzenia i mózgu, podległe prawidłom mechanicznym, mówi o nich, jak o szeregu fizycznym, lub fizjologicznym, o stanach zaś psychicznych, to jest świadomych, jako o równoległym mu szeregu psychicznym. Tego parallelizmu stanów psychicznych i materialnych nie pojmuje Haeckel, gdy utożsamia je z sobą i ludzi się, że w ten spo-

<sup>1)</sup> Słownictwo psychologiczne nie jest jeszcze w tym kierunku ustalone. Wyrazu „wyobrażenie“ użyłem do przetłómaczenia „*Vorstellung*“ w konkretnem znaczeniu wrażeń, lub czuć zmysłowych. Z dotyczącemi poglądami zaznajomić się można z dziełka prof. K. Twardowskiego pod tytułem: „Wyobrażenia i pojęcia“, Lwów, 1893.

sób rozwiązał zagadnienie duszy, a ludzi się tem łatwiej, że przyjmuje jakieś nieświadome stany świadomości, a więc jakąś duszę bezduszną. Pozorne to rozwiązanie kwestyi polega tylko na zestawieniu kształtów i czynności w ich rozwoju od najprostszych postaci, aż do najwięcej złożonych, i stwierdzeniu, że, im więcej jest złożona budowa, tem i czynności stają się zawilszemi. Na tem kończy się całe przyczynowe wyjaśnienie. Zagadnienia świadomości nietylko, że nam to zgoła nie wyjaśnia, ale nawet nie dopomaga w niczem do odpowiedzi na pytanie, którym istotom przyznać ją, a którym nie, co do czego wielka panuje sprzeczność, i nie dziwnego, bo to polega na zupełnej dowolności. Starożytni filozofowie greccy, a za nimi Pliniusz, przypisywali duszę wszystkim żywym twórcom, a więc tak zwierzętom, jak i roślinom. Descartes natomiast odmawiał jej zwierzętom w zupełności, uważając je za bezduszne automaty; jedynie człowiek posiadał ją według niego, zczepioną tylko trochę z ciałem w wyrostku szyszkowym mózgu. Dziś też rozmaite są pod tym względem zapatrywania, a i sam Haeckel zmienił je w ostatnich czasach. Poprzednio rozciągał ją do wszystkich zwierząt, dziś zaś tylko do wyższych — gdzie się jednak zaczyna, nie mówi.

Równoległość objawów materialnych i psychicznych była i jest dotychczas twardym orzechem do zgryzienia dla filozofów. Czy to obierzemy, tak, jak Haeckel, za punkt wyjścia materję, czy też zechcemy podporządkować szereg fizyczny szeregowi psychicznemu, tak jak spirytualiści, nie możemy ich złączyć ze sobą. Widzimy bowiem, że istnieje wiele stanów fizycznych bez psychicznych, tj. szereg psychiczny krótszym jest od fizycznego, jeśli je sobie przedstawimy jako dwie linie równoległe; następnie zaś nie dla wszystkich stanów psychicznych wynaleźć można równorzędną fizyczną. Możemy przypuszczać, że ona istnieje, w każdym razie jednak jest to tylko hipoteza. Chcąc te trudności ominąć, stworzył Leibniz swój fantastyczny świat monad z przedustanowioną harmonią, gdzie, wyrażając się potocznym językiem, niewolnicza dusza przypatruje się bezsilnie przygodom ciała, jakby aktorowi na deskach teatralnych.

Zapytajmy jednak, co to jest substancja czy materja? Gdy spoglądamy na różę, widzimy, że jest czerwona, biała lub żółta, gdy ją wachamy, czujemy, że przyjemnie pachnie, i laik twierdzi, że róża ma woń i barwę. Czy to są jednak własności róży? Czy światło o różowym zabarwieniu lub woń przyjemna rzeczywiście istnieje? My wrażenie światła, blasku, otrzymujemy także, gdy okulista przecina nerw wzrokowy lub skoro przez narząd wzroku przepuszczamy prąd elek-

tryczny. Podobnie słyszymy dźwięk lub czujemy woń pewną, gdy podrażniamy prądem nerwy słuchowe lub węchowe. Te same fale o różnej ilości drgań raz pojmujemy jako ciepło, drugi raz, jako światło, wreszcie nie odczuwamy ich naszymi zmysłami zupełnie, a wiemy o nich ze zmian chemicznych, które wywołują. Każda podnieta, jeśli tylko zadziała na obwodowy narząd zmysłu, jest tylko w jeden i ten sam sposób odczuta, pojęta czy wytlómaczona przez nasze komórki zwojowe w korze mózgowej, czy więc będziemy drażnić mechanicznie narząd wzrokowy, czy elektrycznie, czy też naturalną podnieta, którą światłem nazywamy, wprowi go w stan czynny. wynikiem zawsze będzie wrażenie świetlne. Narząd zmysłowy wybiera sobie tylko pewne podniety, które zawsze w jeden sposób pojmujemy. Własność tę nazwał Johannes Müller, któremu zawdzięczamy pierwsze dokładniejsze wiadomości w tym kierunku, specyficzną energią zmysłów. Wszystkie więc własności, jakie przypisujemy przedmiotom, nie są własnościami tych przedmiotów, lecz tylko stanami duszy. Można się zgodzić z Du Bois - Reymondem, że światło powstało, gdy pierwszy czerwony punkt wzrokowy wymoczka rozróżnił po raz pierwszy jasność od ciemności, — z tem zastrzeżeniem, że przyznamy świadomość wymoczkom. Inne zupełnie wyobrażenie ma o świecie człowiek zdrowy, prawidłowy, inne zgoła nieszczęśliwa Laura Bridgeman, głucha i ociemniała od trzeciego roku życia. Wszystkie własności, jakie przypisujemy światu zewnętrznemu, nie są jego własnościami, lecz własnościami, stanami duszy. Jaką jest rzecz sama w sobie, wyrażając się słowami Kanta, o tem nie mamy najmniejszego pojęcia.

Posuńmy się dalej, tak, jak na przykład Berkeley, Fichte, Schopenhauer i inni. Ponieważ podlegamy poprostu złudzeniom rzeczywistości zewnętrznej, szarlataneryi zmysłów, możemy przypuścić, że nie tylko nie wiemy nic o absolutnym bycie poza duszą, lecz że on wcale nie istnieje. Wtedy znika ten parallelizm psychiczny i fizyczny, materializm zlewa się z idealizmem, przedmiot z podmiotem, wtedy pozostaje nam jedna jedyna tylko zagadka duszy, do rozwiązania której brak archimedesowego punktu oparcia dla wyjścia świadomości samej z siebie, wtedy możemy tylko biadać z Grabcem, że:

. . . . . Los głupi, jak rural

Wyskoczył-bym ze skóry, gdyby moja skóra,

Nie była teraz skórą królewską.



Monizm psychiczny wyznaje między innymi uczeń Haeckela, Maks Verworn („*Allgemeine Physiologie*“), stojąc w tym wypadku w zupełnej ze swym nauczycielem sprzeczności. Stanowisko to, jak każde zresztą, ma swoje dodatnie, lecz i ujemne strony. W tym razie można tylko mówić o swojej własnej duszy, czy też świadomości, bo wszystko, a więc i ludzie inni, i zwierzęta wraz z ich objawami nie są niczem innym, tylko stanami mej własnej duszy. Prowadzi to więc do solipsyzmu czyli egoizmu filozoficznego, trudnego do rozwiązania. Pogląd ten ma i tę niebezpieczną stronę, że łatwo może sprowadzić umysł na manowce jałowych spekulacji, jakimi się okres po - kantowski odznacza. Dodatnią zaś stroną jest to, że przywodzi na pamięć zawsze tę względną wartość naszej tak zwanej pozytywnej wiedzy, chroni od przywiązywania znaczenia dogmatu do wytworów naszego ducha, do jakich zalicza się pojęcie materii i siły, o czym materializm niejednokrotnie zapominał. Nie pamiętał o tem i Büchner, piorunując jeszcze w ostatniem swem dziele p. t. „*Am Sterbelager des Jahrhunderts*“ (1898), na zgubne skutki filozofii Kanta i na neo-kantyzm. A jednak na filozofii Kanta wychowała się cała rodzina znakomitych przyrodników, jak Jędrzej Śniadecki, Jan Müller, Du Bois-Reymond, Hemholtz, Hertz i wielu innych.

Podstawę naszej wiedzy tworzy materiał faktyczny; sam jednak dla siebie jest on martwym i niemożliwym do objęcia. Do uporządkowania więc jego służą hipotezy, teorie i poglądy, szufladki, w których fakta wygodnie rozmieszczamy. Często jednak przywiązujemy się zbyt do tych szufladek, których bronimy z upartym konserwatyzmem, co prowadzi do rozszczępienia pojęć, jakie widzieliśmy pomiędzy fizykami a chemikami, pomiędzy biologami - morfologami a fizyologami, co pochodzi z przywiązywania realnej wartości do pojęć, a więc naszych własnych wytworów. To przywiązanie widzimy szczególnie u materialistów, a obecnie bardzo silnie zaznaczone u Haeckela, który nie chce dostrzedz, jak się te pojęcia zmieniają. Atomy materialne chemii nie są jeszcze ostatecznym rozkładem pojęć, fizyczne zaś są wygodnym absurdem w założeniu. Materialne pojęcie światła i ciepła ustępuje miejsca pojęciu ruchu, sił z ich niematerialnymi punktami zaczepienia, w końcu energii, jak to pięknie przedstawia Ostwald w swym odczycie p. t. „*Die Ueberwindung des Wissenschaftlichen Materialismus*.“

Na podstawie pojęcia energii zbudował też swój system pozytywnego monizmu socyolog, Gustaw Ratzenhoffer („*Der Positive Moni-*

*smus und das einheitliche Prinzip aller Erscheinungen*“ 1899). Mimo jednak wysokich zdolności dyalektycznych nie zdołał w zadawalający sposób zjednoczyć zjawisk fizycznych i psychicznych, ani też wytłómaczyć zagadnienia świadomości.

Dążeniem przyrodników jest zaprowadzić jednostajny pogląd na wszechświat, pogląd, obejmujący, tak martwą, jak żywą przyrodę, jak dążyli do tego: Klauzyusz Bernard, Du Bois-Reymond i inni. Jednym z poważnych szkopułów, o jakie rozbijały się te usiłowania, była i jest kwestya powstawania życia i rozradzania. Helmholtz („*Vorträge u. Reden. Induction und Deduction*“ i „*Ueber die Entstehung des Planetensystems*“), stawia dwie możliwości co do powstania życia, to jest: albo życie istnieje w nieskończoności, albo też poczęło się w pewnym czasie. Podobnie jak Wiliam Thomson, przypuszcza dostanie się na ziemię dostatecznie już ostyglą zarodków organicznych z meteorytami, która-to hipoteza nie rozwiązuje pytania, odsuwa je tylko do dalszej granicy. Hipoteza zaś samorodztwa, abiogenezy, heterogenii, lub też, jak chce Haeckel, archigonii, przypuszcza powstawanie żywych ustrojów wskutek wysoce skomplikowanego ugrupowania pierwiastków, pomiędzy którą główną rolę odgrywa węgiel a następnie azot. Mniemaniu Huizingi, że udało mu się doświadczeniem stwierdzić tę hipotezę, zadaly ciós badania Pasteura. Haeckel powołuje się na zdanie Nägelego, że przyjęcie abiogenezy jest niezbędnem w teorii rozwoju, że zaprzeczanie jej znaczy ogłaszać cud. Przyznaję, że nie podzielałm zgoła tej obawy przed cudem. W znaczeniu przyrodniczem, to, co laik nazywa cudem i łączy z pojęciem jakichś nadnaturalnych czynników, jest poprostu każde zjawisko, niemożliwe w pewnym czasie do wytłómaczenia za pomocą danego stanu wiedzy. Cudy wczorajsze nie są już dzisiaj cudami, tak, jak niektóre cudy dzisiejsze jutro być cudami przestaną. Jeśli jednak cud uważać będziemy za niewiadomą, to zdanie Nägelego i Haeckela brzmieć będzie: że jeżeli nie wytłómaczymy powstawania życia abiogenezą, to nie wiedzieć nie będziemy, i że teoria rozwoju potrzebuje tego tłómaczenia. Zgodzić się musimy, że zarzuty, jakie tej hipotezie stawiano, są w większej części bezpodstawne, zgodzić się musimy, że hipoteza ta jest pociągającą i logiczną; w każdym jednak razie pamiętać musimy, że faktu doświadczalnego lub też obserwacją stwierdzonego brak i że nie faktu służą teoriom, lecz teorie faktom.

Za pierwotny organizm, powstały przez samorodztwo, uważano czas pewien *Bathybiusa* Huxleya, rodzaj kleistej masy, znajdującej się w głębinach morza, coś w rodzaju pierwotnego śluzu Okena. Przypiszczenie to jednak upadło, Haeckel zaś uwa-

za za pierwotne ustroje monery, pierwoszcze, nie posiadające jądra. Nägeli przeczy temu, przyjmując za pierwszy stopień syntezy żywego białka organizacye jakby krystalicznych micelli pierwotnej plazmy, z której następnie wytwarzają się najprostsze znane ustroje. Między plastidulami Haeckela a monerą, twierdzi Nägeli, większy jest odstęp, niż pomiędzy monerą a zwierzętami ssąciami, których ogólne własności już się w monerze zaznaczają. Węglowa zaś teoria, którą Haeckel chce tłumaczyć powstawanie moner, nie jest zgoła możliwą do przyjęcia; nie jest ona właściwie żadną teorią, lecz pewnem niezręcznem uobrazowaniem tylko.

Przypatrzmy się teraz, jak tłumaczy Haeckel rozradzanie się ustrojów i filogenetyczne powstawanie duszy.

Zarodek jajka i plemnik nasienny są pojedynczemi komórkami, które mają sumę fizyologicznych własności, zwanych duszą komórkową. Obie te komórki posiadają zdolność ruchu i czucia. Komórki te przyciągają się wzajemnie i układają na sobie wskutek atrakcyi komórkowej, której przyczyną jest chemiczna czynność zmysłowa plazmy, pokrewna węchowi lub smakowi, zwana erotycznym chemotropizmem; można to nazwać miłością płciową komórek, tak w znaczeniu chemicznem, jak też miłości romansowej. Komórki te mają swój instynkt cellularny. Zlewają się w jedną komórkę t. j. jajko zapłodnione, cytule. Tak samo więc zlewają się i dusze, skąd pochodzi dziedziczenie własności psychicznych, które są tylko mechaniką plazmy.

Śledźmy dalej tę mechanikę.

Herbert Spencer uznał pierwszy, że pojęcia komórki, jako najprostszego składnika ustroju, nie wystarczają, szczególnie dla wytłumaczenia dziedziczności, że trzeba komórkę rozłożyć na pierwotniejsze jeszcze składniki. Wprowadził pierwszy pojęcie jednostki fizyologicznej, tak, jak później Darwin przyjął zarodczki (*gemmules*), Nägeli micelle, Weismann biofory, Haeckel zaś plastidule, rodzaj drobin żywej plazmy. Plastidule te posiadają nieświadomą pamięć, na której polega rozmnażanie, tudzież zdolność pojmowania, — tak przynajmniej sądzą. że należy przetłumaczyć *Fassungskraft*. Dziedziczność jest pamięcią, zmienność zaś pojętnością plastiduli.

Jeżeli nie chcemy analizy przeprowadzić do ostatecznych granic, do pojęć energetyki — pojęć przechodzących w szereg zrównań matematycznych, jak na przykład w fizyce Hertza, abstrahujemy własności i związujemy je razem w jednostki, jak na przykład atom chemiczny, przedstawiciel ciężaru, objętości i t. d.

Stanowi to pewien przestanek dla wypoczynku myśli. Podobnie postępuje biologia, podobnie również rzecz się ma z plastidulami Haeckela, które są reprezentantami abstrakcyi, nawet już nie organizmów żywych wogólności, lecz wprost człowieka. Jeśli jednak porównamy te atomy, czy drobiny biologiczne, z chemicznymi, to widzimy, że abstrakcyje te nie są zgola jednakowe, owszem różnica ich nader wybitnie się zaznacza, tak, że stają twarzą w twarz ze sobą mechanizm i witalizm. Dotąd więc niema zgola mowy o monizmie, lecz widzi się właśnie jaskrawy dualizm. Jakież więc pomost możliwy będzie nad tą przepaścią, jaki pomost Haeckel buduje?

Gdy góra nie chce przyjść do Mahometa, Mahomet idzie do góry. Posłuchajmy, co mówi Haeckel o atomach chemicznych, a mianowicie o ich powinowactwie: Wszystkie skłonności, począwszy od zupełnej obojętności, aż do najgwałtowniejszych namiętności, znajdujemy w chemicznem zachowaniu się pierwiastków wobec siebie, gdzie odgrywają taką samą rolę, jak w psychologii człowieka, a szczególnie w skłonności obojga płci ku sobie. Powołując się na *Wahlverwandtschaften* Goethego, pisze dalej Haeckel, że nieprzeparta namiętność, która pociąga Edwarda do sympatycznej Otylii, Parysa do Heleny, jest tą samą potężną nieświadomą siłą atrakcyjną, która zmusza plemnik do wtargnięcia do komórki jajka, tym samym ruchem, który zmusza dwa atomy wodoru do połączenia się z jednym atomem tlenu w molekuł wody. Na tem opieramy nasze przekonanie, że już i atomy mają najprostszą formę czucia i woli, lepiej zaś powiedzieć: czuciowość (*Fühlung, aesthesis*) i dążność (*tropesis*), a więc duszę w najpierwotniejszym rodzaju.

Widzimy z tego, jakiemu złudzeniu ulega Haeckel, piorunujący przeciw witalizmowi, przypuszczając, że wszechświat cały prawami mechaniki wyjaśnia, podczas, gdy w rzeczywistości narzuca on tylko naturze martwej własności żywych istot w sposób antropomorfistyczny. Nie jest to więc mechanizm, lecz poprostu panwitalizm. W tym powrocie do starożytnego hylozoizmu widać wpływ dzieła Zöllnera pod tytułem „*Ueber die Natur der Kometen*“, w którym Zöllner mówi o miłości i nienawiści gwiazd i ruchach ich, zależnych od uczucia zadowolenia i niezadowolenia. Wyraz „powinowactwo chemiczne“ jest nie-szczęśliwy i dla tego St. Fr. Geoffroye (1718) unika już słowa *Affinité* i zamienia je na *le rapport*, bo w tem powinowactwie leży pewne pojęcie jakiejś *vis occulta*. Od antropomorfistycznego pojmowania powinowactwa nie był też wolny Moleschott, a później Nägeli, mieszkający pojęcie siły z pojęciem woli, którą atomom przypisuje, dziw-

nej woli, jak się Du Bois-Reymond wyraża (*Die Sieben Welträtsel*), do której zawsze potrzeba dwóch, woli jak Adelajdy w Götzu, która to wola czy chce, czy nie chce, musi chcieć i to w prostym stosunku do masy, a odwrotnym do kwadratu odległości! Czy chemia ze chce porzucić olbrzymie teoretyczne zdobycze ostatnich lat kilkudziesięciu, odstąpić od pojęć energetyki, a powrócić do czasów Empedoklesa, wątpić należy. Co do mistycznej fantazyi Haeckela, jednak, musimy się zgodzić ze słowami Du Bois-Reymonda (*Darwin versus Giliini*), skierowanemi wyłącznie do jego poglądów, że gdy chcę czytać romans, to znajdę coś lepszego, aniżeli historię stworzenia.

Utożsamiając wprost duszę czy też objawy świadomości z pojęciami energii, jak to wogóle czyni materjalizm, nie starając się nawet upozorować tego *salto mortale*, wysnuwa Haeckel, na podstawie prawa o zachowaniu energii, wnioski co do śmiertelności duszy w sposób, który przykre nadzwyczaj wyrzucić musi wrażenie. Powołując się na doświadczenia nad skraplaniem gazów, pisze Haeckel, że gdyby dusza była nieśmiertelną, to można-by, gdy ktoś oddaje duszę w ostatnim technieniu, złapać ją i skroplić pod wysokiem ciśnieniem, zamknąć we flasce jako „płyn nieśmiertelny, *fluidum animae immortalis*“ a przez dalsze oziębianie zmienić w śnieg duszy, że jednak doświadczenie to nie udało się dotychczas. Jakkolwiek argumentowi temu, nie mającemu zresztą żadnej siły dowodowej, poświęca Haeckel osobny poddział, trudno go przyjąć inaczej, jak tylko za trywialny i nader niesmaczny dowcip, nieliczący zgola z powagą wiedzy ścisłej.

Na tem rusztowaniu z baniek mydlanych opiera Haeckel swoje poglądy na religię, wychowanie, etykę i urządzenia społeczne, poglądy nader ubogie w głębsze myśli.

Podążymy jednak ku końcowi, ku zagadnieniu wszechbytu, do którego rozwiązania kluczem jest, podług Haeckela, czarodziejskie słowo rozwój. Substancya równoznaczna z Bogiem, wszechświatem i przyrodą, ulegająca ciągłemu rozwojowi, była, jest i będzie wieczną. Czyż to powiedzenie, jednak, nie mówiąc już o rozwiązaniu zagadki, bodaj w części wystarcza do zaspokojenia umysłu? Przyrodnik pyta o bezpośrednie przyczyny zjawisk, a nie o pierwszą, ani też o cel; pyta „co się dzieje“ i „wskutek czego“ się dzieje, a nie „dla czego, do czego lub poco“, bo go tylko ta droga prowadzi do poznania, bo wie, że inaczej zgubił-by się w krainie fantazyi, bo wie, że to nie substancya nie ma granic, lecz nasze przyczynowe myślenie, które, mając już daną

przyczynę, szuka przyczyny tej przyczyny, i tak nie przerwany łańcuchem bieży bez końca, bez wytchnienia, w wieczność i nieskończoność, a do pierwszej przyczyny myślą nawet dotrzeć niepobobna—dla myśli żadna ostatnią jeszcze nie będzie. I czyż tu wystarcza powiedzieć, że tak wszechświat odwiecznie istniał, jak wystarcza dziecku, gdy mu zniecierpliwieni rodzice na natrętne pytanie skąd się coś wzięło, dają odpowiedź, że to tak już było? A jednak te pytania „dla czego i poco“, jakkolwiek ich nie wolno przyrodnikowi stawiać, dręczą go tak samo, jak i innych, choć wie, że ta czarna zasłona nieświadomości nigdy z ócz jego nie spadnie. Wiedziała o tem wysoce filozoficzna starożytna Grecya, gdy stawiała świątynie i ołtarze, na których widniał napis „Bogu Nieznajomemu“.

Filozofia siliła się od dawien dawna. aby te niezbadane tajemnice ubrać w jakiś system, dla rozumu ludzkiego dostępny, a monizm Haeckela nie jest niczem innym, tylko panteizmem Spinozy, nawdzielanym gwałtem, całą siłą napuszonej dyalektyki, na materializm przyrodniczy. Panteizm ten jednak nie zdoła nikogo zadowolnić.

Nie spostrzegą Haeckel, z politowaniem mówiąc o antropomorfistycznym pojmowaniem Boga, że sam daje zupełnie takie samo pojęcie substancji, która jest jego Bogiem, którą w antropomorfistyczny sposób tak samo obdarza własnościami ludzkimi. Lecz ten Bóg jego dla ogółu zgółu jest nieprzystępny, ani też potrzeb uczucia nie zaspakaja.

Jeśli nas dziwi przypuszczenie Haeckela, że odkrył zagadnienie absolutu, że pojęciom masy i eteru przypisuje realną wartość, to wprost w zdumienie wprawia zdanie, wypowiedziane w końcowych uwagach.

Zdanie to brzmi: „Jaka rzecz „sama w sobie“ tkwi poza poznawalnymi zjawiskami.—tego dotychczas nie wiemy. Cóż nas jednak obchodzi ta mistyczna „rzecz sama w sobie“, skoro nie mamy środków do jej zbadania? Pozostawmy jałowe grzebanie nad tem idealnem straszysłem „czystym metafizykom“ i cieszymy się, jako „prawdziwi fizycy“ olbrzymimi realnymi postępami, które nasza monistyczna filozofia przyrody w rzeczywistości przyniosła“.

Więc trzeba było tyle sztucznego naciągania wiedzy przyrodniczej, tyle frazesów, tyle sofizmatów, aby w końcu stwierdzić, że jesteśmy tam, gdzieśmy powinni być na początku, to jest, że nic o rze-

czywistym wszechświecie nie wiemy; że ostatecznie ten cały systemat, oparty na masie i eterze, „które rzeczywiście istnieją, tak, jak Haeckel, gdy o tem myśli i pisze“, jest czezą fantazją tylko, niemającą realnej wartości? Żalować nam tedy jedynie wypada, że refleksya ta przyszła Haeckelowi dopiero na końcu dzieła. a nie na początku, przed jego napisaniem.

DR GUSTAW PIOTROWSKI.

---

# Sylwetki literackie.

I.

## *Piotr Loti.*

... „Niech więc pójdą za mną ci tylko, co drżeli niekiedy wieczorem na odgłos pierwszych jęków drobnych fletów arabskich i towarzyszących im tamburów“ („Au Maroc“).

„Niech tylko ci, tylko ci wyłącznie pójdą ze mną do Arabii skalistej, w głęboką, dźwięczną pustynię...”

„I niech wiedzą z góry, że nie będzie w tej książce ani strasznych przygód, ani polowań nadzwyczajnych, ani odkryć, ani niebezpieczeństw; nie, nie, tylko fantazya wolnej przechadzki w kołyszący krok wielbłąda, w nieskończoność różowawej pustyni“... („Le Désert“).

„Między tymi, którzy oddają się studyowaniu dzieł swoich bliźnich, jest spora liczba takich, z którymi nie mam nic wspólnego, ani idei, ani języka... Spróbuję więc powiedzieć im tutaj: zróbcie mi łaskę i nie czytajcie tej książki; nie zawiera ona nic, coby było dla was, i tak was znudzi, gdybyście wiedzieli!“... („Livre de la Pitié et de la Mort“).



Tak mówi Loti w przedmowach do wymienionych książek, zaznaczając tem samem odrębność swoją i niepopularność.

Rzeczywiście, Loti, znany i głośny w całym świecie z powodu niektórych powieści, w większości dzieł swoich nie dosięgnie nigdy popularności Zoli, Maupassanta, a nawet Bourgeta.

Już sama treść jego utworów — własne jego nastroje, wrażenia, zebrane ze wszystkich krańców kuli ziemskiej, własne jego uczucia — niepokoje i smutki współczesnej duszy, tęskniącej za wiecznością i aż do bólu czującej — nie potrafią nigdy zainteresować szerokiego ogółu na równi z bogatemi w przygody i zawiklaną akcyę powieściami. Będzie on natomiast rokoszują i słodyczą dla wybranych, co odczuć potrafią tę subtelną tkaninę wyrafinowanych wrażeń. delikatny pyłek uczucia, tkliwą i barwną mowę malarzy i poetów.

Jednym z czynników, które pobudzają Lotiego do pisania, jest złudne uczucie, że, zostawiając po sobie dotykalne ślady, zdoła tem samem przedłużyć swoje istnienie. Dzieckiem będąc, chce już „notować, ustalać niknące obrazy, walczyć przeciw znikomości rzeczy i siebie samego“... („Le Roman d'un Enfant“). „Piszę, by spróbować przedłużyć ponad moje własne trwanie to wszystko, czem byłem, wszystko, nad czem płakałem, wszystko, co kochałem“ (tamże). Nikłość zjawisk życiowych, śmierć wszystkiego, co żyje, napelnia go ciągłym, rozpaczliwym żalem; spotykamy się z tem uczuciem wszędzie, na każdej niemal kartce jego książek.

Wobec takiego podkładu uczuciowego, brak wiary, brak nadziei istnienia pozagrobowego, staje się źródłem wielkich ndręczeń ducha. Stąd miłość i uwielbienie dla Chrystusa „maître des consolations inespérées et le prince des pardons infinis“... („Jérusalem“), który dał nam słodką nadzieję życia wiecznego i wiecznego oglądania ukochanych. Ale promienia wiary, osładzającej myśl o śmierci największym nędzarzom, szuka Loti napróżno. Wychowany w pobożnym hugonockim domu, przejęty tradycjami rodzinnemi i fanatycznie pobożny w dzieciństwie, stopniowo traci wiarę. I odtąd zaczyna się dla niego wędrówka przez życie za utraconym skarbem. W nadziei, że znajdzie go może na ziemi, gdzie cierpiała i umarła boska postać Chrystusa, odbywa pielgrzymkę do Jerozolimy. Wybiera najdalszą, niebezpieczną drogę, by „przygotować umysł długiem skupieniem samotności“ („Le Désert“). Ze łzami i drżeniem zbliża się do świętego miejsca — napróżno! Jedynym wynikiem pielgrzymki jest jeszcze jeden tom wrażeń (Jérusalem), pisany krwią i łzami — istna tragedia duszy.

Gdy zatem, podług Lotiego, życie pozagrobowe jest złudzeniem, największem złem jest śmierć, „l'épouvante finale“. Wśród cud-

nego ogrodu, pełnego słońca, kwiatów i woni, stoi on w pozie Hamleta z czaszką trupią w dłoni, dumając nad zagadkami życia i śmierci. Na każdej kartce jego utworów gnieździ się zaczajony szerokooki strach śmierci. To też umierają wszyscy, z małymi wyjątkami, bohaterowie jego. Są silni, piękni, młodzi i umierają w pełni życia, u progu miłości. Wszędzie opisy śmierci, czy to w „Pêcheur d'Islande“, czy w „Matelot“, „Ramuntscho“, „Le Roman d'un Spahi“, czy w „Livre de la Pitié et de la Mort“, lub w najdrobniejszych opowiadaniach, wszędzie śmierć człowieka, czy zwierzęcia, opisana jest z wstrząsającą grozą.

Pojęcia takie ciągną za sobą chęć śpiesznego użycia rzeczy ziemskich i rozkoszy zmysłowych, ponieważ pozagrobowe, „niebiańskie“, nie istnieją.

„To jedno tylko nie zawodzi: młodość, piękno widzialne i dotykalne stworzeń ziemskich. Trzymam się tej formy „niepoznawalnego“, najsilniejszej, najoczywistszej dla mnie, i uwielbiam ją“ („Fleurs d'ennui“).

„Potem, przypomniawszy sobie, że to tylko nie zawodzi, co jest pięknnością fizyczną, co jest urokiem i czarem dla oczu, odwróciłem się od areny, by podnieść głowę ku pięknej senorze“... („Les Reflets sur la sombre Route“).

Dwa te ustępy, wyjęte jeden z najpierwszych, drugi z ostatnich utworów Lotiego, brzmią prawie jednakowo. Pod innymi względami wszakże duch jego pierwszych prac różni się znacznie od późniejszych.

Życie pozwoliło Lotiemu pić rozkosze ziemskie nie tylko z „kielecha“, lecz z oceanu całego. Jako marynarz, objechał świat; „naturę przerażającą, o tysiącnych obliczach, całość nieznaną zwierząt i lasów“, wabiącą go w dzieciństwie, oglądał w całej pełni blasków; poznał miłość kobiet różnych ras i kolorów. Nic więc dziwnego, że znalazł goryczy przesyty i rozczarowania. Nastrój ten odbija się, jak w zwierciadle, w pierwszych jego utworach. w „Aziyadé“, mieniące się blaskiem drogich kamieni, jak rękojeść tureckiej szabli, we „Fleurs d'ennui“, trochę w „Mariage de Loti“, czarodziejskiej baśni, upajającej egzotyczną wonią kwiatów, czarem dziwnych spojrzeń, omdlałą rozkoszą podzwrotnikowej miłości, czującej smak zawodu i rozczarowania. Nuta brzmi jednak zanadto jaskrawo, młodzieńczo, jako zbyt świeże doświadczenie życiowe, z którym się śpieszno młodemu autorowi wynurzyć.

W następnych utworach przesyta, obojętność i egoistyczna pogarda dla ludzi łągodzą się sympatją i litością dla nieszczęśliwych.

Przerafinowany, zmęczony własną złożonością umysł, zwraca się do ludu, jako do czystej krynicy, by znaleźć odpoczynek w otoczeniu istot prostych i skromnych; serca są tu mniej wyschłe i do oddania zdolniejsze.

Czuć to już w „*Le Roman d'un Spahi*“, wspaniałej grze ognistych barw i ponurych, złowieszczych tłmiej pustyni.

W „*Rybaku Islandzkim*“, w „*Mon Frère Ives*“, na miejsce egzotycznych jaskrawych barw kładą się mgliste szarawe tony Bretanii, Północnego morza i senne fale oceanu. Wraz z tym przyćmionym kolorytem występują z głębi dusz prostych—proste, lecz czyste uczucia; serca się pogłębiają i świeci w nich żalność i tkliwość ogromna.

To samo w „*Ramuntscho*“. Na tle skalistych Pirenejów, w odwiecznej ziemi Basków, tej południowej Bretanii, rozwija się idylliczna miłość dwojga dzieci baskijskich. Owiewa ją woń kadzideł, blask jarzących się świec, szmery śpiewów w starych kościołkach, odgłos gier i tańców smukłych górali. Są tam piękności przedziwne; jest jeden ustęp końcowy, gdzie drgają uczucia niewyrażone, szepty niedosłyszane, białe chóry anielskie z liliami wonnemi unoszące się w ciszy klasztornej.

W „*Matelot*“, bolesnej epopei marynarza, znów nędza życia, strach śmierci i boleść macierzyńska.

Współczucie i żalność nad losem nędzarzy stanowią treść wielu drobnych utworów Lotiego. W ostatnich jednakże, w „*Les Reflets sur la sombre Route*“ np., towarzyszyć mu zaczyna ubolewanie nad własną duchową nędzą. Młodość mija, śmierć coraz bliższa, a z nią idzie wiecznie nierozwiązana zagadka życia pośmiertnego.

Rozpacзлиwa chęć przedłużenia bytu uzupełnia się potrzebą jaknajszerszego kręgu sympatii. Toteż Loti zwraca się często do „dalekich, nieznanych przyjaciół“ czytelników; oni-to po jego ewentualnym zgonie mogą najdłużej przechowywać w pamięci, przedłużać jego ziemskie istnienie.

Cały jeden tom, „*Le Roman d'un Enfant*“, rodzaj subtelnej i melancholijnej autobiografii, „*Le Livre de la Pitié et de la Mort*“, głównie ustęp o śmierci ukochanej ciotki, wiele innych opowiadań i wrażeń, gdzie Loti mówi o sobie i wprost od siebie, są zwierzeniem przepelnionego serca, wylaniem udręczonej duszy, którą pociesza myśl, że może gdzieś, daleko, na drugim końcu świata, jakaś daleka i podobnie czująca dusza zrozumie i ulituje się... Szczerłość, wzruszająca prawie, tych utworów odruchowych, wielki artyzm, za jednym uderzeniem wyrazu wprawiający w drzenie odpowiednią strunę w duszy czytelnika, cały ten rodzaj stanowi nowy, odrębny mrok i wdzięk Lotiego.

Znamy i kochamy nie tylko jego samego, lecz rodzinę jego i blizkich. Witamy radośnie, jak starych znajomych, mile postacie, znane z poprzednich utworów.

Miłość i sympatya ludzka nie wystarczają mu; sercem, spragnionem tkliwości, zwraca się do zwierząt. W przedmowie do „*Vie de deux chattes*“ mówi: „Widziałem nieraz duszę zwierząt, ukazującą się nagle w spojrzeniu i szukającą mojej duszy z tkliwością, błaganie, lub strachem... Miewam może więcej jeszcze litości dla tych dusz zwierzęcych, niż dla dusz moich braci, dla tego, że to dusze bez słów, nie mogące wyjść ze swego półmroku, a przedewszystkiem dlatego, że są skromniejsze i bardziej pogardzane.“

W „*Księdze litości i śmierci*“ spotykamy arcydzieła delikatności i wdzięku w nieuchwytnych, niedających się odtworzyć wyrazach duszy zwierzęcej. Biedny, chudy kot chiński, zabłąkany na okręcie, chowa się uporzyciwie w kajucie, i w samotności w dżdżystą noc, siłą skupionego spojrzenia, daje odczuć, że i on potrzebuje obecności i sympatyi ludzkiej. Albo ścisnące serce, przejmujące bólem spojrzenie wołu, prowadzonego na rzeź na okręcie!

Nie jeden zgorszył-by się, czytając, jak Loti całuje ulubione swe koty, lub daje im jeść z własnego talerza. Zapewne te obyczaje starych panien niepozwołyły-by dojrzeć głębszej treści, wybitnego objawu jego duszy, nieprzebranego morza tkliwości, łączącej serce subtelności niemi z żywacemi tworam i przyrody.

Z „*Le Roman d'un enfant*“, dowiadujemy się, że Loti, oprócz muzyki i malarstwa, do których czuł od dzieciństwa pociąg, uczył się bardzo mało, a później czytał też niewiele. Całe więc bogactwo swego talentu czerpie jakoby tylko z siebie.

Może to być prawdą, ale tylko do pewnego stopnia. Życie i otoczenie wnoszą w nas pewne pierwiastki i wpływy, którym bezwiednie ulegamy.

I Loti więc, mimo całą swą niezaprzeczoną samorodność, nie mógł nie uleże prądom czasu. Gdy w pierwszych jego powieściach grają jeszcze dalekie echa konającego romantyzmu, w ostatnich („*Ramuntcho*“, „*Judyta Renaudin*“), słychać ciche akordy mistycznych melodyi. Mógł jednak tym wpływom ulegać minimalnie, gdyż nosił w sobie taką pełnię indywidualnego życia, że nawet w powieściach, tam, gdzie pozornie osoba jego usuwa się na drugi plan, postacie działające—główni bohaterowie, mają swoje własne cechy. Mniejsza o to, że te postacie—to niezłożone, ludowe typy. Loti, jak każdy poeta, ma ucho czujne na dźwięki i szmery przyrody, oko wrażliwe na barwy i blaski, duszę pełną podziwu i lęku przed niezmierną wielkością i tajnią wszechświata. Są to najpierwotniejsze własności poetyckie,

wrodzone zarówno człowiekowi na najwyższym stopniu kultury, jak (może jeszcze silniej) naiwnym poetom z ludu. Takimi poetami są wszystkie jego typy, z których każdy jest jakby częścią złożonej jego duszy. Nie są więc one właściwie psychicznymi typami, lecz jednostronnem odbiciem w leśnym strumieniu twórcy ich, kulturą całego świata wyrafinowanego.

J. J. Rousseau wspomina w „Spowiedzi“, że jego „Nowa Heloiza“ największy wywołała zachwyt, gdyż najlepiej zrozumianą została wśród wykwintnych dam dworu francuskiego.

Mówią że Loti podobnego doznaje przyjęcia wśród eleganckiego świata wytwornych arystokratek. Sfery te są cieplarnią umysłu kobiecego; plenią się w nich karłowate i zatrute trawy, lecz wykwiata czasami wspaniały kwiat subtelności i wdzięku. Niezależnie od sfery, kobieta najlepiej odczuje Lotiego. Tam, gdzie przeciętny, szanujący się mężczyzna napewno wzruszy po przeczytaniu ramionami lub ziewnie szeroko, kobieta prawdopodobnie rozmarzy się lub zapłacze. Bo też Loti, między sprzecznościami swej natury, łączy nieprzeparty pociąg do niebezpieczeństw, odwagę i hart fizyczny marynarza-akrobata, z nerwowością i finezyą kobiecej duszy. Wychowany w kobiecem, kochającym otoczeniu, musiał i później podlegać wpływom doborowego towarzystwa kobiet. Do nich zwraca się większość jego dedykacji.

Loti ubóstwia swoją matkę; jest to najsilniejsze, „wyswobodzone ze wszystkich więzów materialnych“, przywiązanie jego życia. To też matki są najpiękniejszymi postaciami w jego powieściach — są to zawsze matki bolesne, zranione w najgłębszem uczuciu ludzkim. Przedstawić z takim rozdzierającym smutkiem śmierć synów i z taką wielkością ból matek — potrafi tylko Loti.

Drugim jego typem kobiecym są kochanki. Odwieczna przewaga mężczyzn w kulturze ducha ustaliła między innymi i to przekonanie (zupełnie, zresztą, słuszne), że najwięcej warte są te kobiety, które najlepiej kochają. Wypełnić choćby życie całe li tylko miłością — jest zawsze dla kobiety zasługą. Dla mężczyzny było-by to śmieszne i oburzające.

Wszystkie kochanki Lotiego, prócz misternej japońskiej lalki — „Madame Chrysanthème“ — są doskonałemi, kochającemi silnie kobietami. Nawet nawpół zwierzęca Faton-gay („Le Roman d'un Spahi“) okropnem uduszeniem dziecka i własnem demonicznym samobójstwem po śmierci kochanka podnosi się do grozy tragicznej.

Zarzucało Lotiemu (R. Doumic), że rozumie tylko miłość fizyczną. Odnosi się to głównie do jego powieści, które są właściwie

miłosnemi przygodami młodego oficera marynarki, Juliana Viaud, przezwanego przez młodą Tahityankę Loti. Doprawdy, trudno żądać od niego idealnej miłości dla rozkosznej egzotycznej Rarahu, dla pasterki kóz, Paskali Iwanowicz, lub nawet dla najidealniejszej z nich, tkliwej haremowej ptaszyny, Turczynki, a raczej Czerkieski Azyjadé. Trzeba raczej zaznaczyć, że Loti w tych przelotnych stosunkach szuka głębszej uczuciowej treści, ocienia je własną poezją; kładzie i zostawia przy rozstaniu częśćkę swego serca.

W późniejszych powieściach, gdzie kochankowie są z równych sobie ludowych sfer, miłość uduchowia się znacznie. Jest to miłość uczciwa, zamiast miłości „troublant“ z pierwszych utworów. Taką uczciwą, pełną miłością kochają mężowie Gaud i Maryę Kereman, tak Ramuntscho kocha swą Graciuse'ę—mystyczno-zmysłowy kwiat pogranicza Hiszpanii. Najidealniejsza miłość i najidealniejsza postać kobieca, to „Judyta Renaudin“, mająca w sobie coś z „Joanny d'Arc“, czysta bohaterka jego dramatu. Przedstawił w nim miłość (po wielu tomach, gdzie ani słowem o niej nie wspomina), jako dominującą, pochłaniającą wszystkie inne uczucia potęgę. Ale artystycznie piękniejszą jest dawniejsza jego miłość. Loti pozostanie zawsze poetą zmysłów. Uderzają go i zajmują nietylko głębie duchowych objawów miłości, ile wieczny, jak siły przyrody, wielki i tajemniczy pociąg dwóch ciał, kontrast płonących, rozchylonych ust i czyhającego tuż obok widma śmierci.

„Czynić to samo, co czynili od niezliczonych wieków nasi przodkowie, i powtarzać ślepo te same słowa wiary jest najwyższą mądrością, najwyższą siłą.“ (Ramuntscho). Ponieważ wszelkie dążenia i tęsknota do nowych, nieznanych form bytu, są męczącym daremnym wysiłkiem, lepiej zatem iść ścieżką, udeptaną przez tysiące pokoleń, gdyż to nie prowadzi na manowce, a kończy się tak, jak i wszystko w życiu—śmiercią. Taki zrezygnowany pesymizm, taki uczuciowy konserwatyzm prawdopodobnie doprowadził-by Lotiego do konserwatyzmu politycznego, gdyby kiedykolwiek mógł się zajmować polityką—on, czujący dla wszystkich objawów cywilizowanego życia niesłychaną pogardę. Tymczasem, choć tak wrażliwy na najmniejsze cierpienia, nietylko ludzkie, lecz i zwierzęce, chciał-by zatrzymać wojnę, szkołę ducha—jak utrzymuje, a znieść zwyczaj polowania. Sam niewierzący, podziwia fanatycznie nabożny lud hiszpański, głębszy uczuciem od francuskiego, gdy dużo się modli, a nie ma wcale szkół świeckich. Będąc prawdziwym przyjacielem ludu, a raczej niektórych typów ludowych, prawdopodobnie oświadczył-by się nawet przeciw szkołom wogóle,—człowiek rodzi się poetą lub filantropem,

szkoła często paczy wrodzony kierunek, a zarazem pozbawia go naturalnej świeżości.

Łączy się z tem ściśle konserwatyzm artystyczny. Loti kocha wszystko, co stare, a więc cichą, zaśnieżoną Bretanię, odwieczną ziemię Basków, malowniczą, zamkniętą w sobie Hiszpanię, a średnio-wieczną, zasuszoną, jak mumia Arabię, Wschód i Islamizm do tego stopnia, że przypisuje sobie duszę nawpół arabską. Wszelkie objawy cywilizacyi i postępu przejmują go oburzeniem. Wyśmiewa modne kostiumy i udogodnienia kultury, a szczególniejszą wzbudza w nim nienawiść kolej żelazna, „chose bête et rapide,” która mu psuje wrażenie, „wygania ducha dawnych czasów” i przypomina w streszczeniu całą banalność cywilizowanego życia. Przed tą banalnością chroni się w przyprószone pyłem lat kraje. Tam cywilizacya, zastygła już w zarodku, nadaje walce o byt cechy walki zwierząt o łup w lesie. Tam człowiek, poddany przyrodzie, stanowi jednolitą z nią całość; chodzi ścieżkami, udeptanemi przez praojców, mając świeżość i gorzkawy zapach kwiatów, wyrosłych na nieuprawnym gruncie.

Można-by powiedzieć, że forma gra przeważającą rolę u Lotiego, gdyż będąc niezwykle piękną, oprócz prawdziwej prostoty i plastyki prawie dotykalnej, posiada szczególny dar ukazywania odrazu, od pierwszych wyrazów, istoty i właściwości danej przyrody. Treść zaś jak najprostsza, bez jaskrawo dramatycznych scen lub złożonych psychologicznie typów. Można-by urok jego utworów przypisać egzotyzmowi, opisom dalekich, czarodziejskich krajów,—oddalenie w przestrzeni działa w estetyce na równi z oddaleniem w czasie,—lecz Loti nie zawsze przecież maluje pyszne barwy Wschodu lub lapis-lazuli i różowawą emalię Japonii. Mówi często o zwykłych, drobnych zdarzeniach codziennego życia. Gdzież jest egzotyzm w konaniu parszywego kota („Une bête galense”)? w krwawej śmierci byka na arenie pod ciosami torreadora („Pitiés vaines”)? Czyż wszyscy nie słyszeliśmy o śmierci dzieci naszych służących („Passage d'un enfant”). Dla czego te zwykłe historie wzruszają nas do łez i kładą się przed oczami, skąpane w jasnych i czystych barwach? Dlatego, że widział je, czuł i opisał Loti—wielki artysta! Nie forma więc, ani treść, lecz obie razem, zlane w artystyczną całość i tak zespolone, że

nie wiadomo, co jest ważniejsze: czy treść, czy forma—stanowią o zaletach utworów Lotiego, gdyż obie są objawem jego duszy. A dusza ta jest niezwykle czuła i drgająca, oczy mają malarską wrażliwość, a umysł—dar wyciągania z pospolitych zdarzeń głębszej wartości i treści. W sztuce treść jest niczem—wszystkiem jest artysta. Sztuka żyje i oddycha dzięki swemu twórcy; on-to przedstawia życie, jak się w jego oczach odbiło i przejrzało w sercu.

Tłumom o przytępionej wrażliwości potrzeba gromów, szumu wodospadu, katastrof i tragedyi, lecz wiecznie świeża, wiecznie zdziwiona dusza artysty wydobywa z pospolitych objawów najprostsze, wieczne pierwiastki życia i piękna.

JADWIGA WAR—SKA.



---

# Ludność wytwórcza i źródła dochodu

w W. Ks. Poznańskim.

Przed kilku tygodniami wyszedł ostatni tom statystyki zawodowej przemysłowo-handlowej, obejmującej materiały spisu, dokonanego 1895 w całym państwie niemieckim. Cztery z górą lata upłynęło, zanim niemiecki urząd statystyczny zdołał uporządkować i usystematyzować olbrzymi materiał, zawarty w 18 grubych tomach in folio. Spis 1895, jak i poprzedni 1882 r., badał podział ludności na oddzielne zawody i na stanowiska w każdym zawodzie, oraz podział przedsiębiorstw na grupy rozmaitej wielkości pod względem zawodowo-technicznym. Bezpośrednia statystyka majątkowa, — statystyka własności, została wyłączoną.

Otóż dane, zawarte w materiałach obydwóch spisów, pozwalają nakreślić cyfrowy obraz organizacyi ekonomicznej i socyalnej w W. Ks. Poznańskiego. Pomimo wad, zresztą nielicznych i nieuniknionych w samej konstrukcyi spisów 1882 i 1895 r., materiał pod wielu względami jest tak obfity i zarazem tak pewny, że nietylko teoretycy eko-

nomiczni oprzeć się na nim mogą, lecz każdy poważny polityk i publicysta musi się z nim liczyć i w nim szukać realnego punktu wyjścia i wskazówek praktycznych.

Źródła zarobków całej ludności podzielone zostały na pięć klas jak następuje:

- A. Rolnictwo, ogrodnictwo, hodowla bydła, leśnictwo i rybactwo.
- B. Górnictwo i hutnictwo, przemysł i budownictwo.
- C. Handel i komunikacja.
- D. Służba domowa i praca najemna zmienna.
- E. Wojskowość, urzędy państwowe, obywatelskie i kościelne, oraz t. zw. zajęcia wyzwolone.
- F. Ludność bez zawodu (rentyerzy, inwalidzi, chorzy w szpitalach, w przytułkach itd.).

Trzymając się tego podziału, widzimy że W. Ks. Poznańskie liczyło w każdej klasie ludności:

	1895 r.	1882 r.	
A.	1,053,351	1,077,137	ludności
B.	366,966	286,696	"
C.	130,877	115,603	"
D.	33,932	51,070	"
E.	91,627	71,419	"
F.	97,293	63,692	"
Ogółem	1,774,046	1,665,617	"

Ludność W. Ks. Poznańskiego zwiększyła się tedy o 108,429 głów, czyli o 6.5% w ciągu trzynastu lat. Wiadomo wszakże, że ludność polska zwiększa się w daleko większym stopniu; ten mały stosunkowo wzrost objaśnia się jedynie niestanną emigracją ludności z Księstwa. Ale o tem niżej. Najbardziej jednak uderza nas w tabelicy powyższej, że, jakkolwiek ludność wogóle wzrosła, ludność rolnicza zmniejszyła się bezwzględnie i stosunkowo. Jest to znamienny fakt wyludniania się roli, na który słusznie narzekają właściciele ziemscy. Nietylko jednak mniej ludności wogóle żyje na roli, ale liczba osób, ciągnących dochody z roli, zmniejszyła się również w porównaniu z liczbą osób, ciągnących dochody z innych źródeł własno-

ści lub pracy. Widać to z następujących danych. Zarobkujących i samodzielnych bez zawodu (rentyerów) w klasie A było:

1895 roku	404,893	— 57.71%
1882 roku	395,392	— 64.11%

Liczba zarobkujących i żyjących z roli (z pracy na roli i renty gruntowej rolnej) zwiększyła się o  $9\frac{1}{2}$  tys. osób. Jeżeli jednak weźmiemy zarobkujących i samodzielnych bez zawodu we wszystkich klasach zawodowych, z wyjątkiem osób, zaliczonych do D, to okaże się, że stosunkowa liczba osób, mających dochód z roli, zmniejszyła się z 64.11% na 57.71%. Co więcej, z ich dochodów żyje teraz mniej ludności, niż dawniej. W r. 1882 na 395,392 osób, ciągnących dochód z rolnictwa, wypadało 1,077,137 ludności rolniczej; w 1895 r. na większą liczbę, bo na 404,893 osób zarobkujących na roli, wypadało mniej ludności rolnej, bo tylko 1,053,351 osób. Słowem, teraz rolnik nie może lub nie chce utrzymywać z dochodów swoich tyle kobiet i dzieci, co dawniej, lecz woli wysyłać je na zarobki.

Zanim przejdziemy do innych kategorii ludności, musimy zastrzymać się nieco dłużej nad ludnością rolniczą. Ostatnia bowiem, pomimo zmniejszania się, ciągle jeszcze stanowi największą część ludności w Księstwie. Na 1,000 ludności wogóle przypadało na klasę A (rolnictwo itd.).

1895 roku	. . . . .	593.8
1882 roku	. . . . .	647.7

Jakkolwiek więc rolnictwo utrzymuje coraz mniej osób, ludność rolnicza stanowi zawsze jeszcze największą część, bo prawie  $\frac{6}{10}$  całego ogółu. Z punktu widzenia spisu ludnościowego, Poznańskie nie przestało być krajem przeważnie rolniczym.

W układzie stosunków socyalnych ludności rolniczej zaszły ważne zmiany: oto liczba robotników, żyjących wyłącznie z najmu, zmniejszyła się, natomiast liczba właścicieli<sup>1)</sup> rolnych zwiększyła się.

<sup>1)</sup> W statystyce, która wyłączała ze spisu własność, chodzi wyłącznie o liczbę gospodarstw i ich kierowników — Betriebsleiter — dla większej dogo-

Wykazują to następujące dane. Jeżeli przez *a* oznaczymy samodzielnych (właścicieli, dzierżawców i administratorów), przez *b*—oficyalistów i urzędników, przez *c*—robotników najemnych, to okaże się, że w każdej klasie socyalnej ludności rolniczej było:

	1895 roku	1882 roku
<i>a</i>	86,854 — 21.45%	71,474 — 18.08%
<i>b</i>	9,415 — 2.33%	7,642 — 1.93%
<i>c</i>	308,626 — 76.22%	316,276 — 79.99%
ogółem	404,893 — 100	395,392 — 100

Liczba robotników rolnych zmniejszyła się zatem o 7,650 osób, stosunkowo o 3.77%, w tym samym stosunku zwiększyła się liczba samodzielnych i oficyalistów.

Z jakiej warstwy ludności rekrutują się ci nowi właściciele rolni? Odpowiedź na to otrzymamy, rozpatrzywszy następującą tabeliczkę.

#### Liczba gospodarstw o przestrzeni:

Lata	do 2 hekt.	2 do 5 hekt.	5 do 20 hekt.	20 do 100 h.	100 i więcej h.
1895	125,963 61.14%	23,678 11.49%	41,125 19.96%	12,639 6.14%	2,605 1.27%
1882	94,350 56.91%	20,224 12.20%	36,602 22.08%	11,885 7.17%	2,724 1.64%

#### Ich obszar rolny w hekt.

1895	58,898 2.82%	76,687 3.67%	434,883 20.83%	427,829 20.49%	1,089,452 52.19%
1882	48,560 2.37%	67,483 3.29%	390,953 19.09%	407,085 19.88%	1,133,909 55.37%

hekt.=3.92 morgów pruskich.

dnosci mówimy „właściciele“, lecz czytelnicy powinni przez to słowo rozumieć nie tylko rzeczywistych właścicieli, lecz administratorów i dzierżawców. To samo, gdy będzie mowa o przedsiębiorstwach przemysłowo - handlowych.

Zarówno liczba t. zw. parceli, jak i gospodarstw małych, średnich i wielko-włościańskich wzrosła na koszt wielkich gospodarstw rolnych.

Ale zbyt pośpieszny, jeżeli nie błędny, byłby stąd wniosek, że gospodarstwa włościańskie, lub wogóle małe, mają silniejszą podstawę ekonomiczną i pewniejszą przyszłość, aniżeli wielka uprawa rolna. Przedewszystkiem trudno teraz ustanowić kategorię małej, średniej i wielkiej własności na zasadzie przestrzeni, zajętej pod uprawę rolną i gospodarstwo. Chodzi tu nie tylko o wielkość obszaru danego gospodarstwa, ale i o gatunek gruntu, o sposób gospodarki, o wielkość włożonego kapitału i pracy. Doskonałym do tego przyczynkiem, na który słusznie powołuje się niemiecki urząd statystyczny, jest praca p. n. „Die Untersuchung der wirtschaftlichen Verhältnisse in 24 Gemeinden des Königreichs Bayern“ (München, 1895). Jest to rezultat badań kommissarzy statystycznych, którym polecono, aby sami, na miejscu badań, określili, jakiej wielkości gospodarstwo kwalifikuje się jako „własność większa, średnia i mała“. Skutkiem tego okazała się nadzwyczajna różnorodność w oddzielnych gminach: w niektórych dopiero takie gospodarstwa mogły uchodzić za wielkie, które obejmowały przeszło 30, 40 lub 45 hekt. gruntu, w innych już 8, 10 lub 15 hektarowe gospodarstwa uchodziły za wielkie; im życzliwsza rola, lepszy klimat, wolniejsza gospodarka, racjonalniejszy płodozmian, tem mniejszy obszar starczył, aby dany majątek zaliczyć do średnich lub wielkich.

Ale pomijając tę stronę kwestyi, należy przedewszystkiem mieć na uwadze inny, bardziej ogólny warunek: jeżeli mówimy, że wielki przemysł jest ekonomicznie silniejszy od drobnego, to rozumiemy przez to zwykle, że praca w przemyśle wielkim jest wydajniejszą, aniżeli w przemyśle drobnym. Otóż nikt jeszcze nie dowiódł faktycznymi cyframi realnymi, aby praca małorolnego włościanina była wydajniejszą od pracy, stosowanej na wielkich majątkach ziemskich. Rozumie się, mowa tu o pracy równej, o równym jej nateżeniu i długości. Dalej, nikt jeszcze nie zaprzeczył, aby racjonalny płodozmian, zastosowanie maszyn, amelioracyi etc. słowem—aby kapitał, wkładany w gospodarstwo rolne, nie popłacał i nie wzmagał wydajności pracy rolnej na korzyść kapitału. Kto-by chciał twierdzić przeciwnie, musiał-by na zasadzie prostej logiki żądać zniesienia instytutów agromicznych, zniszczenia maszyn rolniczych i cofnięcia kultury rolnej wstecz, do czasów, kiedy kapitał dla gospodarki rolnej był rzeczą obojętną. Jeżeli zaś komu trudno prowadzić gospodarstwo nowożytne i wkładać w rolę kapitał, to chyba włościaninowi najtrudniej.

Jeżeli pomimo to liczba włościan rolnych wzrasta nie tylko w W. Ks. Poznańkiem, lecz i w innych krajach Europy, to z faktu tego niepodobna jeszcze wnosić o większej sile ekonomicznej i pewniejszej przyszłości drobnego gospodarstwa rolnego. Na wzrost liczby małych gospodarstw składa się wiele przyczyn natury historycznej i przejściowej. Bankructwo właścicieli wielkich majątków ziemskich nie oznacza jeszcze bankructwa wielkiego gospodarstwa rolnego. Gdyby właściciel wielkiej posiadłości rolnej chciał i mógł żyć tak, jak włościanin i z takim często nie proporcjonalnym natężeniem pracy własnej i swej rodziny, jak to czyni włościanin — to zaiste nie tylko utrzymałby się na roli, lecz zwiększałby ją niechybnie. Najważniejszym może z pośród czynników, które wielkie gospodarstwo rolne czynią dziś zadaniem trudnym, jest rozwój przemysłu i handlu. Wielkie dywidendy przedsiębiorstw przemysłowo-handlowych nie tylko ściągają wszelkie rozporządzone kapitały w kanały ruchu przemysłowego, lecz jednocześnie zmniejszają wartość roli. Nie znaczy to, aby renta gruntowa rolna miała się zniżyć, przeciwnie, może ona nawet wzrastać i dzięki rozwojowi przemysłu rzeczywiście wzrasta; gdy jednak dochód z kapitału przemysłowo-handlowego wzrasta bardziej, niż renta gruntowa rolna, wówczas skapitalizowana własność ziemska, wartość roli, wyrażona w pieniądzech (wartość zamienna), zmniejsza się: wartość bowiem roli, jak każdego innego przedsiębiorstwa, zależy od przeciętnego w danym kraju zysku przedsiębiorczego. Nikt nie da za rolę 100, aby mieć zysku 5%, jeżeli w przedsiębiorstwie przemysłowym te same 100 dadzą mu 10% zysku. W tym stosunku rola warta tylko 50, a nie 100 kapitału. — Okres zaś 13 letni, w którym rolnictwo poznańskie przeszło powyższe zmiany, był właśnie okresem wielkiego rozwoju „gründerstwa“ w Niemczech, wielkiego przemysłu i handlu.

Do wzrostu liczby gospodarstw włościańskich przyczyniła się również polityka ekonomiczna państwa pruskiego, tj. prawo z 1891 r. o własnościach rentowych (Rentegüter) i anty-polska kommissya kolonizacyjna.

Wracając do wyżej podanej tablicy, widzimy, że najbardziej wzrosła liczba t. zw. parceli, gospodarstw miniaturowych, nie obejmujących 2 ha gruntu. W 1895 stanowiły one aż 61.14% wszystkich gospodarstw rolnych; natomiast przestrzeń rolna, zajęta przez te gospodarstwa, wynosiła zaledwie 2.82% całego obszaru rolnego. Rozumie się, że na takim kawalku roli nikt nie może wyżywić siebie i rodziny. Właściciele lub dzierżawcy tych gospodarstw muszą szukać sobie innego jeszcze zarobku. Między nimi są ludzie majątni, dla których rola jest tylko dodatkiem do innej własności lub pracy: młynów, tar-

taków, szynków, gospodarstwa mlecznego itd. Przeważna jednak część właścicieli lub dzierżawców tych parceli—to najemnicy.

Jeżeli weźmiemy nie liczby absolutne, lecz stosunkowe, to zobaczymy, że posiadacze parceli wzrosli stosunkowo w liczbę na koszt nie tylko wielkich właścicieli, lecz i gospodarstw włościańskich. Bez względu jednak liczba gospodarstw włościańskich wzrosła. Tylko wielkie majątki straciły na liczbie i przestrzeni.

Jedną z przyczyn zmniejszenia się obszaru wielkiej własności rolnej jest emigracja ludowa; znaczną część rąk roboczych zabiera obieżysastwo, resztę pochłania rozwój przemysłu i emigracja zamorska. Narzekania na brak rąk do pracy są z tego powodu zupełnie uzasadnione. Widzieliśmy już wyżej, na zasadzie spisu ludnościowego, że zmniejszyła się nie tylko ludność rolnicza wogóle, lecz i liczba robotników rolnych. W 1882 r. było robotników rolnych 316,276, zaś 1895 r. już tylko 308,626. W sprawozdaniu poznańskiej Izby rolniczej za rok 1898 znajdujemy, że w roku tym rolnictwo poznańskie straciło przez:

a) obieżysastwo

z reg. Poznańskiej . . .	34,172 robotników
z reg. Bydgoskiej . . .	7,555 "

b) emigracye:

z reg. Poznańskiej . . .	408 "
z reg. Bydgoskiej . . .	199 "
ogółem	<u>42,334 robotników</u>

w ciągu jednego roku!

Otóż jedną z przyczyn wychodztwa z roli ludu wielkopolskiego jest—rozwój techniczny rolnictwa. Wskutek wprowadzenia maszyn i ulepszeń, zbiór, omłot, siew i inne roboty rolne odbywają się teraz szybciej, aniżeli dawniej. Dzięki temu, właściciel rolny nie potrzebuje teraz tylu robotników stałych, co przedtem; wystarczają mu najemnicy dzienni, byle ich miał pod ręką. Stąd szukanie stałszego, dłuższego zajęcia w przemyśle, w fabrykach i kopalniach szlaskich,

Westfalii i obieżysastwo <sup>1)</sup>. Z drugiej jednak strony, obieżysastwo i emigracya przyczyniły się znowu do wzrostu drobnej własności rolnej. Rozparcelować część gruntu, rozpowszechnić zwyczaj opłacania robotników przez udzielanie im t. z. ziemi deputatowej, w zamian za część pieniędzy lub dawnej ordynaryi—stało się potrzebą naglącą; w ten sposób dawny robotnik otrzymywał ziemię własną lub deputatową, która zatrzymywała go przy roli i blisko dworu. Ponieważ zaś najemnik sam uprawia swą ziemię deputatową i plon do niego należy, tak samo, jak plon t. zw. ziemi służebnej należy do leśniczych i oficyalistów, którzy również, jak najemnicy, otrzymują część zapłaty w roli, przeto gospodarstwa „deputatowe“ i „służebne“ figurują w statystyce, jako przedsiębiorstwa rolne oddzielne, a gospodarujący lub korzystający z nich robotnicy i oficyaliści—jako gospodarze rolni samodzielni. Aby tedy zrozumieć podaną przez nas wyżej tablicę, zawierającą liczbę rozmaitych gospodarstw rolnych i ich przestrzeni, należy pamiętać, że do nich zaliczone zostały gospodarstwa robotników i oficyalistów oraz rozmaitych urzędników drobnych. Gospodarstwa te 1882 r. grały jeszcze małą rolę i dla tego nie zostały uwzględnione przez statystykę. W 1895 r. na 206,009 gospodarstw rolnych wogóle (obliczywszy gospodarstwa leśne, rybne, hodowli bydła etc.) było gospodarstw, mających rolę

wyłącznie deputatową	65,514	gospodarstw
częściowo	4,144	„
wyłącznie służebną	3,270	„
częściowo	2,755	„
ogółem	<u>75,683</u>	„

opartych całowicie lub częściowo na ziemi deputatowej i służebnej, t. j. należących do robotników i oficyalistów dworskich. Ziemia deputatowa należy nie tylko do robotników, gospodarujących na parceli. Wśród włościan, gospodarujących na 2 do 4 hekt. (12 do 16 morgów

<sup>1)</sup> Na zebraniu ziemian poznańskich, odbytem w końcu r. z. (1899), Mieczysław hr. Kwilecki, jeden z najlepszych, wzorowych rolników, stwierdził, iż nigdy nie cierpi skutkiem braku robotników, ale stara się o zarobek dla nich od 1 kwietnia, nie jak inni od 15 maja. Stwierdza to zdanie nasze o braku stalej służby, jako przyczynie wychodztwa.



pruskich) spotykamy 479, posiadających wyłącznie lub częściowo ziemię deputatową lub służebną. W liczbie gospodarstw, liczących 4 do 6 hekt. (16 do 20 morgów), znajdujemy 287, opartych również na roli deputatowej (częściowej) i służebnej.

Innym objawem tego samego procesu jest zwiększenie się liczby gospodarstw rolnych, opartych wyłącznie na dzierżawie, zwiększenie się obszaru ziemi dzierżawnej wogóle, oraz najem ziemi za pewną część (zwykle połowę) zbioru, bez umówionej z góry ceny takiej dzierżawy.

Było gospodarstw, opartych wyłącznie na uprawie ziemi:

	dzierżawnej	najętej za część zbiorów
1895 roku	22,724	1,298
1882 roku	14,519	—

• O ile dzierżawy wpłynęły na zwiększenie się liczby gospodarstw włościańskich rozmaitej wielkości, wskazują następujące dane. Było gospodarstw, opartych na roli wyłącznie wydzierżawionej w klasach:

Rok	do 2 hekt.	2 do 5 hekt.	5 do 20 hek.	20 do 100 h.	100 h. i więcej
1895	20,308	1,263	617	162	374
1882	12,727	833	414	156	389

Ubyło zatem 15 wielkich gospodarstw rolnych, opartych wyłącznie na ziemi dzierżawionej, a na ich miejsce powstało 8,220 nowych gospodarstw: w tej liczbie 430 gospodarstw drobno-włościańskich, 203 średnich i 6 wielko-włościańskich.

Przestrzeń ziemi dzierżawnej wogóle zwiększyła się z 271,424 hekt. w 1882, do 272,599 hekt. w 1895. Między gospodarstwami rozmaitej wielkości dzieliła się jak n.:

Rok	do 2 hekt.	2 do 5 hek.	5 do 20 hek.	20 do 100 hek.	100 h. i więcej
1895	13,599 7.99 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	12,100 4.44 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	24,864 9.12 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	18,713 6.86 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	203,323 74.59 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>
1882	7,282 2.68 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	7,374 2.72 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	15,191 5.59 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	17,245 6.36 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	224,332 82.65 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>

Z ziemi dzierzawionej, straconej przez gospodarstwa większe, skorzystały najbardziej parcele, oraz drobne i średnie gospodarstwa włościańskie, najmniej skorzystały wielkie [gospodarstwa włościańskie.

Ze wszystkich danych powyższych można wyciągnąć wniosek, że zwiększył się obszar roli, na którym włościanie gospodarują. Ale nie można wyciągnąć stąd wniosku, że własność rolna włościańska zwiększyła się. Obydwa spisy nie dają do tego żadnej podstawy. Z drugiej strony, brak jest pewnych danych do określenia stosunkowej siły ekonomicznej lub przewagi małych, średnich i większych gospodarstw rolnych. Te zaś dane, które rzucają pewne światło na tę kwestyę, każą przypuszczać, że co najmniej małe i średnie gospodarstwa włościańskie popłacają gorzej, aniżeli większe. Zmniejszanie się ludności rolniczej, pomimo wzrostu liczby gospodarstw, szukanie zarobku dodatkowego przez gospodarzy włościańskich, zwiększenie się liczby rąk kobiecych i nieletnich (do 12 i 14 lat) — oto zjawiska, rzucające ponure światło na gospodarstwa włościańskie, nie mówiąc już o niskim trybie życia włościan naszych wogóle, w porównaniu z włościanami innych krajów Rzeszy niemieckiej.

Z pośród gospodarzy rolnych, zajmujących się zarobkiem dodatkowym, prócz pracy na własnej roli, było:

1895 roku. . . . .	12,616 czyli 14.53 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>
1882 roku. . . . .	6,474 czyli 9.06 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>

Wogóle zaś zarobku dodatkowego, jako najemnicy rolni, szukano w 1882 r. 28,990 osób, zaś w 1895 już 47,284 osób. Głównym zaś zarobkiem przeważnej części tych osób było gospodarstwo samodzielne rolne. Niżej znów zobaczymy, jaka masa włościan miała w gospodarstwie samodzielnem tylko zarobek dodatkowy, gdy głównym ich zarobkiem była praca najemna.

Zapewne, dane te charakteryzują bardziej stosunki socyalne ludności, aniżeli gospodarcze. I w ostanich jednak zaszły ważne zmiany, wśród których zmniejszenie się liczby większych gospodarstw i zajętego przez nie obszaru należy do mniej ważnych. W. Ks. Poznańskie wszakże nie przestało być krajem wielkiej własności rolnej i wielkiego gospodarstwa rolnego. R. 1895 większe gospodarstwa rolne stanowiły jeszcze 1.27% wszystkich gospodarstw i 52.19% całego obszaru rolnego. Daleko ważniejszą rolę grały zmiany gospodarcze i techniczne.

Na 100 gospodarstw używało maszyn rolniczych:

1882 roku . . . . .	3.2%
1895 roku . . . . .	12.18%

W porównaniu z innemi krajami nie jest to jeszcze bardzo dużo, bo w całym np. państwie niemieckiem było w 1895 r. 16.36% gospodarstw, używających maszyn rolniczych, w Bawaryi było ich 20.36%, w Schaumburg-Lippe aż 43.83% ; jednakże dla kraju z tak słabo rozwiniętym przemysłem, jak Poznańskie, jest to już postęp znaczny. Zwłaszcza, gdy przyjrzymy się bliżej tym maszynom. Tak np. liczba gospodarstw, używających pługów parowych, wynosiła w r. 1882 35, 1895 r. 131, młockarni parowych 972, resp. 2,111 itd. Rozumie się, że wszystkie niemal maszyny rolnicze przypadają na większe gospodarstwa. Jednocześnie ze zmianami w technice dokonywał się przewrót gospodarczy na roli. Mianowicie, rolnictwo wiąże się coraz bardziej z przemysłem przetwórczym. I to należy mieć na uwadze, rozpatrując wzrost liczby gospodarstw, które pod względem obszaru rolnego zaliczone zostały do gospodarstw włościańskich. Wiele jednak t. zw. gospodarstw włościańskich ma z typowemi takimi gospodarstwami tylko jednakowy rozmiar gruntu, pod względem zaś gospodarczym różnią się zupełnie jeżeli związane są z przemysłem. W 1895 r. statystyka liczyła w Księstwie gospodarstw rolnych, związanych: z fabrykami cukru—13, gorzelniami—355, z fabrykami krochmalu—47, z młynami—2,395, z browarami—77. Dalej, 4,038 gospodarstw produkowało buraki dla cukrowni na przestrzeni 38,139 ha. Kartofle dla gorzelnii i fabryk krochmalu produkowało 1,415 gospodarstw rolnych. Jeżeli weźmiemy drobne i średnie gospodarstwa włościańskie (do 20 hek.), to znajdujemy, że 8 z nich związane są cukrowniami, 44 z gorzelniami, 4 z fabrykami krochmalu, 1,992 z młynami, 64 z browarami. Prócz tego, 1,823 podobnych gospodarstw (do 20 hek.)

produkowało buraki dla cukrowni na przestrzeni 1,315 hekt., 158 gospodarstw—kartofle dla fabryk krochmalu i gorzelnii, wreszcie 454 takich gospodarstw prowadzi produkcję mleczarską w miastach i 230 gospodarstw należy do towarzystw spółek mleczarskich.

Jak dalece zajęcia i zarobki na roli sprzęgły się zajęciami i zarobkami na innych polach pracy, i z drugiej strony—jak dalece zmieniło się stanowisko socyalne wielu gospodarzy rolnych—wskazują następujące dane.

Z pośród wszystkich gospodarzy rolnych było takich, co mieli główny zawód

	jako samodzielni	zależni	
w rolnictwie . . . . .	41.78%	36.58%	
przemysłu i handlu . . .	8.31%	7.15%	
pracy najemnej zmiennej	—	0.54%	
w innych . . . . .			5.64%
ogółem	50.09%	44.27%	+ 5.64% = 100

A zatem nie dla wszystkich gospodarzy rolnictwo stanowi zawód główny, lecz tylko dla 78.36%. Dla 16% właścicieli rolnych głównem zajęciem jest praca w przemyśle i handlu, wogóle zaś głównem zajęciem 21.64% właścicieli rolnych nie jest rolnictwo. A co jeszcze bardziej bije w oczy — prawie połowa (44.27%) właścicieli rolnych żyje głównie z pracy najemnej, nie licząc tych, co mają dodatkowy dochód również z pracy najemnej. Przeważna część wypada na parcele, dość znaczna część ostatnich rekrutuje się z pośród włościan małych i średnio-rolnych.

Słowem, zmieniły się nie tylko liczby, reprezentujące rozmaite wielkości obszaru rolnego, lecz zmienił się również charakter gospodarzy i sposób produkcji. Wobec tego porównywanie liczby gospodarstw na wyłącznej zasadzie wielkości obszaru rolnego nie może dać żadnych pozytywnych rezultatów. Dawniej, gdy charakter gospodarzy i sposób uprawy był mniej więcej jednaki wszędzie, podział gospodarstw rolnych na wielkości przestrzenne miał rację bytu. Dziś są to często wielkości nierównoznaczne, nie dają się przeto porównywać. Tem mniej z danych tych można wyciągnąć wnioski o większej lub mniejszej zdolności ekonomicznej małych lub wielkich gospodarstw rolnych. Kwestya ta przybliży się raczej stopniowo pod znak: mały czy wielki kapitał?

Wreszcie—krótki rzut oka na rozwój przemysłu i handlu w W. Ks. P. Brak tam głównych filarów wielkiego przemysłu fabrycznego: produkcji żelaza, węgla i tkacko-przędzalniczej. Jest to raczej rozwój przemysłu w granicach rękodzielnictwa. Z przemysłem Królestwa Polsk. nawet porównać się nie daje, ze względu na swoje znaczenie ogólnogospodarcze.

W tych granicach zarówno przemysł i handel, jak i ludność przemysłowo-handlowa, rozwija się w kierunku ogólnego rozwoju przemysłowo-handlowego; wykazują to następujące dane:

Na 1,000 ludności przypadającej na klasy A (rolnictwo itd.), B (przemysł) i C (handel i komunikacja) było w:

	1895	1882
A	679.1	728.1
B + C	320.9	271.9

Jeżeli weźmiemy tylko ludność zarobkującą, to okaże się, że na oddzielne klasy socyalne, *a* (samodzielnich, właścicieli lub dyrektorów), *b* (oficyalistów) i *c* (najemników) wypadają:

	B			C		
	1895	1882	+	1895	1882	+
<i>a</i>	31.20%	41.49%	— 10.29%	37.08%	49.89%	— 12.81%
<i>b</i>	2.75 „	2.23 „	+ 0.52 „	8.59 „	7.19 „	+ 1.40 „
<i>c</i>	66.05 „	56.28 „	+ 9.77 „	54.33 „	42.92 „	+ 11.41 „
	<hr/>	<hr/>		<hr/>	<hr/>	
	100	100		100	100	

Zarówno ludność przemysłowo-handlowa wogóle, jak i oddzielne klasy socyalne rozwijają się w kierunku odwrotnym do rozwoju rolnictwa. Widzieliśmy, że w rolnictwie ludność wogóle zmniejszyła się, liczba samodzielnych (gospodarzy) zwiększyła się, liczba robotników zmniejszyła się. W przemyśle i handlu naodwrot: cała ludność zwiększyła się, samodzielnych ubyło, robotników przybyło, zupełnie jak w schemacie ogólnego rozwoju kapitalistycznego: stosunkowe zmniejszanie się liczby przedsiębiorców i zwiększanie się klasy najemnej, czyli koncentracja kapitału.

W liczbach absolutnych było ludności wogóle (licząc zarobkujących, utrzymywanych przez nich członków rodziny i służbę domową) i zarobkujących w szczególności:

	<i>B</i> (przemysł)		<i>C</i> (handel i kom.)	
	zarobkujących	ludności wogóle	zarobkujących	ludn. wogóle
1895 r.	131,052	366,966	45,209	130,877
1882 r.	104,162	296,696	33,597	115,603

W rolnictwie liczba zarobkujących zwiększyła się, lecz liczba ludności rolniczej zmniejszyła się, z czego wynika, że z pracy rolnej w dzisiejszym jej stanie utrzymać się może mniej ludności, aniżeli dawniej. W przemyśle i handlu na odwrót: zwiększyła się nie tylko liczba zarobkujących, lecz i liczba utrzymywanych przez nich osób, przyczem w przemyśle, nie tylko absolutnie, lecz i stosunkowo. Mianowicie w 1882 r. z pracy i dochodów 100 zarobkujących w przemyśle żyło 275.24 osób, 1895 r. z tejsze pracy i dochodów żyło 280.00 osób. Z tego faktu możemy wnosić, że przemysł daje stosunkowo więcej dochodów, aniżeli rolnictwo. Wniosek ten okaże się tem słuszniejszym, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że ludność rolnicza żyje stosunkowo gorzej i wydaje mniej, aniżeli ludność przemysłowa i miejska; czyli, że zarobkującemu w przemyśle stosunkowo trudniej utrzymać rodzinę w mieście, aniżeli rolnikowi na wsi.

Zdaje się, że w powyższem wyczerpaliśmy mniej więcej dane, które-by czytelników interesować mogły. Tymczasem więc odłóżmy na bok resztę bogatej w materiał statystyki.

A. W.<sup>o</sup>

---

# KRONIKA PARYSKA.

W tych czasach ukazał się w druku początek pomnikowego dzieła; wykonał tę pracę hrabia de Crix, przy pomocy Alberta Lacroix; pierwszy tom nosi tytuł: Francya przedhistoryczna i Gallia niepodległa. Autorowie wypowiadają na wstępie, co ich skłoniło do podjęcia pracy, tylokrotnie już powtarzanej.

Druga połowa XIX wieku, jak mówią, zaznacza się znakomitym postępem w badaniach historycznych. Eradycja, wzbogacona nowymi odkryciami, na polu nauk ścisłych, dostarczyła historykom nowych materiałów do badania przeszłości. Michelet, Henri Martin i Guizot rozpoczęli tę ewolucję. Co do dawniejszych prac tak je określił Augustyn Thierry (w listach o historii Francyi 1 tom):

„W tych pompatycznych opowieściach, — mówi on, — gdzie mała liczba osób występuje na widownię, a massa narodu znika pod płaszczem dworskim, nie znajdujemy ani ważniejszych nauk, ani tego zajęcia, jakie budzą w ludziach losy podobnych jednostek. Wy-

czytujemy tam głównie wypadki, dotyczące rodzin panujących, urodziny, małżeństwa, intrygi pałacowe, wojny wszystkie do siebie podobne, których opisy zazwyczaj pozbawione ruchu i malowniczego charakteru.

Tak traktowana historia była po prostu powtórzeniem spełnionych faktów, bez względu na przyczyny, tym sposobem historia stała się suchą kroniką, rodzajem skeletu, bez ciała i bez życia. Tłum bezimienny, zostawiony w głębokim ukryciu, za nic się tam nie liczy. Życie wewnętrzne, obyczaje, potrzeby i aspiracje większej liczby mieszkańców, słowem wszystko, co stanowi czynność ludu, dążącego za postępem, pozostaje w cieniu i znika. Przyczyny poświęcone dla skutków.

„Inna jest prawda historyczna“ —ciągnie autor, — „nie chcemy bynajmniej zaprzeczać znaczenia wielkich jednostek i wpływu ich na łańcuch zdarzeń; wyznajemy jednak, że ciemne tłumy maluczkich i pokornych wpływają na przewodników, popychając ich do ostatecznego działania. Prosty lud, lubo na pozór bezwładny i milczący, głównym jest i koniecznym czynnikiem w spełnianiu dzieła narodowego.

„Naszym celem jest, w myśl Augustyna Thierry, iść za ludem francuskim w paśmie wieków, jak się zwykło iść trop w trop za przyjacielem w ciągu niebezpiecznej wędrówki. W każdej epoce będziemy usiłowali odbudować społeczeństwo, przeniknąć myśl ogólną, poruszając ją do działania, w każdym bowiem okresie naszych dziejów panuje myśl przewodnia, która kieruje świadomie i nieświadomie ludźmi, a której zewnętrzne objawy, stanowiące historię polityczną, są po prostu wynikiem.

Historia Ilustrowana Francji obejmie dwadzieścia tomów, podzielonych na pięć seryi.—Oto plan pomnikowego dzieła.

## S E R Y A I.

Tom I.—Francja przedhistoryczna, Gallia niepodległa (od ? do 52 przed narodzeniem J. Ch.).

Tom II. Gallia Rzymska (od 52 przed narodzeniem J. Chr. do 444 po narod. J. Chr.).

Tom III. Merowingowie (448—752).

Tom IV. Karlowingowie (752—987).



## S E R Y A II.

Tom V. Feudalizm i Gminy (987—1170).

Tom VI. Odrodzenie Francyi w XIII wieku (1180—1270).

Tom VII. Wojny krzyżowe, Francya zamorska (1095 do 1270 r.).

Tom VIII. Ostatni Kapetowie prostej linii, następstwo Walezuszów 1270 — 1350).

## S E R Y A III.

Tom IX. Pierwsza część wojny 100-letniej, rzeź, Francya w posiadaniu Anglików (1350—1422).

Tom X. Dalszy ciąg wojny stuletniej, Joanna d'Arc, wypędzenie Anglików (1422—1461).

Tom XI. Koniec średnich wieków, utworzenie jedności francuskiej (1461—1515).

Tom XII. Odrodzenie włoskie w XVI wieku (1515—1560).

## S E R Y A IV.

Tom XIII. Reformacya i wojny religijne (1560—1589).

Tom XIV. Pierwsi Burbonowie, Henryk IV i Richelieu (1589 do 1643).

Tom XV. Wiek Ludwika XIV (1643—1715).

XVI. Wiek XVIII (1715—1789).

## S E R Y A V.

Tom XVII. Rewolucya (1789—1804).

Tom XVIII. Konsulat i cesarstwo (1804—1815).

Tom XIX. Le régime censitaire (1815—1848).

Tom XX. Powszechne głosowanie demokracji (1848 roku do 1900 r.).

Każdy tom obejmuje 300 do 400 stronic in 8-o i tworzy osobną całość.

Ilustracya złożona przeszło z 10,000 rycin.

Pierwszy tom mamy właśnie pod ręką; odróżnia się tem od innych dzieł historycznych, że jest historią nietylko ludów, osiadłych na ziemi, ale pokazuje zarazem ewolucyę tejże ziemi, spełnioną w paśmie wieków, zanim człowiek na niej zamieszkał.

W tomie tym zamieszczono 500 rycin i 21 mapek, co przyczynia się wielce do rozjaśnienia tekstu; pokazują nam bowiem główne pokłady ziemi, ostatni wynik prac paleontologów i geologów tego wieku.

Co do etnologii, autorowie zaznaczają dwa plemiona pierwotnych tubylców, całkiem odmienne. Jedno z podłużną głową (dolichocephale), drugie z okrągłą (brachycephale).

Te pierwotne typy, przybyłe niewiadomo skąd i kiedy, w epoce czwartej formacji (quartenaire), pomieszawszy się później z sobą i z napływem nowych przybyszów, utworzyły z kolei wieków plemię francuskie.

Następnie widzimy okazy pierwotnej Fauny i Flory, dalej różne przedmioty przedhistorycznego przemysłu, oszczepy do walki z dzikimi zwierzętami, narzędzia ze spiżu i żelaza, ceramikę, wyroby z kości słoniowej, widzimy zarówno pierwotne budy mieszkalne, tumulusy, a następnie warowne grody. Pierwsze obozy Rzymian, medale, oręż i przedmioty stroju, mianowicie z epoki rzymskiej.

Mappy geograficzne dają nam poznać pochody legionów rzymskich w ciągu ich długoletniego podboju.

Sceny, kreślone fantastycznie według przechowanych tradycji, pokazują nam walki Gallów przeciw zastępom Cezara, w których niewiasty galskie zawzięty brały udział.

Szereg tych walk zakończony zdobyciem Żergowii i poddaniem się Vercingetorixa.

---

Najważniejszym wypadkiem tych czasów jest dramat Edwarda Rostanda p. t. „Orlik“ (Aiglon); objęto w nim krótkie życie księcia Reichstadt, czyli króla rzymskiego.

Akt I-szy rozpoczyna się u wód w Baden, księstwie Badeńskim.

W wielkim salonie, wychodzącym na ogród, widzimy Maryę Ludwikę, otoczoną dworem swoim. Zaślubiona świeżo z hrabią Bombelles po śmierci Neipperga, zabawia się wesoło rozmową i muzyką. Na żądanie młoda lektorka otwiera książkę Rasyne'a i czyta ustęp z Andromachy.

Nienawiść do Hektora nie zagasła jeszcze,  
Dla nich syn bohatera to widmo złowieszcze,  
Biedne dziecko, odgadnąć nie przyszła mu pora,  
Że Pyrrus jego Panem, a on syn Hektora.

Na znak Maryi Ludwiki lektorka bierze „Medytacye“ Lamartine'a, i rozpoczyna w te słowa.

Śmiało, synu, upadły z Boskiego plemienia.

Poezya ta nie przypada do chwili, dworskie panie powstają przeciw niedyskretnym poetom. W tem daje się słyszeć okrzyk „Niech żyje Napoleon“. Obecny w sali Metternich przywołuje żołnierza, z którego ust wybiegł ten okrzyk.

Żołnierz odpowiada, że widział, jak książe zuchwale szarpnął konia, że uniesiony zawołał nań tak, jak go wszyscy zowią.

Metternich ostrzega go, że mógł powiedzieć:

„Niech żyje książe Reichstadt,  
„Trudnoż to tak zawołać“  
„Nie tak łatwo Panie“

odpowie żołnierz. Oddalają go. Ukazuje się książe Reichstadt, ubrany czarno ze szpicrutą w ręku. Ambasador angielski, lord Cowley, żąda, aby go przedstawiono. Książe marszczy brwi, lekko pochyla głowę, poczem rzecze: Przybywam z Helenenthal, znasz ją pan dobrze, ze św. Heleny. Lord Cowley odpowiada z naciskiem: Tak się zowie kamień w moim ogrodzie.

Książe wydaje się znudzony. Matka, aby go rozerwać, każe przywołać podróżnego przyrodnika z kolekcją motyli: i te nie bawią księcia. Nadechodzi krawiec i modniarka z Paryża. Są to przebrańni Bonapartyści. Podczas, kiedy krawiec pokazuje kostiumy, modystka, hrabina Camereta, zachwyca Maryę-Ludwikę. Krawiec oznaj-

muje księciu, że należy do Carbonarów, że przysiągł, iż go wykradnie, Księżę odpowiada:

— Podobasz mi się, panie, lecz słowa twoje szalone, mienisz się bonapartystą, lecz jam nie gotów, aby zostać cesarzem.

Kiedy młody konspirator nalega, mówiąc, że kraj myśli o nim i o Napoleonie:

— Dziś zwycięstwo mu blaskiem niepożytym świeci,  
Zabrakło mu szeregów — sławią go poeci.—

Na to księżę odpowiada smutno. „To synowie bohaterów Cesarstwa—dla nich syn cesarza wystarcza. Ja inaczej rzecz rozumiem. On musi pracować, co najmniej rok cały. Żądam tylko od was trzystu nocy bezsennych.“ Camerata i towarzysz jej pytają się, czy księżę zna dobrze historię ojca swego.— „Czekajcie chwilę—rzecz młodźian.

„Oto właśnie godzina lekcyi historyi. Układajcie wasze kostiumy i słuchajcie pilnie.

Nadchodzą w tejsze chwili professor Obenaus z przewodnikiem, z księciem Dietrichsteinem. Poprzednia lekcyja skończyła się na 1805 roku. Teraz następują traktaty; księżę opowiada im wtedy, jak w bitwie pod Austerlitz cesarz zabrał w niewolę 25,000 Austryaków i osiemnastu generałów. Opowiada również, jak słońce zablęskło w dniu sławnego pogromu.

Pędzi w cwał przed szeregiem, woła: „Naprzód wiara!  
Czas nam skończyć piorunem!“ a kapota szara  
Odbija na tle sztabu, strojnego szkarlatem.  
Wojsko płynie, jak morze. Słońce majestatem,  
Zbiega z góry, na przestrzeń, przez obłok rozdarty.  
On słońce zaklął w dziejów nieśmiertelne karty.

Wysławia Napoleona, przypomina, jak ojciec przystał na pokój z dziadkiem, uśmiecha się, patrząc na mistrzów złośliwie.

— Wszak prawda, zem uczynił postęp w księdze dziejów?

Nadchodzi matka, zdziwiona miesieniem syna; on radzi jej rozrywkę na balu.

„Matko moja, zapomnij! Ty zapomnieć umiesz.“ Co do niego, on pozostanie sam! Jak nowy Hamlet, chce żyć z boleścią swoją, ze swoim żalem, rozmyślać o ojcu.

Metternich pozwolił baletniczce, Fanny Essler, na odwiedzenie księcia. Ona przybiega, odziana gazą, mówi z księciem o dziejach Napoleona, powtarza imiona Sucheta i innych walecznych. Zaczyna temi słowy.

„Zaledwie blask zaświtał, gwardya cesarska“...

Na tem kończy się akt I, pelen poetycznego wdzięku.

W akcie II w zanku Schönbrunn, książę w białym mundurze oficera austriackiego, widocznie znudzony; otaczają go dozorczy i szpiegowie; on wypędza wszystkich. Pokazuje się wtedy przyjaciel jego, Prokesch. Książę ściska go, prosi o lekcytę taktyki wojskowej. Mówi mu, że odczytał wszystkie strategiczne prace ojca; pomieścił je na półkach u wezłowia, karmił się niemi we śnie. Powstaje przeciw niedorzecznym skargom poety, Bertholemy, który w poemacie „Syn człowieka“ mieni go schorzałym niedołęgą. Jeżeli postać jego wątła, to skądże marzyć o chwale? sprawia mu to niewysłowioną boleść. Imię, jakie nosi, zadaje mu cios śmiertelny.

Młoda Teresa aktorka, którą książę przewal Strumykiem, przychodzi go pożegnać; książę rozplakał się przy pożegnaniu, a potem żąda, by mu przyniesiono drewnianych żołnierzy austriackich, których używa do strategicznych obrotów. Zdziwił się na widok tych żołnierzy, przebranych w mundury francuskie. Uniesiony radością, stawia ich w szyku bojowym; to dla niego wielka armia. Z temi wiarusami. zawoła, dokonam wielkiej epopei.

W tej chwili wchodzi Metternich, patrzy zdziwiony.

— Gdzież Austriacy?— zapyta.

— Uciekli w popłochu!

Metternich, uniesiony gniewem, rozkazuje zabrać tych żołnierzy a zastąpić ich Austriakami; książę smutno zwiesił głowę, ale sługa szepta mu na ucho:

„Bądź spokojny, mój panie; ja ich pomaluję na nowo.“

A któż ten sługa? To Flambeau, dawny sierżant gwardyi; wciśnął się przebrany do Schönbrunn, czuwa wiernie nad synem cesarskim.

Wprowadzają wtedy Marmonta, księcia Raguzy, przybywa z pożegnaniem. Młodzian zapytuje go, czy mu jeszcze powie co o ojcu.

— „Nie“— odpowie marszałek.

Książę żegna go szorstko; wymawia mu zdradę, w roku 1814. „Napoleon II mówi do ciebie“ — rzecze z uniesieniem. — Marmont, zrazu obrażony, zatrzymuje się, w tym gniewie poznaje zapaleczywość Napoleona. — Znieważaj mnie, panie, ja zostaje.

Wtedy książę bada go: — Dla czego zdradził ojca?

Marszałek odpowiada: za to, że cesarz męczył ich nad siły, przeprowadzał przez wszystkie stolice.

— Zawsze Berlin i Wiedeń, a nigdy Paryża!

Słowem, byliśmy zanadto utrudzeni.“

— A my? cóż to mydopiero? — przerwie Flambeau. Tu stary wiarus opowiada marsze wielkiej armii, dnie bez chleba, noce bez ogniska, te pochody nieskończone pod gradem kul, pod skwarem słonecznym, nieraz w pośród ulewy brnąc po błocie, bez skargi na ustach, a to wszystko dla chwały Francyi, z nadzieją, że się otrzyma krzyż na czerwonej wstążeczce, okupiony ranami.

Wiarus opowiada bitwy, jakie stoczył, rany, jakie otrzymał. Książę dziwi się, że nie widzi krzyża na jego piersiach.

— Aby go mieć — odpowie stary wiarus, — trzeba było uczynić coś więcej.

Po odejściu Marmonta, książę zostaje sam z wiernym Flambeau. Wypytuje go ciekawie, czy myśla o nim jeszcze we Francyi.

Na to sierżant wydobywa z kieszeni różne przedmioty, ozdobione portretem księcia. A kiedy młodzian okazuje głębokie wzruszenie, sierżant wydobywa chustkę z tymże wizerunkiem. „Otrzyj oczy królem Rzymskim“ — zawoła.

Podczas kiedy książę słucha z zajęciem starego wiarusa, po pauzie rozlega się hymn austriacki.

— To nie warto Marsylianki — zawoła Flambeau.

Książę dziękuje mu za godzinę przyjemnej rozmowy. Przyrzeka mu wtedy, że jeżeli postanowi uciec z nim razem, pomieści na stole w tej sali znak, po którym to pozna.

W akcie III też sama dekoracya. Cesarz Franciszek, według starego zwyczaju, przyjmuje prośby poddanych i czyni im zadość. Po między nimi występuje ubogi pasterz, sierota, któremu wydarto ojcowski kęs ziemi. Pragnął-by zobaczyć swoje słonko i odetchnąć swoim powietrzem.

Cesarz przyjmuje z jego rąk prośbę.

— Oddadzą ci, rzecze, wydarty zagon.

— Tym zagonem Francya! — zawoła książę, odrzucając ubogi płaszcz i ukazując się w mundurze. Pada w objęcia dziadka, pieści go, błaga, aby mu pozwolił wrócić na ziemię francuską.

Nie byłaby to pociecha dla cesarza austriackiego, gdyby mógł wyrzec „Oto mój wnuk, cesarz Fracuzów“.

Stary cesarz gotów ustąpić, ale w tej chwili ukazuje się Metternich. Żąda twardych warunków. Potrzeba zrzec się liberalizmu, wolności druku, trójkolorowej chorągwi.

Książę wybucha gniewem, on nie może zaprzecić się rodu swego, wyrzec wielkiego ojca.

— Nie brońcie mi zostać orłkiem!

On zna tylko orła francuskiego; niezem mu orzeł austriacki, złowrogi ptak nocy.

Wobec rozgniewanego dziadka i zdumionego Metternicha zawoła z uniesieniem:

„Mnie każdy z was nie cierpi, mojej zguby ełciwy,  
Ja chodzę między wami, niby Wagram żywy“.

To rzekłszy, wybiega.

Wtedy Metternich głosem powolnym i spokojnym pyta cesarza:

— Będzie on kiedykolwiek na tronie?

— Nigdy—odpowie cesarz.

Gdy zapadła noc, młody książę powraca, kładzie na stole kapelusz Napoleona, znak, po którym Flambeau miał poznać jego zamiar. Stary wiarus przychodzi odbyć nocną straż. Zamyka drzwi, a pewien, że jest sam, zrzuca opończę sługi i ukazuje się w mundurze grenadyera, w tejsze sali, gdzie trzymał straż 1809 r., kiedy cesarz Napoleon przebywał tu jako zwycięzca. Kładzie na głowę bermycę grenadyerską, opiera broń o ramię i woła:

„Ha! rzecz to niesłychana, los dziwnie się waży:  
Grenadyer francuski dziś w Schönbrunn na straży.“

Uradowany spostrzega na stole kapelusz Napoleona. Zrozumiał, co książę postanowił i wykrzykuje z uniesieniem:

— Jakżem ja szczęśliwy!

Tu w ukrytych drzwiach ukazuje się Metternich z pochodnią w ręku. Przybył tu, aby uspokoić księcia. Spostrzegł na stole ka-

pelusz napoleoński. Chwyta z wściekłym gniewem, nienawidzi za dawne poklony, jakie kiedyś oddawał, wobec austriackiego dworu, przeklina go, sypie zniewagi. W tem spostrzega grenadyera, który nie dopuszcza go do stołu.

„Jam wielki kanclerz Państwa Austriackiego,  
Proszę o tem pamiętać.“

„A mnie nie do tego“

Tu następuje gwałtowna rozprawa pomiędzy sierżantem a ministrem; Flambeau udaje, że czuwa przy boku swego cesarza. On śpi na wezgłowie, utkanem laurami.

W tejże chwili ukazuje się książę; Metternich przywołuje straż palacową. Flambeau wybiega oknem, śpiewając bojową pieśń francuską. Wtedy Metternich, mszcząc się za przestach, jakiego doznał, oznajmuje księciu, że przy pomocy wszystkich stronników swoich nie może nigdy panować we Francyi. Niech tylko spojrzy w zwierciadło. Ma rysy Habsburgów, nie w nim nie przypomina rysów ojcowskich. Mówi to z takim szalem, że książę wyrwa mu z rąk pochoďnię, rozbija zwierciadło i upada na ziemię bez zwysłów, wołając: Ojcie, ratuj mnie.

Scena to nadzwyczaj poruszająca.

W czwartym akcie podczas balu maskowego w Schönbrunn, książę Reichstadt zbiera przyjaciół swoich, gotów uciekać z nimi. Hrabina Camerata, przebrana za niego, pozostaje w pałacu. Podczas maskarady książę Reichstadt podsłuchał matkę w rozmowie z Bombelem, sztydzącą z cesarza Napoleona. Odgania Bombela, i jak nowy Hamlet, wyraża matce boleść, jaką sprawia mu lekkomyślność jej słów.

Odbiega potem zrozpaczony.

W piątym akcie na polu Wagram książę z wiernym Flambeau oczekuje na przyjaciół, którzy mają go wprowadzić do Francyi. Waha się, czeka tak długo, że zwraca uwagę policyi austriackiej. Przyjaciele rozbiegają się tymczasem; Flambeau, by nie wpaść w ręce zbirów, przebija się nożem, kona na polu bitwy, wyobraża sobie w obłędnem marzeniu, że bierze udział w pamiętnej walce. Książę przypomina mu przygody sławnej walki. Flambeau przed śmiercią pyta:



- Co czyni ksiązę?
- Daje znak — odpowiada ksiązę.

— A więc zwycięstwo! woła Flambeau tryumfującym głosem, upada martwy na ziemię. Ksiązę słyszy w oblędzie jęki wybuchające z pobojowiska, a dalej huk armat, trąby wojenne, grzmot bębnow, głośne okrzyki „Niech żyje cesarz“. Ksiązę odpowiada na to pysznym monologiem, głos jego łączy się z jękiem rannych; zrozumiał młodzian, że wnet wybijie ostatnia jego godzina; widząc się na polu zalanem krwią, odgaduje w sobie ofiarę. Tu słyhać marsz wojenny. Zbliża się wojsko austriackie; ksiązę chwyta za oręż, gotów rzucić się na nieprzyjaciół, ale poznaje swój pułk, hamuje się w gniewie, rozkazuje salutować zwłoki sierżanta.

Cały ten dramat cudnie piękny.

W ostatnim akcie, bohater, który ma umrzeć za chwilę, przystępuje do stoła Pańskiego z arcyksiężną Zofią, późniejszą matką Maksymiliana, zamordowanego w Meksyku. Śmierć zakończy jego męczarnie. Słyszy wtedy łkanie otaczających go kobiet. Pocięsza je słodkim słowem, rozkazuje postawić przy wezglowiu kolebkę swą, dar miasta Paryża. Ta kolebka i to łoże śmiertelne to cała historia jego dwudziestoletniego życia. Żąda następnie, żeby generał Hartmann odczytał opis ceremonii chrztu, a kiedy generał doszedł do miejsca, jak cesarz, trzymając syna w objęciu, w uniesieniu radości ukazuje go ludowi — młodzian zamyka oczy i kona, przyciskając do ust krzyż legii honorowej; na to Metternich rzecze zinnno do domowników.

— Włożyć nań jutro biały mundur.

Tak się kończy wspaniały dramat, odegrany po mistrzowsku przez Sarę Bernhardt. Wszystkie przeglądy i dzienniki zabrzniały chórem zachwytu. W pośród tysiąca głosów, jeden tylko dziwny stanowił dyssonans. Faguet, przyjęty świeżo do akademii, wyrzekł, zapewne dla osobliwości, że dramat zundził go ciężko, że nie znalazł w nim nowych faktów — wszystko to rzeczy oddawna znane. Autor zapewne nie wyprowadza tu nowych faktów dziejowych, ale sama prawda niedość-że tu wymowna? a Rostand, głęboki psycholog, przedstawia ją gruntownie i opromienia niezrównanym blaskiem poezyi. Lepiej zrozumiał rzecz inny krytyk, Welschinger, obznajomiony doskonale z przedmiotem, gdyż przed kilku laty napisał wyczerpujący życiorys króla Rzymskiego, słusznie nagrodzony przez Akademię.

„Po panu Rostandzie—mówi on—żaden autor dramatyczny nie ośmieli się przedstawić króla Rzymskiego; postać to ostatecznie wykończona, nie mniej poruszająca, jak postać Hamleta. Wiem, że wierna, autentyczna; wiem napewne, że autor trzymał się najściślej historyi, uczynił to w sposób wzniosły i szlachetny“

Sara Bernhardt śmiało przyjęła rolę księcia Reichstadt i oddała ją po mistrzowskiu.

Franciszek Coppé, zachwycony również tragiczną postacią króla Rzymskiego. poświęcił mu niegdyś poemacik.

Przytaczamy tu parę krótkich ustępów:

Kiedy listki na drzewach polysnęły świeże,  
Widywano przed laty w Wiedeńskim Praterze  
Dorodnego młodziana, jak mknął rączym pędem  
Na skarogniadym koniu ze złocistym rzędem.

Młodzian nosił na sobie mundur śnieżno biały,  
Krasne wstęgi i krzyże pierś mu pokrywały,  
Nikt się przecie sławnego nie domyślał rodu,  
Nie wiedział, jak krew wrząco drgała w nim od młodu.  
Jakie skarby pamiątek ta pierś w sobie mieści,  
I nikt wtedy nie odgadł, że umrze z boleści.

. . . . .

Dzień cały syn rozmyśla o ojcowskiej chwale,  
Zaczytan w Bulletynach i w Memoryale,  
Co dnia przebiega myślą te walki olbrzymie,  
Widzi orły w czerwonym szalejącym dymie,  
A na bojowym polu, zalanem posoką,  
Widzi ojca cesarza, jak zatopił oko

W obłokach, gdzie Bellona tryumfuje dumnie,  
I nocą syn zasypia, marząc o Kolumnie“.

W końcu poematu Coppé, zarówno jak Rostand, prowadzi bohatera na nieznane mu pole.

Zabłąkany młodzian sam nie wie, gdzie jest, zapytuje wieśniaczkę. Ta mu odpowiada:

— Jesteś w Wagram, mój piękny oficerze.

---

Król Rzymu zajmuje dziś umysły. Poświęcono mu mnóstwo broszur i rozpraw dziennikarskich, — do najciekawszych należą ogłoszone listy jego do hrabiego Neipperg, nim ten został małżonkiem Maryi Ludwiki.

---

Pod firmą Plon pojawiła się bardzo ciekawa książka pod tytułem: Śmierć Koryntu. Autorem jej jest młody pisarz, Andrzej Lichtenberger, zapewne Alzatzczyk. Nie pierwsza to jego praca. W roku zeszłym zajął uwagę powszechną dwoma dziełkami pod tytułem: „Mały Prot“ i „Siostrzyczka Prota“. Psychologia dziecięca oddana tu w sposób żywy i delikatny. Dziś Lichtenberger występuje na innem polu nadzwyczaj oryginalnie. Dzieło jego, to dokładna rekonstrukcja historyczna społeczeństwa greckiego, przeplatana smutnymi przygodami dwojga zakochanych: Dyoklesa i Jony. Opowieść o smutnych losach konającego Koryntu, upadającej Hellady i umierającego społeczeństwa, jest to jakby ostrzeżenie dla Francji w chwilach przesilenia, jakie obecnie przechodzi.

Autor rozpoczyna rzecz obrazem, wziętym z kroniki Dyodota z Salaminy, historyka z drugiego wieku.

Przytaczamy tu z niej ciekawy i bardzo wymowny ustęp:

„W tych czasach potęga Grecyi złamaną została, jarzmo cudzoziemskie zaciężyło nad nią stanowczo. Dawni zwycięzcy Persów upadli pod naciskiem Rzymian. Legiony szczęśliwsze były od Xerxesa. Morze Jońskie trudniej stawiało opór, niż Hellespont. Synowie nie sprostali ojcom. Krążyły wieści o przepowiedniach, wróżących katastrofę. Słońce o zachodzie większe było od wschodzącego, znak, że ludy zachodnie silniejsze od wschodnich. Widziano orla, drogiego Latynom, jak rozszarpał sowę, godło Ateńczyków. Dzieci rodziły się zgłową ropuchy, wody czerwieniły się krwią. Huragany wstrząsały powietrzem. Zaćmienia powtarzały się bezustannie, widziadła nocne przebiegały kraj, węże spadały z deszczem.

„Wszystko to opisane w rocznikach greckich. Inne znaki oznajmiały Grecyi rychły jej upadek. W Hellenach samych kielkowały zgabne posiewy. Chwila, w której Grecya doszła szczytu chwały swojej i rozsiewała blask po świecie, chwila ta była początkiem jej upadku. Aleksander poniósł do Indyi chwałę imienia greckiego, a państwo jego liczyło więcej królestw, niż było osad w jego ojczystej Macedonii. Mniemano, że cała Azya stanie się grecką. Dzikich tubylców wygnano w lasy i pustynie, jakoby szkodliwe zwierzęta. Ale ta wielkość nie miała przetrwać. Zdawało się, że potęga Hellenów straciła siłę, rozlewając się po niezmiierzonych przestrzeniach, jak słodycz mioda ginie w wodzie głębokiej cysterny.

„Zaledwie umarł Aleksander, państwo jego rozsypało się nagle. Powstawały niepodległe królestwa. Na ziemi, zbroczonej krwią, awanturnicy greccy zakładali dynastye, walczące z sobą, ale ich państwa, oprócz imienia, nie miały w sobie nic greckiego. Ludność składała się z najemnego żołdactwa, nabiegłego z różnych stron, byli między nimi Syryjczycy i Egipcjanie. Te nowe, rodzące się cywilizacye, mogły mieć blask niejaki, ale daleko im było do słonecznych czasów Homera. Likurga i Milcyadesa; geniusz bowiem grecki uległ skażeniu skutkiem zniewieściałości wschodniej i zetknięcia się z barbarzyńcami“.

„Najsmutniejszy obraz przedstawiają pierwsze lata po śmierci Aleksandra. Grecya stała się polem walki, nie tylko dla swoich, ale i dla świata całego. Ludy Azyi całej roczyły tu zapasy. Wojna domowa zalewała krwią wszystkie dzielnice Grecyi. Rzym tymczasem zastawiał sidła.

„Wpśród tych klęsk, upadały starożytne obyczaje, zepsucie ogarnęło całe społeczeństwo, nauki i sztuki piękne nie zajmowały już

umysłów, chciwych użycia, rozmiękczonej zbytkiem; nie wszystko jednak upadło odrazu. zdrowa część społeczeństwa szamotała się przeciwko skażonej; obie upadły razem.

„Kiedy Grecya rozpadała się pod wpływem walk wewnętrznych i obcych najazdów, obok niej, oddzielony cieśniną, wzrasta wielki lud, przeznaczony do opanowania ziemi całej. Tam wolność nie zmieniła się w swawolę; stronnictwa przepominały walk wzajemnych, kiedy szło o dobro ogółu; skromne obyczaje nie zatary jeszcze cnot tradycyjnych. Poszanowanie bogów istniało w społeczeństwie. Pośród walk i codziennych przewrotów, nowi ludzie nie wchodzili do rządu, ale odwieczny senat kierował spokojnie polityką i wytrwale dążył do celu“.

„Kiedy plemiona Helleńskie traciły dawną energię, kiedy Egipt, Syrya, Macedonia i Grecya szarpały się nawzajem, Rzym, postępując zwolna, ciężkim krokiem, zdobywał świat Zachodni. Zręczne akłady prostowały mu drogę, a dyplomaci odnosili zwycięstwa przed rozpoczęciem wojennych kroków. Flaminusz pokonał Filipa Macedońskiego, Scypion Afrykański Antyocho, Grecya w szalonym uniesieniu przyklasnęła pierwszemu tryumfowi rzymskiemu, mieniając się ocaloną. Arystokracja pochylała głowę przed Rzymianami. Emiliusz, pogromca Perseusza, dał pierwszy uczuć Grekom ciężar rzymskiego jarzma.

„Następowały po sobie rzezie, barzenia miast, wygnania, ale nazwa niepodległości istniała jeszcze, a taka była potęga tego wyrazu, że Grecy nie odczuwali słabości swojej, a Rzym sam nie miał pojęcia o własnej sile.

„Wówczas-to spełniły się ostatnie losy, i wybiła ostatnia godzina“.

Tym wstępem z kroniki Dyodota z Salaminy rozpoczyna Lichtenberger opis śmierci Koryntu, zaznaczającej koniec niepodległości greckiej. Na tle kroniki Dyodota z Salaminy autor kreśli swoją epopeję.

Wojenne wypadki przeplata historią dwojga serc, oddanych sobie na wieki. Młody, wirtuoz Ateńczyk, Dyokles, przebywa w Koryncie. Ukochał tu piękną Jonę, córkę Dyoesa, przewodcy demokracji korynckiej. Dyokles ubolewa nad losem Grecyi, zagrożonej przez Rzymian, ale młody arystokrata widzi konieczność ugody; inaczej pojmuje rzecz Jona, córka plebejusza; ona-to ukrzepia siły w zniechęcającym arystokracie. Prześlizgnięta scena w ogrodzie Dyoesa poka-

zuje nam młodą parę, spoglądającą ze wzgórza na pyszny Korynt, pełen złocistych świątyń i posągów, dalej jeszcze na roztaczającą się przed nimi Grecyę, jej góry, zawieszone w obłokach, Olimp, siedzibę mitycznych bóstw, Ateny, kolebkę cywilizacji i ojczyznę bohaterów. Jona, ukazując te miejsca, przebiega całe dzieje Hellady; słucha jej Dyokles i serce bije mu z nową siłą. Inna, przepyszna scena ukazuje nam Dyoklesa, tryumfującego na igrzyskach. Widzimy go na błękitnym wozie, uprzężonym w cztery śnieżno-białe konie, jak prześciga pięciu współzawodników; niezliczone tłumy przyklaskują zwycięzcy. Jona patrzy znów z uniesieniem. Uwieńczony młodzian zbliża się do niej, obsypany oklaskami tłumów, ale w tejże chwili zmienia się scena: miejsce oklasków zastępuje okrzyk przerażenia, i cóż tego przyczyną? Oto starzec, zbroszony krwią, staje wśród tłumu, przybiega z pola bitwy, oznajmuje klęskę Koryntczyków. Zdrada arystokratów zapewniła zwycięstwo legionom rzymskim.

Powstaje zgiewek i wrzawa; lud, uniesiony szałem, gotów rzucić się na przywódców arystokracji. Dyoos nie dopuszcza gwałtu; na stopniach posągu Jowisza przemawia do tłumu. „Achajczycy, — woła grzmiącym głosem, — w tym straszliwym dniu przekleństwo temu, ktokolwiek odstąpi od jedności. Achajczycy, nie możemy zapanować nad losem Koryntu, ale obowiązkiem naszym jest zapanować nad sobą. Poprzysięgnijmy sobie, że walczyć będziemy do ostatniego tchnienia; upadek Koryntu pozostanie w historii smutnym pomnikiem słabości naszej“.

Rzekł-by kto, że potężny Dyoos wydobyl z głębi serc dawny zapal. Dreszcz przebiegl tłumy, z 20,000 ust wybiegl okrzyk: „Ale wszyscy z tobą Dyoosie! Prowadź nas!“. Tysiące rąk wyciągnęły się ku niemu, oczy błyskały żarem, jak w czasach bohaterskich, serca ludu uderzyły jedną myślą. Dyokles wspomniiał owe tłumy, z których wybiegli niegdyś Milcyades i Temistokles, zwycięzcy z Maratonu i Salamin. Spojrzał na Jonę, drgającą z zachwytu, odczuł w niej obraz uosobionej Grecyi. Koniec tragicznej epopei, to najwyższa apoteoza bohaterstwa, na jaką zdobyć się mógł poganizm. Dyoos, pokonany przez Rzymian, ścigany klątwą i urąganiem swoich, powraca do Koryntu. Legiony pędzą tuż za nim. Korynt zgubiony. Przewódca demokratów nie ujdzie śmierci z rąk wroga; aby uniknąć tej sromoty, wyczerpany z sił, wobec córki i Dyoklesa, wbija w pierś mordercze żelazo, lecz Jona nie przeżyje ojca. Za ledwie że pogrzebano jego zwłoki, spełnia czarę cykuty i kona na grobie Dyoosa, wobec Dyoklesa, który, ugodzony włócznią rzymską, pada u boku ukołchanej.

Autor zakończy tragiczną epopeję przytoczeniem ostatnich słów kronikarza Dyodota z Salaminy.

„Taki był w trzecim roku 158 Olimpiady koniec Koryntu, miasta najślawniejszego w świecie. Niech jego przykład służy za nankę ludom, szarpanym niezgodą, które pragną żyć jeszcze życiem niepodległym.“

SEWERYNA DUCHIŃSKA.

---

# Autor „Kłopotów starego komendanta”.

(Ś. p. *Albert Wilczyński*).

Dwóch najpopularniejszych swego czasu humorystów, „Au. Wi, chirurg filozofii i kawaler krzyża naturalnego”, (August Wilkoński), oraz autor „Kłopotów starego komendanta” (Albert Wilczyński) rozpoczynało swój zawód pisarski i pierwszy rozgłos zdobywało na kartach „Biblioteki Warszawskiej”.

Obaj zostali literatami z przypadku; jeden i drugi, nie dowierzając sobie, z nieśmiałością, która cechowała początkujących pisarzy starego pokolenia, „spróbowali pióra”, jak się to niegdyś mówiło, w drobnostkach, kreślonych od ręki, i oddali je do druku, nie przypuszczając nawet, aby mogły zwrócić czyjąś uwagę.

W drobiazgach tych jednak tkwił zarodek niezaprzeczonego, oryginalnego talentu, który błysnął odrazu w oczy czytelnikom i krytyce.

Podobnie, jak Wilkoński pierwszą swoją ramotką: „Czy Kopernik był Polakiem?”, wzbudził ogólne zajęcie i pozyskał oklask ujętych



dowcipem i humorem literackiego facecyonisty czytelników, — Albert Wilczyński naszkicowaną sylwetką starego porucznika, trzymającego komendę nad drużyną pociesznych inwalidów w małym miasteczku, zjednał sobie tak samo ich względy i stał się w mig poczytnym pisarzem.

W trzydzieści lat później, na czele zbiorowego wydania swych utworów, podjętego nakładem dwóch redakcyi: „Biesiady Literackiej“ i „Tygodnika mór i powieści“, odzywając się „do czytelnika“ z tą samą jakąś pokorą i skromnością, z którą po raz pierwszy wstępował w publiczne szranki, pisał:

„Pierwszy obrazek skreśliłem bez żadnej myśli drukowania i tem bardziej bez planu na przyszłe; lecz skoro po umieszczeniu go w „Bibliotece Warszawskiej“ opinia publiczna wyraziła się o nim pochlebnie, ludzie uczciwi przyjęli go sercem i sercem do dalszej pracy zachęcili, czułem się w obowiązku pisania dalej—i stąd powstał drugi i następne“.

Bez zarozumiałości o swoim talencie i literackich zasługach tak szczerze i prawdziwie oceniał sam swoją wartość, mówiąc w dalszym ciągu przedmowy:

„Nie wszystkim przeznaczono błyszczeć, nie wszystkim wlał Bóg do duszy taką siłę uczucia, a na czole wyrzył znamię talentu, by mogli wstrząsać sercami współbraci. I drobne ziarnko czasami rozplenia całe pola, i okruszynka, dorzucona na ogólną szalę pracowników, złe przeważyć jest w stanie, i wreszcie dla podniesienia wielkich potrzebni są mali. Dlatego więc, czując wewnętrzny przymus pisania, oddaję wam wszystko. co dać tylko mogę“.

Dwudziestopięcioletni młodzieniec zabrał się wówczas do pióra bez wszelkiej pretensyi literackiej, jedynie tylko z powołania, z instynktu, który był „wewnętrznym przymusem“, cechującym każdy prawdziwy talent, bez pożądania rozgłosu i sławy, o której sam wątpił.

W szeregu obrazków, które się złożyły na „Kłopoty starego komendanta“, „starał się, — jak powiada, — odwzorować społeczność naszą tak zwanej klasy średniej, dotąd prawie niczyjem piórem nie tkniętej“. Czytelnikowi nie kazał też szukać „intryg węzła powieściowego, lub dążeń, mających wpływać na przetworzenie się pokolenia“; opowiadał zdarzenia i wypadki tak, jak one biegły w zwyczajnej kolei życia ludzkiego.

„Czytajcie zatem z dobrą wolą, — wołał do czytelników, — czytajcie, śmiejąc się z przygód starego komendanta, a jeśli wśród trosk powszedniego życia chwilę jaką uprzyjemnić wam potrafię, już pół celu osiągnę, — że praca moja bezużyteczną nie była“.

Przerzucając dzisiaj powtórnie karty tej pierwszej książki, która uczyniła autorską firmę Wilczyńskiego tak popularną, szczególnie po ukazaniu się jej w wileńskim wydaniu (roku 1856), i natychmiast znalazła w Petersburgu tłumacza na język rosyjski, a w dwadzieścia lat później na niemiecki,—łatwo zrozumieć, dlaczego miała tak wielkie powodzenie.

Przedewszystkiem przebijała z niej indywidualność jowialnego i umorysty w młodym autorze, który patrzył na świat pogodnym okiem i podglądał słabości i niewinne śmieszności ludzkie z jakąś pobłażliwością dojrzałego umysłu, a z optymizmem człowieka, kochającego swoich bliźnich, niezrażonego do świata, nieuprzedzonego do życia.

Z jakimś miłym, serdecznym uśmiechem na ustach umiał opowiadać w zabawnym tonie o swoich bohaterach, podpatrzonych widocznie z żywych wzorów, a ujmujących zawsze nie głęboką, ale nawskroś poczciwą naturą, rdzenną swojskością typów dawnego pokolenia, ginących coraz bardziej z widowni nowszych czasów, zaernością charakterów prostych, lecz szczerych, zasługujących na sympatyę i szacunek.

Wiało z nich jakieś łagodne ciepło, które rozgrzewało serce czytelnika i kazało mu się nieraz uśmiechać przez łzy; znać było, że autor ucuwa dla nich sam wiele życzliwości, że chociaż bawi się ich kosztem, czyni to oględnie i bez złośliwej intencji, że choć ich pozornie ośmiesza, nie chciał-by im ubliżyć, ani dokuczyć, a w każdej chwili gotów odłożyć pióro i uścisnąć ich rękę z przeproszeniem za żart, na jaki sobie z nich pozwolił.

Bez żółci, bez uprzedzeń, bez wyszukiwania stron ujemnych w tych ludziach, którym przypatrywał się z blizka w rzeczywistości, a którzy opromieniali lata jego młode i tworzyli dokoła niego ciepłą, jasną, czystą atmosferę, nie jak satyryk, wykalający oczy prawdą, ale jak humorysta, który zabawną opowieścią pragnie rozweselać nawet wtedy, kiedy sam swoim tematem jest wzruszony, opisywał Wilczyński „Kłopoty starego komendanta“.

Bardziej świadomi stosunków osobistych autora utrzymują, iż pierwowzór do tej figury znalazł w osobie niejakiego Białkowskiego, urzędnika skarbowego w Kielcach, i w jego rodzinie, zamieszkałej we własnym drewnianym domku, do dziś istniejącym przy ulicy Wesołej, za żelaznemi kratkami; przebywając około roku 1843 w kieleckiej wyższej szkole realnej, po ukończeniu początkowych nauk w Pińczowie, miał sposobność obserwować dłuższy czas starego oryginała i zbierać wzorki z natury, nie przewidując, że w kilka lat później, gdy zostanie aplikantem sądowym w Warszawie, spróbuje zużytkować materiał młodzieńczych wspomnień.

Utrzymują, iż „stary komendant“ srodze był na Wilczyńskiego obrażony, i że potrzeba było długiego pośrednictwa osób z ówczesnego towarzystwa kieleckiego, aby utalentowanego humorystę z żartobliwym komendantem pogodzić.

Uraza była w tym wypadku niesłuszną; może raczej wdzięczność należała się młodemu autorowi za skreślenie tak ujmującej i dodatniej sylwetki, która całym pokoleniom czytelników przechować miała sympatyczną postać „starego komendanta“, żyjącego w Kielcach na emeryturze, i wprowadzić do powieści polskiej jeden z najbardziej swoich typów napoleońskiego wojaka w dymissyi.

Przez niego właśnie. pomimo ogromnej różnicy w rozwoju polskiej belletrystyki, pomimo zmienionej jej faktury, zbiór tych bezprentensjonalnych obrazków z przeszłości naszego społeczeństwa, książka Wilczyńskiego zachowała jakąś niezwiertzałą świeżość, i budzi zawsze jeszcze zajęcie czytelnika, jak owe stare landszafty i kopersztychy, na których z ciekawością i osobliwym uczuciem rozrzewnienia przyglądamy się widokom dawnych pamiątek i wizerunkom naszych pradziadów.

Ze względu na autora, uderza jedna rzecz szczególna: oto podziwiamy w „Kłopotach“ zdecydowany odrazu talent pisarski, który przez następnych lat czterdzieści swej twórczości zachowuje te same zalety, ten sam humor jowialny, ten sam drobiazgowy zmysł spostrzegawczy i wesoly nastrój, tę samą nawet fakturę powieściową i właściwości stylu prostego, naturalnego, swobodnego w narracyjnym toku, jak gdyby wychodził żywym słowem z ust dowcipnego gawędziarza, a nie z pod pióra literata, spisującego swoje wspomnienia i obserwacye przy autorskiem biurku.

Powiedzieć-by można, że talent Wilczyńskiego wyskoczył odrazu, jak Minerwa z głowy Jowisza, w pełnym rynsztunku; zaznaczyły się w nim wszystkie najbardziej znamienne jego rysy, których późniejszy czas nie zatarł, ale i nie o wiele wydatniej wyzłobil. Pozostał tym samym przez ciąg przeszło czterdziestoletniej twórczości, nie przechodząc żadnych szerszych ewolucyi; życie zrobiło go tylko doświadczeńszym człowiekiem i dostarczyło mu więcej obserwacyi, obfitszego materiału do kreślenia „obrazków“ naszych czasów.

Ze sfery małomiejskiej, która początkowo zasilala go tematami do humoresek, przeniósł się w sferę ziemiańską i znalazł sposobność rozszerzenia zakresu swoich spostrzeżeń.

Jako sekretarz Kommissyi sprawiedliwości Królestwa Polskiego. porzucił służbę i przeniósł się w roku 1860 z Warszawy na wieś,

by gospodarować na roli; najpierw przemieszkiwał czas jakiś w Czerwoncu, potem w Żarnówcu na Podlasiu, a po jedenastu latach orania pługiem, wyjechał do Galicyi i osiadł we Lwowie, gdzie, jako urzędnik Wydziału krajowego, pracował do końca życia.

Oryginalny to szczegół, że prawie wszyscy wybitniejsi nasi humorysty, Wilkoński, Wilczyński, Szczęsny Morawski, Jordan (Wieniawski) i kilku innych, należeli dłużej, czy krócej, do stanu ziemiańskiego, gospodarowali na wsi i najwięcej materiału do swych satyrycznych utworów zebrali pod dachem dworu wiejskiego i pod strzechą wieśniaczej chałupy.

Jakkolwiek nie po samych różach stąpać musieli i nie samem mlekiem i miodem płynęła ta ich ziemia, uchronili się jednak od zgorzkniałego pesymizmu, umieli zachować jakąś dobroduszną jowialność i śmiać się bez zgrzytania zębami, bez żółciowego humoru, bez ostrego sarkazmu, chociaż im życie odślaniało także swoje złe, brzydkie i szkodliwe strony.

Obcowanie z naturą i ludem, prostota i bezpośredniość wrażeń, większa równowaga umysłu i nerwów, spokojniejsza refleksya, urabiały ich korzystniej na krytyków swojego społeczeństwa, aniżeli życie miejskie, pełne gwaru, chaosu, gorączkowych podnieceń, drażniących wpływów i wstrząśnień chwili bieżącej.

W indywidualności i talencie Wilczyńskiego pozostały ślady tej ziemiańskiej praktyki w najpiękniejszym okresie życia, pomiędzy 30-tym a 40-tym rokiem męskiego wieku.

Była to wprawdzie epoka, w której talent jego ugorował; zajęcia praktyczne wytrąciły mu pióro z ręki na cały lat dziesiątek, nie pisał nic i nie drukował aż do czasu przeniesienia się z Podlasia na bruk galicyjski, ale oko obserwatora nie mrużyło się i nie traciło bystrości wzroku.

Mimowoli, z instynktu i przyzwyczajenia, robił studia z żywej natury i zapisywał je w notatniku pamięci, nie myśląc o tem, aby wrócić jeszcze do pióra i zużytkować zebrany materiał; dopiero we Lwowie, Władysław Łoziński, ówczesny redaktor „Gazety Lwowskiej“, subtelny krytyk i wytworny literat, zetknąwszy się osobiście z nowym przybyszem, który dobrowolnie opuścił obóz literacki, wciągnął go znowu w szeregi i zachęcił do pisania.

Autor „Kłopotów starego komendanta“, „Naszycy dzieci“, „Drobiazgów powieściowych“, dał się namówić, i po długoletniej przerwie próbował znowu swoich sił w felietonach „Gazety“.

Odwyktemu od pióra humoryście ten powtórny występ na publicznej widowni nie udał się pomyślnie; Wilczyński *redivivus* nie zwrócił uwagi, ale na szczęście niepowodzenie nie zniechęciło go; dawny rozgłos rozbrzmiewał, życzliwi ośmielali, więc spudłowana „Miłość i recydywa“ poszła za płoty, ale zaraz następna „Historia mojej dubeltówki“ wypaliła takim humorem i dowcipem, że ożywiony autor coraz to nowym nabojem ladował swoje pióro i ze zdwojoną gorliwością wychodził w literackie pole.

Rok rocznie jakaś nowa powieść, lub nowella ukazywały się od-tąd w druku, zyskując Wilczyńskiemu uznanie i względy czytelników. Nastąpiły znowu czasy, w których autor „Kłopotów“ należał do najpo-czytniejszych belletrystów, a wydawcy gazet i dzienników dopraszali się u niego choćby o krótką humoreskę, byle się w prospektach nowo-rocnych pochwalić jego współpracownictwem.

Ta druga doba twórczości Wilczyńskiego była też o wiele płod-niejszą od pierwszej. W roku 1885 można było już dwadzieścia wybo-rowych tomów jego dzieł zebrać do osobnego wydania w War-szawie.

Rozumiesz, że na czele tego szeregu kroczył „Stary komendant“ z zawsze młodą fantazyą, i prowadził całą kompanię zabawnych, po-ciesznych, wesołych figur, które autor pozbiierał z życia i powstawił w ramy swoich obrazków, szkiców i fotografii społecznych.

Rozmaitość była tam wielka; co prawda, w tej galerii obrazków największą wartość miały same figury, kreślone zawsze ręką pewną, wprawną, umiejacą zarysowywać je w konturach bardzo charaktery-stycznych, wyrazistych, niekiedy drobnimi punktami podcie-niowanych tak, że wylaziły z tła plastycznie, jak ulane, pełne prawdy, doskonale podpatrzonej, i życia.

Mniej zajmowała treść owych obrazków, pozbawiona bardziej powiklanej intrygi; w tym względzie pomysłowość nie zawsze dopisy-wała belletrystyce. Epizodyczność, charakterystyka, obfitość szczegó-łów wypełniały luźne miejsca w słabej koncepcji obrazków, które da-wały się streścić najczęściej w kilku słowach.

Podstarzały wdowiec oświadcza się o młodą dziewczynę, która sobie zawraca główkę kim innym, ale ten inny się ośmiesza nieustan-nie w jej oczach, więc panna nawraca do pierwszego konkurenta i wy-chodzi za niego za mąż; temat, wystarczający na dwa felietony, wyp-elnia jednak cały tom „Siostry mojej żony“.

Chorego szlachcica na wsi najeżdżają sąsiedzi i sąsiadki, które wypłasa bajką o strachach we dworze, aby nareszcie odetchnąć spo-kojnie, pozbywszy się nieproszonych gości; znowu materyał tak kusy

i wazki, że można-by z niego zaledwie nowelkę wykroić, ale autor umie go rozciągnąć na spory tom „Sielanek szlacheckich“.

Gdzieindziej niedobrane małżeństwo rozchodzi się po siedmiu latach pożycia, bo zazdrosny mąż wykrywa tajemnicę zalotnej żonki, i oto powstaje z tego cała powieść pod tytułem: „Milutka żona“. Jeszcze gdzieindziej obywatelska rodzina przesiedla się na bruk miejski, by kształcić swoje pociechy, i przeniesiona w inną atmosferę, marnieje wśród doznanych zawodów i kłopotów; powstaje z tego obszernie studyum z natury pod tytułem: „Dla dobra dzieci“.

I tak prawie wszędzie i zawsze, szczupły temat musi starczyć na zapełnienie zbyt obszernych ram, ale autor umie to robić tak zręcznie, potrafi czytelnika tak zająć, zabawić, wciągnąć w to male i ciasne kółeczko swego pomysłu, i tyle mu sypnie szczegółików, tyle figielków mu pokaże, tak go naprzemian będzie rozśmieszał i rozrzewniał, że czytelnik ani się spostrzeże, iż w tej smacznej potrawie dostał więcej sosu, niż pieczeni.

W ten sposób powieści i nowelle Wilczyńskiego co do wartości i treści swojej należą do galeryi „obrazków rodzajowych“, malowanych często na większą skalę, niżby wypadalo; niekiedy też nadużywają zbyt poważnego tytułu „Fotografii społecznych“, gdy w rzeczywistości są tylko Albumem szkiców i figur charakterystycznych bez podkładu głębszej, społecznej idei.

Trudno mu jednak robić z tego zarzut, że nie obejmuje szerszych horyzontów życia, nie porusza żywotniejszych zagadnień, nie sięga głębiej w duszę zbiorowego człowieka, poprzestając na obserwacji indywidualnych rysów wybranej jednostki, troszcząc się często więcej powierzchownemi objawami danego osobnika, aniżeli wewnętrzną istotą charakterów, stawianych w poważniejszych i decydujących kolizjach życiowych; to nie jego zadanie i cel, to nawet do jego rodzaju i natury przedmiotów nie należy. Zwykł patrzeć na świat, na ludzi, na życie ze strony humorystycznej, i wyszukiwać to tylko, co „śmiechu warte“, ale śmiechu bez ironii i sarkazmu, bez goryczy i szyderstwa.

Przez szlachetniejszą naturę swego talentu i zmysł spostrzegawczy, który umie chwytać cechy śmieszne, lecz prawdziwe, odwzorowywać życie nie skarykaturowane, lecz rzeczywiste, wybierać motywa, jeśli nie całkiem realne, to zawsze prawdopodobne, zamiast posługiwać się facecyą i conceptem własnego pomysłu, staje Wilczyński pośredku między Wilkońskim a Lamem w rzędzie naszych humorystów; wyższym jest od swego poprzednika, bo kreśli nieprzejaskrawione i prawdziwe „obrazki z natury“, starając się ludziom, rzeczom

i sytuacyom nadać piętno swojego czasu, okraścić swój humor uczuciem i poezją, podeprzeć go realistyczną obserwacją. podczas gdy tak popularny niegdyś „chirurg filozofii“ w swoich ramotach i ramotkach był raczej zabawnym facecyonistą i anegdociarzem, prozaicznym dowcipnisiem, szukającym śmiesznego efektu w sztucznie wytwarzanych kontrastach, które rażą nas dzisiaj już swoim jaskrawem zabarwieniem i pospolitością formy, pomimo bardzo wielu zdrowych myśli racjonalisty-krytyka, ośmieszającego błędy i wady społeczne.

Niższym zaś jest Wilczyński od autora „Głów do pozłoty“ i „Wielkiego świata Capowic“, przede wszystkim, jako satyryk współczesnych stosunków; nie posiada jego ciętości, jędrnej i ostrej ironii, jego krytycyzmu w poglądach, często krańcowych, sztucznych i bezwzględnych, ale śmiałych i tendencyjnych, jego gryzącego dowcipu i stylu, w którym znać ostre pióro polemisty.

Jeśli Wilkoński gęsim kwaczem z rozmachem dylettanta kreśli zabawne bohomazy, a Lam szpiczastą stalówką rysuje ilustracje społeczno-politycznych pamfletów swojej doby, to Wilczyński, jak malarz na studyach, zapelnia ołówkowemi szkicami z natury Album rodzajowych obrazków, zbierając z upodobaniem swojskie typy charakterystyczne.

Autor „Pamiętników plotkarza“, „Słomianego wdowca“, „Misysi familijnej“, „Wspomnień obywatelskich“, „Wolów roboczych“, „Galeryi dylettantów“ i tylu innych powieści, nowel, szkiców, stanowiących dziś pokazałą po nim puściznę, uczuwał niekiedy potrzebę pogłębienia swoich tematów i próbował nawet zapuszczać się na pole moralno - psychologicznych studyów, jak naprzykład w „Milutkiej żonie“, która była jednym z nowych i dobrze zaobserwowanych typów kobiecych w polskiej belletrystyce. Postać ta odbija nader jaskrawo w galeryi niewieścich figur humorysty, kreślonych według tradycyjnego wzoru naszych żon, matek i babek, które Wilczyński z taką prawdą, a często z pietyzmem dla dawnego pokolenia malować umiał.

„Moglie ideale“ Marka Pragi, jednego z mistrzów włoskiego weryzmu, przypomina się przy czytaniu tej polskiej powieści, do której — jak twierdzi autor. — wziął temat wprost z życia i bezpośrednich obserwacyi, z wyjątkową nawet, jak u niego, subtelnością przeprowadziwszy analizę uczuć męża, trawionego zazdrością o flirtującą żonę, która umie obdzielać swą czułością zarówno jego, jak i swych wielbicieli.

Głębszym poglądem krytycznym na stosunki społeczne wyróżnia się również druga jego powieść „Dla dobra dzieci“, w której pragnąc

ocalić typ prawdziwego tromtadraty w Galicyi, dał obrazek: może trochę przesadzony,—jak sam przyznaje,—w szczegółach jednak wzięty żywcem z lwowskiego bruku; miał się on przyczynić do ugaszenia tej żądzy popularności za cobądź,—niestety, dość powszechnej między naszą szlachtą“.

W powieści tej znalazło się dużo nader trafnie podpatrzonych rysów, charakteryzujących jaskrawo stosunki miejscowe, a w kilkanaście lat po jej napisaniu mógł autor jeszcze osobiście stwierdzić bystrość własnych obserwacji, kiedy zbierający wrzód korupcyi pękł w zeszłym roku z takim hałasem i wylał ukrywającą się ropę w społecznym organizmie galicyjskim.

Ulubioną formą większych i mniejszych utworów Wilczyńskiego jest pamiętnikowy sposób opowiadania; autor przyjmuje na siebie najczęściej rolę głównego bohatera. i niby w poufnej pogawędce, z cygarem w ustach przy czarnej kawie, bawi czytelnika lekką i swobodną w tonie narracją.

Mimo wszystko, co tej formie zarzucają, posiadać ona może pod piórem utalentowanego pisarza właściwy urok indywidualności, nabiera ożywienia i nawiązuje między czytelnikiem a autorem bezpośredni, a często bardzo sympatyczny stosunek; chodzi tylko o to, aby autor tej fikcyjnej osobie potrafił nadać rzeczywistą indywidualność, aby ją uczynił równie zajmującą, jak treść jej opowiadania. jak doznane przez nią przygody i sytuacje, w których sam siebie opisuje.

Jedynym środkiem do rozwiązania tego trudnego zadania jest styl, którym trzeba władać bardzo umiejętnie i urozmaicać go, nastrojać odpowiednio do charakteru i indywidualności opowiadacza, wysuwającego się umyślnie na plan pierwszy.

Wilczyński, gdy kreśli „Kłopoty starego komendanta“, przedstawiając się, jako syn bohatera, który z bezpośredniej obserwacji bierze wszystko i powtarza po prostu to, co widział, czego sam doznał, w czem brał osobisty udział, natrafia nader szczęśliwie na właściwy ton i utrzymuje się w nim przez cały czas opowiadania; ale potem w drugiej, trzeciej i dziesiątej nowelli, czy powieści, występuje w tym samym charakterze narracyjnym; chociaż zmienia osobę, nazwisko, stan, zawsze jest tym samym Wilczyńskim, z tą samą indywidualnością, z tym samym stylem i sposobem charakteryzowania innych figur.

Wytwarza to pewną monotonię, która szczególnie uderza wtedy, gdy kilka jego utworów czyta się jeden po drugim i spotyka go



raz, jako młodego chłopca na wakacjach, potem zaraz jako dojrzałego, skłopotanego obywatela wiejskiego, a potem znów w roli młodego małżonka w rodzinnych opałach.

Wszyscy oni podobni do siebie, jak dwie krople wody, i nie różnią się nigdy ani sposobem wyrażania, ani temperamentem, ani poglądem na świat i ludzi, pomimo zmienionej sfery i stosunków, przez autora kreślonych.

Wszystkich jednak ratuje wspólny humor i dowcip w niepospolitym gatunku, zawsze prosty, szczery i naturalny, który pozwala czytelnikowi od początku do końca z jakimś pogodnym, miłym uśmiechem przeczytać książkę i nie zauważyć, że niekiedy jedna sytuacja ciągnie się przez kilkadziesiąt stron bez zmiany, a fabuła ani na krok nie postępuje i nowymi wypadkami nie płacze powieściowej intrygi.

Niekiedy trzeba wybuchnąć głośnym śmiechem, jak gdyby się patrzyło na wybornie zagraną scenę komedyi, albo słuchało dyalogów, prowadzonych w naszej obecności przez żywe osoby, tyle prawdy, realizmu, naturalnego tonu i jowialności jest zawsze w tych rozmowach, w których głównie umieszcza autor charakterystykę swoich postaci.

Gdyby Wileczyński posiadał był więcej pomysłowości i umiał się streszczać, był-by niezawodnie wybornym komedyopisarzem, właśnie przez tę zaletę indywidualizowania ludzi w dyalogach; mówią oni językiem prostym, stylem niewyszukanym, a zawsze sobie właściwym, i to sprawia, że się ich słyszy, jakby w rzeczywistości.

Puścizna literacka Wileczyńskiego nie jest zbyt obfita pod względem ilości tomów, których doliczy się może do trzydziestu; na pięćdziesiąt bez mała lat pisarskiego zawodu, taka twórczość bardzo płodną nazwać się nie może, ale trzeba uwzględnić, że były w tej twórczości długie przerwy, w których literat odkładał pióro, zajmował się gospodarką, handlem zbożowym, urzędowaniem, i zapominać się zdawał zupełnie o swoim talencie.

Gdyby nie to, był-by niewątpliwie zasilil naszą belletrystykę w dwójnasób płodami swego pióra i humoru, skoro w szczęśliwszych latach urodzaju literackiego, między rokiem 1877 a 1885, corocznie puszczał w świat jedną, lub dwie nowe powieści.

Na dłuższy czas przed śmiercią, zamilkł znowu, jakby znudzony i zniechęcony.

Pomimo urzędowania i zajęć biurowych w lwowskim Wydziale krajowym, brał żywy udział w sferach literackich nadpełtawiańskiej

stolicy, przezydował czas jakiś Kołu literackiemu, zajmował się wszystkim, co dotyczyło piśmiennictwa, ale nie przysparzał mu już żadnych nowych nabytków.

„Staremu komendantowi“ humorystów nie przybywały nowe szewrony; te jednak, które zdobył poprzednio, wystarczyły zupełnie, by mu zapewnić należne zaszczyty i uznanie.

MARYAN GAWALEWICZ.

---

# Kartki prowansalskie.

I.

6 z m r o k u .

Słodkie zadumanie  
Na dolinach leży,  
Z cyprysowych gajów  
Bije oddech świeży.  
Po liliowych polach  
Błękitna i złota

Przewiewa tęsknota,  
Czar roniąc i woń.

Omdlałemi pióry  
Pała dzień na gniazdo,  
Podesłane zorzą,  
Osrebrzone gwiazdą.  
Z dyanicznym sierpem,  
Zatkniętym we włosach,  
Płaszcz wlokąc po rosach,  
Noc idzie przez błoń.

Mrokiem rzęs nakryła  
Fijolkowe oczy,  
Zadumana idzie  
W liljowej przezroczy...  
Wyciągnęła ręce  
Na powietrznej fali,  
Słucha, jak w oddali  
Senna szemrze toń.

Za nocą, wpatrzona  
W miesięczny dyadem,  
Przez pola zadumy  
Przechodzę jej śladem.

I ręce wyciągam  
W zmroczone przestrzenie,  
Skąd ciche westchnienie  
Owiewa mi skroń.

---

## II.

## Nad Sorgą.

Nad Sorgą śliczny, smutny świat,  
W błękitnej leży ciszy,  
Zadumą pachnie każdy kwiat,  
Każdy tęsknotą dyszy.

Skroś bazaltowych, dźwięcznych lir,  
Bije pieśń Sorgi żywa,  
A w zorzach idzie szeroki mir,  
I skrzydłem ją nakrywa.

Od Akweduku czarnych bram,  
Co na tłach złotych stoją,  
Świat tu zamknięty w sobie sam,  
Z dźwięczącą duszą swoją.

I nic nie wchodzi z ludzkich spraw,  
I nic z rozterki ducha,  
Do tajemniczych, mrocznych naw,  
Gdzie Sorga pieśnią bucha.

Ucichło życie wszereż i wzdłuż,  
Od nieba aż do ziemi,  
Tylko się skalny przelewa kruz  
Wodami przezczystemi.

Tylko ich srebrną, spiewną jaśń  
Dreszcz łamie i rozśłania,  
A ze dna patrzy czarowna baśń,  
Czarowna baśń kochania.

MARYA KONOPNICKA.

---

## Klonowicz i pamflet przeciw Jezuitom.

Dość długo wahali się biografowie i historycy polskiej literatury, pod czyje nazwisko należy położyć niewielką, bo zaledwie dwadzieścia stron liczącą, broszurkę, pod tytułem: „Equitis Poloni, in Jesuitas actio prima. Anno MDXC“<sup>1)</sup>. Nie było bowiem żadnej wyraźniejszej wskazówki, która-by mogła dowodnie poświadczyć o autorze; na tytule brakowało nazwiska i miejsca wydania, treść zaś sama pamfletu mogła tylko głośłownie nasuwać przypuszczenia, pozbawione całkowicie pewnej trwalszej podstawy. Nie dziw tedy, jeśli zdarzy nam się znaleźć tę książeczkę raz przy Sebastyanie Klonowiczu<sup>2)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Na wydaniu drugim z roku 1591 umieszczono pod tytułem: „Nunc longe emendatius quam antea in lucem edita“.

<sup>2)</sup> Dr Karol Estreicher utrzymuje w swojej cennej „Bibliografii XV—XVI stulecia“, 140,000 druków. Kraków, 1882, iż w roku 1590 było dwa wydania (por. str. 89), a w roku 1591 miała wyjść trzecia edycya (por. str.

autorze „Worka Judaszowego“, „Flisa“ i „Roksolanii“,—drugi przy Wojciechu z Kalisza (Albertus Calisius), lub wreszcie przy Zawadz-  
kim <sup>1)</sup>, bo i dokumenta, rozjaśniające tę tajemnicę, zazwyczaj roz-  
maicie ją tłómaczyły.

Początkowo wszelakoż utrzymywało się upoczywie nieuzasad-  
nione przypuszczenie, jakoby Klonowicz napisał był „Akcję pier-  
wszą“, i dopiero, kiedy odnaleziono rękopisy księdza Jana Wielewickie-  
go, pod tytułem: „Historici diarii domus professae Societatis Jesu  
Cracoviensis“ <sup>2)</sup>, wtedy odrazu wszyscy jednomyślnie zgodzili się na  
powyższe podejrzenie, i odtąd też wątpliwości, jakie mogły nasuwać  
się co do autorstwa „Akcji pierwszej“, nikt nie śmiał podnosić. Po-  
wszechnie zaufano Wielewickiemu, którego dziennik miał za so-  
bą wszelką powagę, bo zarówno prawdomówność autora, jako  
też tę okoliczność, że był współczesnym niemal Klonowiczowi i że  
korzystał ze źródeł z pierwszej ręki czerpanych, a ten fakt przecież  
nie pozwalał podejrzewać prawdziwości przezeń przytoczonego opo-  
wiadania.

Świadectwo to księdza Wielewickiego brzmi, jak następuje:  
„Prodierat hoc anno venenatus liber contra Nostros in hac provincia  
cum tali inscriptione: Equitis Poloni in Jesuitas Actio prima, sine no-  
mine authoris et loco impressionis. In eo conatur fictus eques ostende-  
re Societatis nostrae familiam ad perniciem multarum Rerumpublica-  
rum esse institutam... Quis porro Actionis ficti equitis author fuerit,  
incertum erat. Nostri enim imprimis in quosdam Levartorienses tunc  
haereticos didascalos (antequam videlicet illud oppidum ad fidem Ca-  
tholicam rediisset) id referebant. Alii tandem nostris retulerant autho-  
rem huius famosi libelli fuisse quendam Academicum Cracoviensem, Se-  
bastianum Acernum, qui postea civis Lublinesis erat satis opulentus,  
tandemque ad extremam devenerat paupertatem, quae illi oculos  
aperuerat et ad dolorem eiusmodi diffamationum stimulum addi-  
derat“ <sup>3)</sup>.

91). Nam jednakże wydaje się, iż cyfrę tę wydań należy zredukować do dwu,  
bo tylko o dwu wydaniach nam wiadomo.

<sup>1)</sup> Por.: Dr K. Estreicher, op. cit., str. 91.

<sup>2)</sup> „Scriptores rerum polonicarum“, VII.

<sup>3)</sup> Ibidem, str. 133—134. „Wyszła w tym roku trująca książka prze-  
ciwko Naszym w tej prowincyi pod takim tytułem: Szlachcica polskiego prze-  
ciwko Jezuitom Akcyja pierwsza, bez imienia autora i miejsca wydania. W niej  
usiłował udany szlachcic udowodnić, iż nasze Zgromadzenie zostało założone  
na zgubę wielu Rzeczypospolitych. Kto-by tedy był autorem Akcji udanego



Zapisuje więc, jak widzimy, Wielewicki niepewne twierdzenie, nie wskazuje palcem Klonowicza, jako autora „Akcyi“, owszem, świadectwo jego wystawione jest w takiej formie, że nie popiera stanowczo żadnej hipotezy, nie przyznaje autorstwa nikomu, a rzuca jedynie domysły. Z takimi zaś zastrzeżeniami, jakie położył autor „Dziennika“ obok podanej przez siebie wiadomości—należy się zawsze dobrze liczyć. Co innego, gdyby on był stanowczo tę kwestyę rozstrzygnął,—w takim razie można-by mu zupełnie zaufać i przyjąć jego zdanie za prawdziwe. I nie przyniosło-by to było ujmy wiarogodności Wielowieckiego, gdyby kto był zakwestyonował to przypuszczenie, w ten sam bowiem sposób równie dobrze można-by „Akcyę“ przypisać komu innemu, naprzykład Wojciechowi z Kalisza. A przecież to przypuszczenie ma zupełnie taką samą podstawę, jak wiadomość, podana przez Wielewickiego. Wojciech z Kalisza bowiem należał do grona wybitniejszych dyssydentów, był równie wykształconym, jak Klonowicz, bo i o nim mówi współczesny świadek, Grzegorz Piotrowski, w wierszowanej broszurce, pod tytułem: „Pogrom lewartowski, to jest wygraney X. Adryana Radziwińskiego Societatis Jesu, Theologa, Disputacyey, którą Roku 1592 Dnia 13 y 14 Stycznia z Ewangeliki i Nowokrzczeńcami iawnie miał w Lewartowie, Rozmowa Katholika, Nowokrzczeńca, Ewangelika i Lutheranina przez... W Krakowie, w Drukarni Jakuba Siebeneychera, Roku Pańskiego MDXCII“, temi słowy:

Calisius zaś Rektor Chrystyanin prawy,  
 Najdziesz go w pogotowiu do jakiej chceśz sprawy,  
 Jezuitom znajomy owak prawie dobrze,  
 Boć je w swojej Akciey obramował szczodrze,  
 Którą przed trzema laty w Chmielniku uknował,  
 A Woidoius w Niemcech kryjomkiem drukował <sup>1)</sup>.

---

szlachcica, niepewną było rzeczą. Nasi bowiem początkowo ją odnosili do pewnych Lewartowskich, wtedy heretyckich nauczycieli (zanim owo miasto do wiary katolickiej powróciło). Inni wreszcie naszym donieśli, iż autorem tego pamfletu był pewien akademik krakowski, Sebastyan Klonowicz, który później był dość bogatym obywatelem w Lublinie, aż nakoniec popadł w wielki niedostatek, który mu oczy otworzył i pobudził do skrucy za tego rodzaju obelgi.

<sup>1)</sup> Str. 3.

A przecież to świadectwo jest o wiele wcześniejsze od Wielewickiego, a i szczegółów dokładniejszych mu nie brak; co więcej, wzmianka o druku niemieckim jest zupełnie prawdziwa. czionek bowiem takich, jakie mamy w „Akcyi“, wtedy jeszcze w Polsce nie było w użyciu.

Wobec tedy tej niepewności w „Dzienniku“ Wielewickiego trudno się z tem całkowicie pogodzić, ażeby Klonowicz musiał być autorem owego pamfletu, równie, jak trudno jest zrozumieć stanowczą pewność biografą Klonowicza, którego zdaniem, „świadectwo Wielewickiego jest tak poważne, i podane w formie tak żadnej wątpliwości nie przedstawiającej, że wypada je za pewne przyjąć. zwłaszcza, kiedy nikt mu dotychczas nie zaprzeczył“<sup>1)</sup>.

Nie trudno to zobaczyć, jak bardzo przeciągnął tutaj p. Ehrenberg strunę, podając nam przypuszczenie Wielewickiego jako niezaprzeczonego fakt, i dzięki jemu, że od dłuższej chwili już o tej kwestyi zaniechano mówić, mimo, iż dowody, przezeń przytoczone na poparcie swego twierdzenia, nie zawsze, a raczej bardzo rzadko były w rzeczywistości przedstawiane świetle, tak, iż gdyby je bliżej rozpatrzyć i ocenić kto się był pokusił, to bezsprzecznie większa ich część musiała-by albo całkowicie odpaść, albo zamienić się w pewniki, przeczące autorstwu Klonowicza. Badając tylko szczegóły biograficzne z życia Klonowicza, można było powziąć jaśniejsze wyobrażenie nie o bezwarunkowem rozstrzygnięciu kwestyi spornej. lecz o prawdopodobieństwie, czy Klonowicz napisał ten pamflet przeciw Zgromadzeniu oo. Jezuitów.

Zapytajmy się więc przedewszystkiem. skąd i kiedy dowiedział się ks. Wielewicki o pogłoskach, jakoby Klonowicz miał napisać „Akcyę pierwszą“? Jakie było źródło i jaki czas, kiedy ta wieść się rozeszła? Zacznijmy od dat. te bowiem mogą prędzej rzucić pewne światło i na samo źródło. z którego się pogłoska rozszerzyła. Jak z wyżej przytoczonego ustępu widzieliśmy. już Wielewicki przyznaje w „Dzienniku“, iż z początku nie domyślano się w Klonowiczu. autora, a wszyscy szukali pomiędzy dyssydentami człowieka, z pod którego pióra mogło wyjść to pismo<sup>2)</sup>. Wzmianka zaś jego o szkole

<sup>1)</sup> K. Ehrenberg: „Sebastyan Fabian Klonowicz“, („Biblioteka Warszawska“, 1889, III, str. 372).

<sup>2)</sup> O tem świadczy też i Stanisław Reszka (Rescius), który w odpowiedzi swojej na „Akcyę pierwszą“, zatytułowanej: „Spongia qua absterguntur convitia et maledicta equitis Poloni contra Jesuitas“, Cracoviae, 1590, za-

Lewartowskiej naprowadza nas na domysł, że głównie podejrzenia musiały być zwrócone przeciwko Wojciechowi z Kalisza, co zresztą zdaje się stwierdzać także współczesne świadectwo Grzegorza Piotrowskiego. o czym już dopiero co była mowa, jak nie mniej i współczesne wzmianki, naprzykład Żaluskiego, który w długim szeregu dzieł wymienia między innymi: „Calisii Alberti Rectoris Samosethaniani Scholae Levartoviensis Oratio adversus Jesuitas 1591“<sup>1)</sup>. I potem dopiero, mówi Wielewicki, zaczęto się domyślać w Klonowiczu autora tej broszury. Wzmianka zaś ta, iż nie natychmiast po wydaniu „Akcyi pierwszej“, lecz dopiero w latach późniejszych zrodziły się tego rodzaju domysły, ma dla nas niepoślednią wartość, albowiem wskazuje nam równocześnie i na źródło tych pogłosek. A nie trudnem to chyba będzie do zrozumienia, że dopóki w pismach Klonowicza nie było wycieczek przeciwko stanowi duchownemu, dopóki on nie tykał wad rzeczywistych i urojonych kleru zakonnego i świeckiego (a zwłaszcza zakonnego), dopóty ani cień podejrzenia nie padał na niego. Dotychczas bowiem ani wzmianki u niego podobnej treści nie było; co więcej, w „Roxolanii“ slyszymy wyrzekania na protestantów za to, iż nie zachowują przepisanych postów; umysły tymczasem, rozgorączkowane pamfletem, który, ni stąd, ni z owąd, wypłynął, gubiły się w domysłach, śledząc nieustannie jego autora. W takiej-to chwili wyszły

---

raz na pierwszej stronie powiada, iż książkę ową mógł napisać tylko heretyk, schyzmatyk, albo żyd. Że w zapewnienie autora „Akcyi“: „ego Romanae Ecclesiae propemodum alumnus“ nie wierzone wcale, świadczy dalej wspomniany co dopiero autor: „Catholicum esse non credo, Christianum vix puto“... To też zwraca się Reszka w dalszym ciągu swojej odpowiedzi (str. „C“) do autora „Akcyi“, i traktuje go wprost jak ewangelika: „Florebat Academia Cracoviensis, quando patria universa Evangelicos tuos ignorabat, quando in sinu et gremio tetri laedemonis Evangelicorum magistri ac ministri latitabant, quando nulli erant in patria nostra Luteristae, Calvinistae, Anabaptistae, Buducistae, Volanistae, Biesagistae, sed omnes uno eodemque nomine et erant et vocabantur Christiani... Vos coepistis, vos primi coepistis, templum contra templum, cathedram contra cathedram, altare contra altare erigere: consequens erat, ut scholae quoque contra scholas incitarentur, et Academiae Cracoviensis maiestas, et illa quam praedicis frequentia, minueretur. Qui sunt autem, qui scholas contra scholas erexerunt? Vos inquam Evangelici, teterrimi legum et regum eversores“.

<sup>1)</sup> Por.: Josephus Andreas Comes in Żaluskie Żaluski: „Conspectus novae collectionis legum ecclesiasticarum Poloniae“, 1744, str. 33; № 201.

na świat dwa dzieła poety, niezbyt głośnego ani popularnego: „Victoria Deorum“ i „Worek Judaszowy“.

Było zaś w „Worku Judaszowym“, w drugiej jego części, nie mało ustępów, przeciwko duchowieństwu skierowanych, choćbym tylko ten wymienil, gdzie Klonowicz, mówiąc „o tych, którzy pod płaszczykiem nabożeństwa oszukiwają“, wprowadza „chudych kleszków“, popierających dla chęci powiększenia swoich dochodów — zabobony ludowe. O wiele ostrzej dalej sformułował poeta swoje zdanie o księżach, chciwych bogactwa i majątku, w dwudziestej czwartej pieśni poematu: „Victoria Deorum“, gdzie bardzo wiele ustępów poświęconych jest wyłącznie tej sprawie. Utwór ten nakoniec poświęcony został znanemu w późniejszych czasach wrogowi Zgromadzenia oo. Jezuitów, Adamowi Gorajskiemu i Mikołajowi Firlejowi, założycielowi szkół kalwińskich w Lubartowie, które-to szkoły wyrządzały niemało szkody Akademii Krakowskiej.

Kiedy zatem wśród takiego ogólnego naprężenia umysłów, wśród tej ogólnej pogoni za autorem „Akeyi“, ujrzano aż w dwu utworach tak niepoehlebne wycieczki przeciw stanowi duchownemu, trudno choć chwilę powątpiewać o tem, ażeby wszystkie podejrzenia nie odwróciły się były w przeciwną stronę, ażeby nie dopatrywano się w ich autorze tej samej osoby, która przed kilku laty rzuciła bezimienny pamflet przeciw Zgromadzeniu oo. Jezuitów.

Tak tedy niewsparte na jakichś pewnych danych, ale jedynie na podstawie dzieł późniejszych Klonowicza, powstały podejrzenia, iż on napisał „Akeyę pierwszą szlachcica polskiego“. Czy więc godzi się zawierzyć zupełnie podobnym przypuszczeniom, których geneza sięga późniejszych lat, a nierozjaśnionym żadnym innym faktem? Ze świadectwem zatem Wielewickiego nie można się liczyć tak, jak to w innych warunkach należało-by uczynić, gdyż zostało wypowiedziane w formie chwiejnego przypuszczenia, z mętnych zaczerpniętego źródeł.

A teraz zastanówmy się nad genezą „Akeyi pierwszej“, nad czynnikami, jakie mogły wpłynąć na jej powstanie, wreszcie nad ówczesnem usposobieniem poety i duchem jego utworów — może to nas zdoła utwierdzić w dotychczasowem mniemaniu co do autorstwa Klonowicza.

Czy Klonowicz był uczniem Akademii Krakowskiej, której sprawa na pierwszy plan została w „Akeyi“ wysunięta? Biograf poety chce koniecznie, ażeby tak rzeczy się miały; dowody atoli, jakie na poparcie swojego przypuszczenia przytacza, nie mają wcale tej wagi, iżby im można napewno zawierzyć i zaufać. A co najważniejsza, jednym z dowodów ma być „Akeya“ sama, „to przejęcie się, z jakim

jej broni<sup>1)</sup>), —tak, że jeśli-byśmy postawili daną kwestyę w ten sposób, iż Klonowicz nie jest pamfletu autorem, ubył-by tutaj tem samem jeden z najważniejszych czynników, z jakich pomocą chciał p. Ehrenberg udowodnić przywiązanie poety do swojej „Almae matris“, które przez długi czas u niego pozostało, w katalogach bowiem akademickich niema wyraźnego świadectwa, ażeby Klonowicz był uczniem któregokolwiek wydziału. w Starowolskiego zaś i Wielewickiego trudno na ślepo wierzyć. I tak kwestya wspomniana musi pozostać nadal niejasną, a z samych jedynie domysłów niepodobna wysnuwać tak stanowczego twierdzenia, jak to widzieliśmy w biografii poety, gdzie pewniki rodzą się bezwarunkowo wtedy, kiedy nastąpi ich zapotrzebowanie. Tak, czy inaczej zresztą, fakt ten sam. czy Klonowicz słuchał wykładów uniwersyteckich. czy też nie, wcale się przyczynić nie może do uwydatnienia autorstwa „Akcyi pierwszej przeciw Jezuitom“.

Cały długi okres życia, który wśród rozmaitych zajęć spędził Klonowicz, nie zawiera w sobie żadnych zgoła ważniejszych szczegółów, które-by mogły być później choć nieznacznie rozjaśnić genezę tego głośnego pamfletu. Dopiero z rokiem 1581, kiedy ksiądz Józef Wereszczyński, opat sieciechowski, zaczął się opiekować skłopotanym niepowodzeniami finansowemi poetą, zaczynają się nieco odsłaniać chmury, jakie przez większą część zaciemniały żywot Klonowicza. „Począł więc wynajdywać Klonowiczowi zajęcia różne, sposobność dawać do mniej, lub więcej ważnych dla klasztoru przysług, przygotowując w ten sposób braci Benedyktynów do aktu darowizny, który miał miejsce w roku 1588<sup>2)</sup>).

Ujawszy sobie tedy Klonowicza tą darowizną, która niemal przyczyniła się do polepszenia materialnego dobrobytu skolatanego nieszczęściami, procesami i ciąglą rozterką w rodzinie poety, umyślił sobie Wereszczyński przez usta tego, o którego zdolnościach miał już doskonałą sposobność przekonać się, szerzyć swoje plany i poglądy, jakich wiele snuło się ustawicznie w niestrudzonej myśli księdza opata. Początkiem zaś tych ściślejszych stosunków jest rok 1587, w którym wydana została w Krakowie niewielka broszurka ks. Wereszczyńskiego, pod tytułem: „Adhortatio ad proceres Regni, qua ducuntur ad concordiam“, w łacińską szatę przyobleczona przez Klonowicza. Że zaś te stosunki nie trwały zbyt krótko, że Wereszczyński wraz ze swojemi planami musiał potężny wpływ wywrzeć na naszego

1) K. Ehrenberg: „Sebastyan Klonowicz“, op. cit. str. 164.

2) Ibidem, str. 181.

poetę, o tem świadczy cały szereg pism ulotnych, bądź pióra Wereszczyńskiego. w przekładzie łacińskim Klonowicza, bądź też stworzonych przez Klonowicza według wskazówek i uwag księdza opata. Te goż samego jeszcze roku ukazaje się: „*Suffragium pro eligendo rege*“, a w następnym traktat pod tytułem; „*Regula id est institutio vitae regis christiani*“, poprzedzony słowem wstępnem naszego poety. Oprócz tych trzech tłumaczeń, powstać miały jeszcze później i oryginalne pisma, o których też osobno na innem miejscu mówić będziemy.

Mógł nadto na Klonowicza wpłynąć i Adam Gorajski, który w późniejszych latach „na sejmie warszawskim... gorąco przeciwko Jezuitom występował“<sup>1)</sup>. A że zostawał z tym mężem nasz poeta w jakimś bliższym związku, tego dowodzi poemat panegiryczny. pod tytułem: „*Goraida*“, w którym Klonowicz wysławiał ród Gorajskich i jego zasługi. Powstał zaś ten poemat przed ukazaniem się „*Akcyi pierwszej*“, w roku 1587. Ostatnim wreszcie mężem był Zamoyski. który powołał Klonowicza na godność superintendenta swojej Akademii, dla której starał się pozyskać zdolnych ludzi.

W takiej-to dobie, wśród takich warunków, ukazała się broszurka pod tytułem: „*Equitis Poloni in Jesuitas actio prima*“. Co więc mogło przyczynić się do jej powstania, jeśli-byśmy chcieli przypuścić, że wyszła z pod pióra Klonowicza? Bo że ksiądz Wereszczyński nie mógł oddziaływać na poetę, ażeby taki pamflet napisał, o tem nie potrzeba wiele mówić, znając poglądy opata sieciechowskiego. A może to Zamoyski stał się pobudką genezy „*Akcyi*“, skoro w niej napotykamy następujące słowa: „*Johannes vero Zamoiscius Regni Cancellarius et exercituum summus Imperator, cuius prudentiam, rei militaris scientiam, virtutem, auctoritatem, felicitatem, fortitudinem, omnium semper mirabitur aetas, affirmavit vere et sapienter, ut omnia saepe dicere solet, istis sacerdotibus in templis et suggestu locum aliquem concedendum esse, ut vero ex monasteriis et templis ad Reipublicae negotia gerenda accedant, hoc nullo pacto ferri oportere*“<sup>2)</sup>. Otóż fakt powyższy nie może żadną miarą służyć jako dowód, iż Klonowicz napisał pamflet. bo jak się dowiadujemy z repliki Marcina Szyszkowskiego, poglądy Zamoyskiego były zupełnie odmiennie: „*Quis per Deum immortalē audivit unquam Zamoiscium dicentem, Jesuitas pestem esse ac perniciem Rerumpublicarum? Probe novit prudentissimus ac tot victoriis triumphisque clarissimus Imperator et vir egregie Catholicus (cuius animi in Jesuitas optime affecti, non obscura extant*

1) Ibidem, str. 182.

2) Karta „A 3“, str. 2 i karta „A 4“ str. 1.

indicia), probe, inquam, novit, Societatem Jesu ad summam Ecclesiae Dei utilitatem esse institutam, neque unquam se aut negotiis secularibus aut civilibus implicare...“<sup>1)</sup>. „Quicquid collegiorum. sive in Livonia, sive in Lithuania et Prussia. sive in Polonia, aut etiam Transylvania Stephanus Rex extraxerit, vel erigere voluerit, id solum suasore et consultore Zamoiscio extruxisse“<sup>2)</sup>. Wobec tego chyba tylko ten mógł wyrzec o Zamoyskim słowa, jakie widzieliśmy w „Akcyi“, kto go nie znał wcale; udział więc moralny Zamoyskiego w powstaniu pamfletu jest wyłączony zupełnie. Któż więc mógł natchnąć Klonowiczowi podobną myśl? Oto jedynie Gorajski, którego „wpływy stworzyły Klonowiczową „Actio prima“,—jak mówi p. Ehrenberg<sup>3)</sup>. Czy jest atoli jaka trwalsza podstawa do takiego przypuszczenia? Sądzę, że nie. Bo jeśli-byśmy chcieli już koniecznie w nim upatrywać głównego kierownika tej sprawy, to trudno-by było zaniechać poszukiwań i w „Goraidzie“, w której przecież żadnej zgola nie znajdujemy wskazówki, ażeby Klonowicz choć pod nieznacznym pozostawał wpływem tego męża,—za poemat ten bowiem musiał otrzymać Klonowicz pewne mniejsze. lub znaczniejsze wynagrodzenie. A że ten sam Gorajski występował ostro przeciw Zgromadzeniu oo. Jezuitów szesnaście lat później, to przecież samo przez się niczego jeszcze nie dowodzi, owszem, zadziwiać każdego musi to milczenie Gorajskiego wśród ciągłych walk i utarczek, jakie Jezuitci prowadzili na całej linii z dyssydentami z rozmaitem powodzeniem, podobnie jak dziwi i ta okoliczność, dlaczego Klonowicz nie zaczął Zgromadzenia w „Goraidzie“, skoro wiedział o nienawiści Gorajskiego do Jezuitów.

Co począć tedy, skoro zaraz na pierwszej stronie „Akcyi“ natrafiamy na takie zdanie: „Accedit illa quoque causa, quod ista dicendi necessitas, non solum a patria nostra, quae omnibus nobis debet esse charissima. sed etiam ab illis viris mihi est composita. quorum singularem in me amorem. plurima et maxima beneficia ego agnosco. et quorum dignitatem summam vos perspicitis. horum in me voluntatem et benevolentiam plurimi semper feci. et quantum auctoritati illorum

1) „Pro religiosissimis S. J. Patribus oratio“, str. 34.

2) Ibidem, str. 38. Podobnie też mówi o Zamoyskim i St. Reszka w swojej replice pod tytułem: „Spongia qua abstergantur“... na stronie „B 3“: „Zamoiscium vero Cancellarium Ducemque fortissimum, optimum, ut Isocratis verbiis utamur, Regis ac Regni thesaurum, quod tecum sentire fingis, toto, quod aiunt, caelo erras. Non dissentit ille, sed consentit cum Jesuitis“...

3) „Biblioteka Warszawska“, loc. cit.

tribunam. nunc testari cupio hoc officii genere. ut. quae sentio. liberius de Republica dicam<sup>1)</sup>.

Takich. niestety, mężów, nie widzieliśmy dotąd! Oprócz trzech bowiem, wspomnianych już wyżej, w całej biografii Klonowicza niema ani śladu. ażeby jaki inny mógł go natchnąć taką myślą, aby go zachęcił do napisania „Akcyi pierwszej“. Gdyby bowiem poeta był żył z ludźmi znanymi z nienawiści. czy nieprzyjaźni do Zgromadzenia oo. Jezuitów. gdyby był się obracał w kole innowierców. — nie trudno-by to nawet udowodnić, z czyjej porady powstał ten pamflet. Niestety, „Akcyja“ sama nic nam więcej nie mówi, nie daje żadnych bliższych wskazówek. które-by kazały się domyślać w Klonowiczu jej autora. i dlatego też nie można tutaj z jej treści wniosków w tej materji wysnuwać. Są w niej wprawdzie wzmianki o biskupie krakowskim. Myszkowskim, i o Zamoyskim, i Zawadzkiem Stanisławie. one przecież nic a nic nam nie mówią. Myszkowskiego bowiem poeta nie znał wcale, a z Zamoyskim znowu nie pozostawał w takiej konfidencyi, ażeby ten przed nim rozwoził swoje żale na Jezuitów. zdania zresztą tych dwu mężów były powszechnie znane w brzmieniu odmiennem. aniżeli je w „Akcyi pierwszej“ przytoczono. Kto wie zaś. czy ta właśnie wzmianka o Myszkowskim nie wywołała broszury Marcina Szyszkowskiego z polecenia samego biskupa. skoro we wstępie tej repliki napotykaną przedmowę do Piotra Myszkowskiego. zaczynającą się od słów następujących: „Legisti. ut vidi, Patrone benignissime. non sine stomacho. Equitis Poloni in Jesuitas actionem. legas et hanc meam. pro tua in Patres Societatis Jesu. et in me perpetua constantique benevolentia. cuimodi illa sit, orationem...“<sup>2)</sup>.

Kiedy więc ani poprzednie lata życia Klonowicza. ani sam pamflet nie są w stanie wyjaśnić tej kwestyi. nie podobna nie zajrzeć w dalszą twórczość poety i w jego późniejsze stosunki; może tu spo-

<sup>1)</sup> Str. „A. 2“.

<sup>2)</sup> „Pro religiosissimis... oratio“, str. 3. W dalszym zaś ciągu swojej repliki odzywa się Szyszkowski w te słowa do biskupa: „Quando cuim ille te tam gravem in Jesuitas sententiam proferentem audivit? Quo loco? Quibus testibus?.. Tu cum adhuc Ploeen. Ecclesiae summa cum laude processes, Jesuitarum conversatione apprime delectatus es, Tu eos penes te semper habuisti, Tu eorum contionibus, tu scholasticis exercitationibus libentissime interfuisti, Tu nunquam non familiarissime pro tua humanitate illis es usus, Tu charissimos nepotes tuos eorum disciplinam inde a pueritia erudiendos commisisti, qui tantum in scholis Jesuitarum profecerunt, quantum iam ex eis fructum utilitatis Ecclesiae et Republicae percipiunt“ ... str. 28, 29, 30.



tkamy jaką wiadomość potwierdzającą jego autorstwo. W dwa lata po wydaniu „Akcyi pierwszej“. Klonowicz opuszcza stanowisko superintendenta Akademii w Zamościu. Z jakich powodów? Nie wiemy. Rzecz dziwna, że fakt ten sam, pozbawiony wszelkich bliższych szczegółów, dał zaraz p. Ehrenbergowi sposobność do uczynienia wniosku, iż „może Zamoycki, niezadowolony z wmieszania go w te awantury (?), dał to Klonowiczowi uczuć wyraźnie“<sup>1)</sup>. Jak zaś daleko posunął się biograf poety, szukając w każdym drobnym wypadku z życia Klonowicza dowodów na poparcie autorstwa „Akcyi pierwszej“, o tem zaraz przekonamy się z całą pewnością. Skąd więc mógł wiedzieć w dwa lata po ukazaniu się „Akcyi“ Zamoycki, iż to jego urzędnik ją napisał, kiedy wtedy jeszcze nikomu to przez myśl nie przeszło, a wszyscy gdzieindziej szukali autora, na co zresztą sam p. Ehrenberg się zgadza, mówiąc o kilka kartek wstecz, że „długi czas nie znano, ani nawet się nie domyślano autora tego pamfletu“<sup>2)</sup>, kiedy to samo poświadczą i Wielewicki, w którego nieomyłność biograf tak na ślepo wierzy? Czy jest tu jaki powód do tego rodzaju przypuszczeń?<sup>3)</sup>

Na to lato też przypada napisanie poematu p. t. „Victoria Deorum“, a w utworze tym jest nie mało ustępów, zwłaszcza w 24-ym rozdziale, poświęconych jedynie wycieczkom przeciw duchowieństwu. Oto już szczegół zbliżony nieco treścią do „Akcyi pierwszej“. Jakiego to jednakże rodzaju są zarzuty — może i myślą przewodnią zbliżone do zarzutów w owym pamflecie? Niestety i tutaj nie możemy dać twierdzącej odpowiedzi, wszystkie niemal wady, jakie Klonowicz duchowieństwu wytyka, dadzą się sprowadzić do tej jednej — łakomstwa i nienasyconej żądzy majątku i dóbr doczesnych, a za to ani śladu poglądów i zasad, jakimi cała „Akcyja pierwsza“ nawskroś prześiąkła. I od tego-to czasu zaczyna rozszerzać się pogłoska, jakoby Klonowicz był autorem „Akcyi“ — o czem zresztą już powyżej obszernie mówiliśmy, — Jezuici bowiem, widząc w „Victorii Deorum“ tyle zarzutów robionych księżom, musieli mimowoli wrócić na ten fakt uwagę, umieszczając zaś poemat na indeksie książek zabronionych, „podawali za przyczynę, że Klonowicz, przypisując zwycięstwo bo-

1) „Biblioteka Warszawska“, str. 379.

2) „Biblioteka Warszawska“, str. 372.

3) Właściwie Zamoycki powinien być z „Akcyi“ zadowolonym wobec tego, jeśli p. Ehrenberg sądzi, iż „Akademia Zamoycka założona była w celu przeciwdziałania propagandzie jezuckiej“ (ibidem, str. 372). Pogląd ten atoli jest z gruntu mylny.

gom pogańskim, miał nie co innego na myśli, jak szerzące się nauki Kalwinów i Aryanów<sup>1)</sup>.

A i w „Worku Judaszowym“ napotyamy także kilka miejsc, w których mowa o cheiwości księży — nie atoli nie wskazuje na jakąkolwiek łączność myśli tu wypowiedzianych z „Akcją pierwszą.“

Co więcej, poeta sam wyznaje otwarcie, iż nie będzie zarzucał kościołowi błędów, jak to wielu co krok czyni:

Ale żebym się nie zdał być jednym z tej roty,  
 Co lada za przyczynką z Kościołem drą koty,  
 Wolę tu nie obrażać animuszów chorych,  
 . . . . .  
 . . . . .  
 Kładę to na biskupy i na starsze głowy,  
 Niechaj to pohamuje ich rozsądek zdrowy<sup>2)</sup>.

Tymczasem śmierć przecięła pasmo życia poety, a skwapliwy Wielewicki notuje tę wiadomość w swoim „Dzienniku“ temi słowy:

Sed etiam certum est famosae illius contra nostros actionis auctorem fuisse Sebastianum Acernum, Proconsulem Lublinensem, olim Cracoviensis Academiae alumnum, qui licet antea homo satis opulentus fuisset. in summa tamen postea egestate in hospitali Lazari, cuius Sodalitas Misericordiae, nostris directoribus, Lublini manens, curam habet vitam finivit. Apperueratque illi oculos tanta inopia, tunc ad alia, tunc... ad hanc diffamationem agnoscendam doloremque prosequendum<sup>3)</sup>.

Świadectwo powyższe jest w stanie obalić całą wiarogodność, jaką można darzyć Wielewickiego, bo czyż Klonowicz był rzeczywiście tak biednym, ażeby miał prosić tych, których nienawidził, o przytułek? Wszak dzierżawa, mimo że nie szła pomyślnie, nie niosła mu tak małego dochodu pieniężnego, ażeby musiał pod obcym dachem złożyć kości na sen nieprzerwany. Charakter zresztą Klonowicza, nieskalany żadną zmałą nawet wśród tego nieszczęśliwego ży-

<sup>1)</sup> Prof. Garlicki: „Uwagi nad Victoria Deorum“. (Sprawozdanie c.-k. gimnazjum w Brzeżanach, 1884, str. 5).

<sup>2)</sup> Wydanie Turowskiego, str. 105.

<sup>3)</sup> „Scriptores rerum Polonicarum“, X, str. 25.

cia, jakie mu było przeznaczonem, nie byłby się nigdy ugiął, nie byłby mu pozwolił, gdyby on był napisał „Akcję pierwszą“, prosić o łaskę spotwarzonych przez siebie. O ile nam wiadomo, dziś każdy historyk literatury uważa wiadomość powyższą za nieprawdziwą, to też należy ją bez wahania odrzucić, dalsza zaś o przyznaniu się Klonowicza do winy, co do „Akcji pierwszej“ nie wydaje się prawdopodobną nawet; o źródle jej zresztą już pierwszej chyba aż nadto wiele pisaliśmy, zbędne więc były-by słowa, jakie tutaj dodać-byśmy chcieli.

Z dzieł zatem, jakie Klonowicz w późniejszych latach stworzył, spłynął sąd na „Akcję pierwszą“, wszyscy wskazywali na niego, jako na autora tego pamfletu. Fakt ten jednakowoż wydarzył się wśród tej gorączkowej niecierpliwości, w jakiej pozostało Zgromadzenie O. O. Jezuitów, śledząc nieustannie sprawę, która, bądź co bądź, nie była dla niego mało znaczną. Bo jeśli się dzisiaj przypatrzymy dokładniej tym wszystkim ustępom dotyczącym duchowieństwo w poematach „Victoria Deorum“ i w „Worku Judaszowym“—to każdy niewątpliwie musi przyznać, że zarzuty nie są ani trochę zbliżone do tych, jakich cały szereg zawiera akcja. Gdzież zdarzy się napotkać u Klonowicza nietylko wzmiankę o Jezuitach, ale nawet skargę na ich nieuczynność, na powierzchowność traktowania rzeczy poważnych, na ich niemoc wobec uczonych mężów, których na dysputy wzywają? gdzie jest choć jakiś cień tych strasznych zbrodni, o jakich ciągle w „Akcji pierwszej“ słyszymy? W pismach poety,—jeśli już jest jakiś zarzut przeciwko duchowieństwu,—to będzie się tyczył jedynie żądzy bogactw, poza tem żadnych nie mamy wskazówek, ażeby Klonowicz czuł jakąś antypatyę do tego stanu, a owszem, cały jego żywot, jak nie mniej i przytoczone powyżej miejsce z „Worka Judaszowego“ świadczy wymownie, iż z księżmi zawsze w jak najlepszych pozostawał stosunkach, kiedy Benedyktynom ani razu wody nie zamącił.

Gayby więc kto chciał szukać choćby nieznaczej assocjacji poglądów między „Akcją pierwszą“, a poprzednimi lub następnymi utworami poety, to z pewnością niczego nie znajdzie, coby mu mogło dać twierdzącą odpowiedź. Jak więc sobie wytłómaczyć tę nienawiść do Jezuitów? gdzie należy szukać jej źródła? Nienawidził z całej duszy Klonowicz żydów, a ta nienawiść występowała niemal na każdym kroku, w każdym utworze brzmi ta zjadliwa struna, wyraźnie i dobitnie się odzywa, wszystkie wogóle wady społeczeństwa wytykała ostro jego satyra przez cały ciąg poetyckiej jego działalności. I nie godzi się powątpiewać ani na chwilę, że gdyby Klonowicz był ożywiony takim samem uczuciem i dla zgromadzenia O. O. Jezuitów, to bezwa-

runkowo był-by też chłostał je nie tylko w „Akcyi pierwszej“, ale był-by mu nieraz dał uczuć dosadnie moc swoich zarzutów.

A taki przecież szczegół, jakim jest całkowity brak assocjacji poglądów i myśli, zawartych w „Akcyi“ z innemi poematami, jakim jest dalej brak jakichkolwiek śladów niechęci poety do Zgromadzenia oo. Jezuitów, nie może być lada czem wytłómaczony, i sam przez się już zdaje się przeczyć autorstwu Klonowicza. Ze szczegółem tej wagi dobrze należy się liczyć.

Roztrząsając tę kwestyę, trudno nie rozpatrzeć się jeszcze i w samym stylu i języku rozważanego przez nas pamfletu, — może to da nam jakie wyraźniejsze wskazówki, może to przyczyni się do usunięcia wątpliwości, jakich tyle przytoczyliśmy przeciko Klonowiczowi i „Akcyi pierwszej“, i okaże, iż w wywodach naszych omylił się.

Jak już przed nami p. Ehrenberg zaznaczył, „pod względem zewnętrznym, pod względem wyrażen i stylu „Akcyi“, na Katylinarkach Cyserona wzorowana. przedstawia się bardzo dobrze“<sup>1)</sup>. I rzeczywiście, sam język, jak i styl, jest do tego stopnia wykształcony, że trudno-by wskazać broszurę, dorównyującą pod tym względem „Akcyi pierwszej“ w czasie, kiedy pamflet, przypisywany Klonowiczowi, pojawił się. A te dwa czynniki są najlepszym dowodem, iż autor „Akcyi szlachcica polskiego“ władał świetnie językiem łacińskim, a nawet, co więcej, musiał niejednokrotnie próbować w tym języku pisać, okresów bowiem takich, jakie tu właśnie widzimy, nie zbuduje nigdy ten, kto rzadko posługuje się łaciną, — wprawa natomiast jest najwidoczniejsza.

Pisał też wiele Klonowicz w języku łacińskim, lecz gdybyśmy chcieli porównać styl „Akcyi pierwszej“ ze stylem na przykład w „Victoria Deorum“, to różnica wystąpi tutaj odrazu tak znaczna, iż przeczy stanowczo, ażeby Klonowicz mógł napisać „Akcyę“. Znajdują się bowiem w tym, późniejszym chronologicznie od „Akcyi“, poemacie, częstokroć zdania tak zawile i niejasne, że godzinami trzeba siedzieć, ażeby sens ich uchwycić. Mógł-by nam atoli kto na to odpowiedzieć, iż ta różnica powstała wskutek heksametru, na który przecież Klonowicz musiał baczną zwracać uwagę. Pójdźmy zatem do jego przekładów i do przedmowy, jaką położył w tłumaczeniu traktatu księdza Wereszczyńskiego, pod tytułem: „Regula id est institutio vitae regis christiani“. I tu, niestety. zarówno sama łacina, jak nie mniej też styl

<sup>1)</sup> „Biblioteka Warszawska“, str. 379.

są tak dalekie od łaciny i stylu w „Akcyi pierwszej“, że niepodobna nawet myśleć o jakichkolwiek podobieństwach, kiedy na każdym kroku występują jak najwyraźniejsze różnice.

Czy zatem można, oparłszy się na tym materyale dowodowym, wydać sąd, potwierdzający autorstwo Klonowicza? czy można przypuścić choćby tylko prawdopodobieństwo, ażeby „Akcyą“ była dziełem tego poety? Poddawszy powyżej dokładnej i drobiazgowej analizie zarówno żywot, jak i pisma Klonowicza, nie znaleźliśmy z jednej strony żadnych faktów, popierających zaród nienawiści do Zgromadzenia oo. Jezuitów, nie znaleźliśmy takich czynników, które mogły spowodować, lub wreszcie przyczynić się do genezy tego pamfletu; z drugiej znowu strony nie napotkaliśmy w całej masie pism poety ani śladu, który-by był w stanie utwierdzać dotychczasowe mniemanie w tej materyi. Styl sam wreszcie wylacza kategorycznie pokrewieństwo tej broszury z innemi pismami poety. Wobec tego nie można zaufać mylnej informacji Wielewickiego, nie można żadną miarą przysądzić „Akcyi pierwszej“ Klonowiczowi, wszelka bowiem możliwość takiego przypuszczenia jest wykluczona.

---

Któż tedy mógł być autorem tego pamfletu? Oto pytanie, które mimowoli nasunie się każdemu, wobec takiego stanu rzeczy. Szukając pośród współczesnych autora „Akcyi pierwszej“, niepodobna nie zwrócić baczniejszej uwagi na Wojciecha z Kalisza (Calisius), o którym przecież świadectwo współczesne Piotrowskiego Grzegorza powiada, iż z pod jego-to pióra wyszedł ten pamflet przeciwko Jezuitom. Świadectwo zaś jego jest zupełnie wiarogodne, Piotrowski bowiem, interesując się sprawami dyssydentów, był dobrze poinformowany o sprawach, dotyczących się obozu innowierców; dokładność dalej szczegółów, tyczących się „Akcyi“, zawartych w jego relacji, nie pozwala wcale na jakąbądź nieufność względem podanej nam wiadomości w „Pogromie lewartowskim“:

Calisius zaś Rektor Chrystyanin prawy,

Najdziesz go w pogotowiu do jakiej chcesz sprawy,

*Jezuitoro znajomy owak prawie dobrze,  
 Boć je w swojej Akciey obramował szczerze,  
 Którą przed trzema laty w Chmielniku uknował.  
 A Woidoius w Niemcech kryjomkiem drukował*

Relacya więc ta, jak widzimy, obfituje w dokładne szczegóły, skoro Piotrowski wiedział, gdzie i kiedy „Akcyja“ została stworzona, i kto ją oddał do druku. A miał Wojciech z Kalisza nieustannie do czynienia z Jezuitami, bo toczył ustne dysputy (naprzykład w Lewartowie w roku 1592) i pisał o nich, a raczej przeciwko nim. W „Akcyi“ zaś wyraźną napotykaemy aluzyę do dysput religijnych: „Provocarunt Lublini superiore anno Antitrinitarios et Anabaptistas ad disputandum, canebant triumphum ante victoriam, in ea disputatione nihil praeter redundandem quandam verborum volubilitatem et tragicos clamores, quibus in clamoribus omnes Jesuiticae laudes positae sunt, praestiterunt, et tantum modo plebis et amicularum et collusorum atque suorum compransorum approbationem consecuti sunt“<sup>1)</sup>. Dysputy atoli nie szły mu pomyślnie, jak o tem wspomina autor „Pogromu lewartowskiego“:

Także on miły Eques Polonus wędrował,  
 Nos zwiesiwszy do głę, *co wiele mędrkował*  
*W swej pierwszej oracyej, którą był kłamliwie*  
 Opisał Jezuity, prawie niecuotliwie<sup>2)</sup>.

Rozgoryczony tedy niepowodzeniem, mógł chwycić się ostatecznego środka, i napisać potwarczą broszurę, z „Akcyi“ bowiem widać na każdym kroku ogromną zaciekłość i nienawiść do Zgromadzenia oo. Jezuitów, jaką tylko wróg mógł czuć i tem tylko można wytłomaczyć ciągle fałszowanie faktów i zbrodni, przypisywanych Jezuitom. Że już autorowie repliki na „Akcyę“ wietrzyli w autorze tego pamfletu dyssydenta, o tem już wyżej obszernie mówiliśmy; że nie chcieli wierzyć, ażeby broszurę taką mógł napisać szlachcic, i otwarci nazwali autora jej: „fictus eques Poloni“—to również jest zupełnie na-

<sup>1)</sup> Karta „A. 4“, str. 2; scil., według wydania z roku 1591.

<sup>2)</sup> Str. 9.

turalnem i nie potrzebuje osobnego wytłómaczenia. Że wreszcie Wojciech z Kalisza posiadał taką erudycyę, jaka widoczna jest z „Akcyi pierwszej“, o tem możemy się łatwo przekonać ze słów autora: „Pogromu lewartowskiego“, który o nim powiada:

Chłop to bracie ze wszystkiem, nauka w nim stateczna,  
Mowa Grecka, Łacińska i Polska beśpieczna...

Po łacinie tedy, jak widzimy, umiał dobrze. A kto wie, czy słowa Marcina Szyszkowskiego: „...putidus paedagogus Grammaticam doces. in Verrinis interim actionibus et Philippicarum maledicentiis. stylum tuum exerceas“<sup>1)</sup>, nie odnoszą się do Wojciecha z Kalisza, który właśnie był rektorem szkoły w Lewartowie. Styl dalej Wojciecha z Kalisza jest niemal że identyczny ze stylem „Akcyi pierwszej“, jak o tem nie trudno się przekonać na pisemku jego pod tytułem: „Schola Levartoviana restituta. sive epistolae aliquot quibus ratio descripta est, quam istius scholae praeceptores in docendo adhibent. Typis Alexii Rodecii, 1593“ z którego widoczna jest ogromna wprawa w języku łacińskim i przywyknienie do pięknych form syntaktycznych. Najważniejszym atoli argumentem na to, iż nikt inny, jak właśnie Wojciech z Kalisza, nie napisał „Akcyi pierwszej“, jest obrona „Akcyi“ i twierdzeń w niej zawartych przed wywodami J. Lausa S. J., zawartemi w broszurce: „Nobilis Poloni pro S. Jesu oratio, 1590“<sup>2)</sup>. Obrona zaś ta wyszła z pod pióra Wojciecha z Kalisza, pod tytułem: „Speculum Jesuitarum, hoc est ornamenta et flores primae orationis in primam actionem Equitis Poloni, pro Jesuitis editae. Summa huius speculi. sive censura veritatis de oratione Jesuitica ad-

<sup>1)</sup> „Pro religiosissimis Patribus S. J. oratio“, str. 19. Na stronie 63 czytamy również podobne zdanie: „...Apage cum ista tua loquacitate: ista ex Verrinis et Philippicis congesta tela, in Religiosos et integerrimae vitae homines, vibrare desine“.

<sup>2)</sup> Broszura ta wyszła w dwu wydaniach w roku 1590; jedno w 4-o, drugie 12-o. trzecia edycya ukazała się w Ingolstadzie roku 1592. Laus wydał nadto po niemiecku: „Schutzrede f. Soc. J.“, a St. Reszka: „Epilogus de operis et parcen. ad equitem Polonum. Neapoli, 1590“. Niestety, tych trzech broszur nie mogliśmy otrzymać, bo nie posiada ich żadna z bibliotek lwowskich, ani krakowskich, ani wrocławska uniwersytecka. A w nich mogło się nie jedno znaleźć, co by potwierdziło wywody nasze w kwestyi „Akcyi pierwszej“.

versus Equitem Polonum. etc. etc. Math. 7. Ex fructibus ipsorum agnoscetis eos. Amen. MDLXXX w 4-o kart. 10<sup>1</sup>) . Broszura ta, niestety, do nas nie dochowała się, — d-rowsi K. Estreicherowi wiadomy jest tylko jeden egzemplarz w bibliotece uniwersyteckiej we Wrocławiu, zarząd biblioteki nie wie, co się obecnie z tym unikatem stało. Nam atoli się wydaje, iż już to samo, że Wojciech z Kalisza wystąpił w obronie „Akcyi pierwszej“, jest potwierdzeniem autorstwa jego co do samego pamfletu przeciw Jezuitom.

STANISŁAW ZDZIARSKI.

---

1) Dr K. Estreicher: „Bibliografia“, XIV, str. 18.



---

# PIŚMIENICTWO.

---

Dr Karl Bücher ord. professor der National Öconomie an der Universität Leipzig „Arbeit und Rhythmus.“ Zweite stark vermehrte Auflage, Leipzig Teubner“ (1899, w 8-ce str. 412).

Dr Richard Ehrenberg Professor der Staatwissenschaften zu Rostock „Handelspolitik. Fünf Vorträge gehalten zu Frankfurt am Main.“ (Jena, Fischer, 1900, str. 95).

Karol Bücher jest znany powszechnie, jako badacz gruntowny i głęboki. Każda rzecz, choćby najdrobniejsza, wychodząca z pod jego pióra, ma prawie zawsze wielką dozę oryginalności, a ta świeżość wywodów, jaka się przebija na każdej stronie, mimowoli ujmuje czytelnika, mieszcząc w sobie jakby jakiś urok pociągający.

Książka, której tytuł u góry wypisano, wyszła, po bardzo krótkim upływie czasu, w drugim, ogromnie powiększonym wydaniu<sup>1)</sup>, tak, że można-by je śmiało nazwać nowem zupełnie dziełem.

---

<sup>1)</sup> Dość zaznaczyć w tym względzie, że pierwsze wydanie miało zaledwie 130 str., gdy niniejsze ma ich aż 412.

Autor tego dzieła jest jednym z najwybitniejszych ekonomistów współczesnych. Ale „Praca i rytm“, to książka tylko w części ekonomiczna. Sięga ona do głębin, do pierwocin życia społecznego, stara się odgadnąć duszę ludów pierwotnych i na tem szerokiem tle psychologii społecznej zbadać początek i powstanie pracy, początek rytmu, muzyki i pieśni. Ma ta książka zarazem dla ludoznawstwa wielkie znaczenie, ponieważ autor wszystkie swoje wywody opiera na niezliczonym szeregu pieśni ludowych, opisów podróży wśród ludów pierwotnych, pamiętników itp. słowem na materiale folklorystycznym, umiejętnie używając tego materiału dla swych przesłanek socyologicznych.

Mimo, że praca—mówi autor—stanowi punkt wyjścia przy ocenianiu wszelkich zjawisk życia gospodarczego, jednakże, jej istota nie została dotychczas należycie zbadaną. Zazwyczaj uważa się ją za jakąś kategorię ekonomiczną, a jej istotą ma być ruch, skierowany do wywołania skutków, leżących poza bezpośrednim pożytecznym tego ruchu rezultatem. Wszystkie inne ruchy, których cel leży w nich samych, nie są pracą. Zdaniem autora, pogląd taki dał-by się może utrzymać co do pojęcia pracy, odbywającej się w wyższych stadiach rozwoju cywilizacyjnego, mylnym jest wszakże stanowczo, o ile-by chciano ten pogląd zastosować do wszelkich stadiów gospodarczego rozwoju, w szczególności do pracy ludów pierwotnych. U ludów pierwotnych bowiem granica pomiędzy pracą a zabawą jest raczej ilościową, niż jakościową. W tem pierwotnem stadium istnieje tylko jedna kategoria działalności ludzkiej, gdzie praca, zabawa i sztuka tworzą jednolitą i nierozłączną całość.

Zazwyczaj podróżnicy uważają ludy pierwotne za leniwe. Tymczasem one pracują, i to pracują bardzo gorliwie — tylko na swój sposób. Jeśli się bowiem uwzględni z jednej strony zadziwiająco niejednokrotnie rezultaty ich działalności, z drugiej strony bardzo proste środki pomocnicze, których używają dla wywołania tych efektów, to musimy stanowczo dojść do wniosku, że nakład pracy tych ludów jest wprost ogromny. Tylko, że ta praca jest raczej obliczona na zaspokojenie bezpośrednich chwilowych potrzeb, ma charakter dorywczy, niestaly. Zresztą potrzeby te nie mają prawie charakteru gospodarczego, owszem mieszczą w sobie dużo pierwiastku idealnego. Motywem, który popycha ludy pierwotne do pracy, jest bowiem bardzo często radość i honor, połączony z posiadaniem i używaniem wytworów własnej pracy. Człowiek pierwotny rzeczywiście od innych się odróżnia, jeśli ozdabia swe ciało.

Już Ferrero zaznaczył, iż nie fizyczne zmęczenie sprawia, że ludy pierwotne nie znoszą prawidłowej pracy. Różnica między pracą

ludów pierwotnych, a pracą ludów cywilizowanych polega na tem, że ta ostatnia wymaga od robotnika dla usunięcia przeszkód wysiłku woli, gdy pierwsza popuszcza engli siłom nerwowym, nagromadzonym w centrach psychicznych.

Ludy pierwotne namiętnie uprawiają taniec. Zdaniem Büchera, ten właśnie punkt, na który zwrócił uwagę Ferrero, jest bardzo ważny. Obu czynnościom jest wspólnym ich charakter automatyczny. Podobnie, jak w tańcu, tak i w pracy objawia się widoczna dążność do rytmicznych odruchów. Zwłaszcza ujawnia się to najbardziej stanowczo w tych rodzajach pracy, które się prawidłowo powtarzają.

Te kategorie pracy zarazem najwięcej męczą, ponieważ warunkiem ich spełnienia jest jednolite zachowanie się ciała, ciągle i równomierne używanie jednych i tych samych mięśni, podczas gdy czynności o różnym charakterze powodują różne położenie ciała, wymagają przeto użycia różnych mięśni, umożliwiając każdemu z nich krótszy lub dłuższy wypoczynek. Otóż równomierność w odruchach ciała reguluje jaknajbardziej oszczędnie wydatek sił. Ten jednolity rodzaj czynności przeważa stanowczo u ludów pierwotnych, z tego też powodu i rytm w pracy objawia się na każdym prawie kroku.

Z ruchem rytmicznym łączą się też wkrótce rytmiczne objawy głosowe. Tam, gdzie sama praca takich rytmicznych odgłosów nie wywołuje (naprzykład teraz jeszcze przy praniu bielizny), występuje na miejsce tych automatycznych odgłosów, głos ludzki, dźwięki rytmiczne wydający. Głosy te, początkowo pozbawione wszelkiej treści, z czasem przekształcają się w formalne śpiewy, których treść jest dostosowaną do rodzaju pracy. Śpiew przy pracy działa naprzód jako rodzaj dyscypliny roboczej, używanej przez samychże robotników dla ułatwienia wspólnej i trwałej pracy większej masy robotników.

To się objawia też w treści śpiewów. I tak jedne śpiewy wzywają towarzyszy pracy do wspólnego, równoczesnego użycia sił, inne działają na nich ironią i naganą, inne wreszcie wyrażają radość z rezultatów dokonanej pracy, skargi na tę pracę itp. Gdy tak pierwotnie śpiewu roboczego używano, jako środka dyscypliny, stał się on później narzędziem panowania. Śpiewu używa w tym celu zarówno chiński mandaryn, jak i pan nadbałtycki.

Praca wywiera też wielki wpływ na ukształtowanie się śpiewu, poezyi i muzyki. Rytm w śpiewie jest skutkiem nie zaś przyczyną

rytmu w pracy. Poezja, w pierwotnym stadium swego rozwoju dostosowuje swoje wyrazy do wymagań rytmu, przekształca język prozaiczny w język poetyczny. I na muzykę praca wywiera wpływ znaczny i jest źródłem jej powstania.

Cały szereg kategorii pracy wywołuje z natury rzeczy pewne dźwięki. Muzyka była tylko spotęgowaniem i uszlachetnieniem tych dźwięków, często przy pomocy osobnych, do tego skonstruowanych narzędzi. Z poezją, muzyką i śpiewem, łączy się też taniec. Wszystkie te cztery kategorie ruchów ciała ludzkiego mają właśnie na równi z pracą tę jedną wspólną cechę, że są rytmicznymi odruchami. Z czasem dopiero w tych poszczególnych kategoriach sztuki następuje większe zróżniczkowanie, a element rytmu usuwa się na drugi plan, bo obok rytmu trzeba obecnie jeszcze całego szeregu innych czynników, by mogła być mowa o poezji czy muzyce.

Praca, sztuka i gra tworzyły przeto pierwotnie jednolitą, nierozłączną całość. W tej pierwotnej jednolitości duchowo-fizycznej działalności człowieka można odnaleźć pierwiastki późniejszej pracy techniczno-gospodarczej, główne formy gry i wszystkie sztuki, więc zarówno sztuki ruchu, jak i sztuki spokoju. Sztuki ruchu (muzyka, taniec i poezja), ujawniają się przy wykonywaniu pracy, sztuki spokoju (malarstwo, rzeźbiarstwo), pojawiają się w rezultatach pracy. Wszędzie brak tu jednak momentu gospodarczego. Jest to tylko instynktowny odruch życiowy. Węzeł łączący wszystkie te tak różnorodne żywioły, to rytm, to jest uporządkowane ułożenie ruchów wedle czasowego ich przebiegu. Rytm wypływa z organicznej natury człowieka. Jest on czynnikiem, jak najoszczędniej regulującym użycie sił w naturalnym ujawnieniu się każdego ciała zwierzęcego. Koń i wielbłąd poruszają się rytmicznie w podobny sposób, jak żeglarz lub kowal. Rytm budzi uczucie radości i zadowolenia. Jest on przeto nie tylko ułatwieniem pracy, ale też źródłem smaku estetycznego, i tym żywiołem sztuki, który budzi uczucie we wszystkich ludziach. Przy pomocy rytmu znalazła swój wyraz odpowiednia zasada ekonomiczna, która wymaga, by użyć jak największą siłę i ochotę życiową bez większych ofiar.

Jeśli rytm utracił swe dawne znaczenie, przypisać to należy użyciu sztucznych narzędzi pracy, które powodują inne zupełnie ruchy i zachowanie się ciała. Na tem też polega to wielkie napięcie, jakie wywołuje np. dzisiejsza praca fabryczna. Człowiek stał się niewolnikiem swego narzędzia, częścią mechanizmu niejako. Dziś już śpiew wśród hałasu fabrycznego nie dał się oczywiście utrzymać. Ale i dzisiaj zachowały się tu i owdzie te dawne formy jednolitości ruchów

rytmicznych i to nie tylko na wsi, ale, po części przynajmniej, wszędzie, gdzie praca nie przestała być ręczną. Tu wszędzie człowiek dąży do rytmicznych odruchów.

Państwo współczesne — mówi autor — jest nie tylko państwem prawem, ale powinno też spełniać inną misję, niemniej ważną: szerzyć cywilizację, tak duchową, jak materialną. To powinna uwzględniać polityka: jako sztuka wykonania woli państwowej, używa ona środków państwa dla osiągnięcia jego celów; polityka gospodarcza szerzy cywilizację gospodarczą, materialną. Dzieli ją autor na politykę produkcyjną i politykę rozdzielniczą, pomijając zupełnie politykę organizacyjną.

Polityka handlowa jest polityką produkcyjną, choć oczywiście, jak każda polityka produkcyjna, wpływa i na rozdział dobrobytu społecznego.

Autor jest zwolennikiem metody historycznej. Studium faktów tylko powinno stanowić podstawę oceniania zjawisk ekonomicznych. W systemach Adama Smitha i Lista nie widzi kierunków, zasadniczo z sobą sprzecznych, tylko dwie różne tendencje rozwojowe, teorie gospodarstwa światowego i gospodarstwa społecznego (narodowego). Siły produkcyjne dzieli na osobiste i rzeczowe. Obie kategorie sił można wykształcić i rozwinąć, choć nie wszystkie w tym samym stopniu: sztuczne (tj. wypływające z kombinacji sił osobistych i rzeczowych) więcej niż materialne, wśród tych ostatnich zaś znów więcej osobiste niż rzeczowe. Wskutek rozwinięcia swych sił produkcyjnych może też pewien kraj, ubogi z natury, więcej wytwarzać dóbr gospodarczych, niż kraj z natury bogaty.

Wskutek tej tendencji następuje w pewnym stopniu zrównoważenie sił gospodarczych poszczególnych krajów czy państw. Ale nie stają się te gospodarstwa społeczne przez to bynajmniej równomiernie, owszem specjalizują się one coraz bardziej. Polityka handlowa powinna przede wszystkim popierać rozwój sił produkcyjnych gospodarstwa społecznego i przeciwdziałać upadkowi tych sił. Starać się ona powinna wszakże przede wszystkim o rozwój tych sił produkcyjnych, które mogą dać swemu gospodarstwu społecznemu stałe znaczenie na targu międzynarodowym. Choć wszakże polityka handlowa

jest dzisiaj przede wszystkim potężną bronią w międzynarodowej walce gospodarczej, to przecież jej celem ostatecznym powinien być rozwój gospodarstwa światowego, pókój gospodarczy między narodami, bo gospodarstwo światowe jest naturalną konsekwencją nierównego rozdziału sił przyrodzonych na kuli ziemskiej. Ale to ideały jeszcze odległe. Nawet środkowo-europejska linia celna pozostanie jeszcze utopią, ponieważ interesy gospodarcze poszczególnych państw, które-by tu mogły wchodzić w rachubę, zbyt wiele jeszcze wykazują przeciwieństw.<sup>1</sup>

Wśród poszczególnych systemów polityki handlowej autor oświadcza się za kombinacją systemu cel ochronnych z systemem traktatów handlowych. Ogólby międzynarodowy system wolno-handlowy miałby rację dopiero wówczas, gdyby wszystkie samoistne gospodarstwa stały mniej więcej na tym samym stopniu rozwoju cywilizacyjnego, gdyby międzynarodowy podział pracy był w wysokim stopniu urzeczywistniony.

Autor oświadcza się w końcu za ruchomą skalą taryfy celnej, za możliwie najdalej idącą indywidualizacją towarów i krajów i za dalszem uprawianiem i rozwijaniem polityki kolonialnej. Zaznacza również, że do wykonania dobrych traktatów handlowych potrzeba także dobrych organów wykonawczych, widząc jedną z najważniejszych luk w obecnym systemie wychowania urzędników administracyjnych, którzy mają te traktaty przygotować i wykonać, w tem, że zbyt mało znają się na ekonomice prywatnej, jak wogóle cała ekonomika społeczna zbyt mało przykłada wagi do tych kwestyi, w przeciwstawieniu do tak lekceważonej obecnie kameralistyki.

Książka prof. Ehrenberga zaleca się pięknym stylem i barwnym przedstawieniem rzeczy i daje bardzo dobry ogólny pogląd na kwestye polityki handlowej.

DR ZYGMUNT GARGAS.

Jerzy Żuławski: „Poezye“. II, Warszawa, 1900.

Ludwika Godlewska (Exterus): „Dobre pary“, powieść współczesna,  
Lwów. 1900; „Kwiat aloesu“, Warszawa, 1899.

P. Jerzy Żuławski niewątpliwie należy do wybitniejszych poetów naszych w chwili bieżącej. Dał się on już poznać trzema dawniej wydanymi zbiorcami. Tom, którym obdarzył nas w tym roku, jest spory i zawiera wiele prawdziwie pięknych rzeczy. Wśród powodzi zbiorców poetyckich, dających nam tak często garść drobniaków o pustej treści i nędznej formie, skazanych na utonięcie w zapomnienia fali wraz z nazwiskiem swego autora, — utwory p. Żuławskiego zajmą miejsce wydatne.

P. Żuławski lubi przebywać w smętnej krainie melancholii; skrzydła jego nasiąkły jej mgłą wilgotną, i rzadko go unoszą w krainę słońca; to też i poezya jego nie jest bynajmniej słoneczną. „Dwa są rodzaje melancholii.—mówi poeta—jedna z mocy, druga ze słabości“. Jakkolwiek poeta twierdzi, iż należy do pokolenia, którego melancholia właśnie ze słabości źródło swe bierze, w jego poezyi przecież dużo jest energii i siły. Nie spotykamy u niego co prawda dzikich zgrzytów rozpaczy, ani też radosnych hymnów; przeważa w nim poważny nastrój myśliciela, nadający wszystkim jego utworom wyraźny charakter refleksyjny. „Myśl jest wszystkim na świecie, i myśl jedna stwarza“. Te słowa naszego poety uważać możemy za jego dewizę. Szukając rozwiązania dręczących go zagadnień, idzie on ponad fale błękitnego Gangesu, i na śnieżne Libanu szczyty, czerpie pełną dłonią z różnych źródeł mądrości: z ksiąg Wedy i Talmudu, z wielkich proroków Zakonu, z greckich i współczesnych filozofów. Duma głęboko nad przeznaczeniem i celowością istnienia, i stosownie do nastroju dzieli się z nami w szeregu większych tym razem utworów, przeważnie filozoficznej treści,—zwątpieniem swem, tęsknotą do wyższych form istnienia, mglistem przecuciem życia zaświatowego, spokojną rezygnacją panteisty. A do tej treści urozmaiconej nagina się forma, którą obecnie p. Żuławski włada już z wielką wprawą. W potrzebie przybiera ona twardość głazów, i poeta uderza nią, jak gro-

tem, przemawiając do nas naprzykład ustami proroków, lub opisując dzień sądu; niekiedy znowu jest miękka i melodyjna, jak śpiew. Sprawdźmy to, słuchając powieści o „Lotosie“. Jest to największy i zarazem najpiękniejszy może utwór w książce. Oryginalność pomysłu idzie w parze z doskonałością formy. Cały długi poemat pisany jest prześlicznymi tercynami, które płyną z pod pióra poety z dziwną swobodą i naturalnością. O kierunku wyobraźni autora da nam pojęcie ustęp przedmowy: „...my wszyscy jesteśmy tylko piórami w olbrzymim skrzydle powszechnej duszy człowieczej, i drżymy, gdy ono wiatr bije; w prochu i żwirze rozkrwawiamy skronie, gdy opuszczone bezwładnie po ziemi się wlecze. I tęsknimy, tęsknimy, tęsknimy bez końca za tym nierzeczywistym światem, który jest od wszystkich rzeczywistych—rzeczywistszy... Pióra drżą znowu w skrzydłach ptaka; nie wiem, czy to do lotu on znowu się zrywa, czy też wiatr jaki musnął go tylko po pierzu i lotki niektóre dreszczem przejmuje... Ale drżą“... Coś Shelleyowskiego jest w tej nieuchwytniej, czarodziejskiej opowieści o miłości śmiertelnika do cudownego kwiatu Lotosu, do „duszy świata“, która mu była „i bliska, i święta, i jako wszechświat, tak widna i jasna, lecz jak ten wszechświat, tak nieogarnięta,—tak niezgłębiona, jak ma dusza własna“. Trudno w krótkich słowach dać pojęcie o tem eterycznym marzeniu, subtelnej, przezroczej tkaninie myśli, mieniącej się brylantowymi połyskami. W drugiej części utworu widzimy wyraźny, jakkolwiek cząstkowy tylko, wpływ Przybyszewskiego. Przepyszny gród indyjskiego księcia jest wzniesiony całkiem na wzór czarodziejskiego grodu Alkazaru, jednej ze wspaniałych wizyi autora „Nad morzem“; umieszczony w poemacie, jest z pewnością holdem, złożonym przyjacielowi, któremu poeta utwór swój ofiarowuje. Innym holdem, mniej potrzebnym, są wyrażenia takie, jak: tryszcze, wgrzyzać się oczami i t. d.

Obok „Lotosu“ znajdzie czytelnik w zbiorze ślicznie pomyslane „Narodziny Psyche“. Urodziła się ona z tęsknoty pierwotnego człowieka za czemś nieznanem, ze współczucia dla cierpienia, a uwielbienia dla piękna. W chwili, gdy król stworzeń, widząc swą potęgę, po zwycięskiej walce z dzikim zwierzem, zamyśla się nad losem osieroconych kózłat zabitej przezeń lani, gdy w umiesieniu zachwytu klęka przed słońcem i cześć mu oddaje, przychodzi na świat Psyche, „jasna, czysta, słodka, cicha — narodzona świata dusza“. A ledwie przyszła, zaczyna tęsknić i skarżyć się, że jej w górę i w górę lecieć trzeba, a skrzydła jej tak słabe są i małe. Słabe i małe w porównaniu z drogą, która się przed nią rozściela, w stosunku do celu, który, w miarę zbliżania się do niego, odleglejszym się wydaje. W tem zna-



czeniu nie są dość mocne i te skrzydła, któremi duch poety szybuje poprzez światy, przez siebie stworzone. Wraz z nim przecież zawisamy nad głębiną, w którą zapada strącony Lucyfer; wraz z nim przenosimy się w otchłaniach czasu od pierwszego dnia tworzenia („Z Jandżurwedy“) aż do tej straszliwej godziny, kiedy czas stanie, a „śmierć zwycięska, zdziwiona, że już nie żyje, przestraszona swem dziełem, schowała pazury, wzniosła w niebo paszczękę, i jak szakal wyje“. A wreszcie stajemy w uroczystem skupieniu wobec Jungfrau. „To ziemia w ciszy ogromnej się modli, w niebo ramiony wzniesiona białemi“.

---

Drugą z kolei większą powieścią L. Godlewskiej był „Kato“. Pewne świeże nuty tego utworu bardzo sympatycznie uspasabiały dla nowego talentu i kazały się nam spodziewać dzieł, które-by w wyższym jeszcze stopniu, niż to, zrywały z szablonem przeciętnych wyrobów beletrystycznych. Lecz w miarę tego, jak „Dobrane pary“ posawały się w odcinku jednego z czasopism, coraz widoczniejszą stawało się rzeczą, że w „Parach“ owych zapowiedź nie miała się urzeczywistnić w najdrobniejszej części. Łatwo zrozumieć płynące stąd niezadowolenie i rozczarowanie. Wpadało w oczy przedewszystkiem niewolnicze przesienkiewiczzenie stylu, które nie pociągnęło za sobą wprawdzie ani barwności kolorytu autora „Quo vadis“, ani jego wypukłości kształtów, lecz wzamian pozostawilo osad, w kształcie żywcem przejętych spostrzeżeń, czy twierdzeń, jak to okaże się na przykład w rozmyśłaniu Ładysza (niby Połaniecki): „Nikt od tej szarej roli nie odrywa się bezkarnie, zawsze pozostanie jakaś struna, która mu będzie ciągnęła duszę“. Połaniecki „czuł, że przyszedł na niego czas, więc szukał naokoło siebie kobiety... Gdy spotykał jaką na swej drodze, przedewszystkiem od pierwszej chwili zadawał sobie pytanie: czyby nie ta?“. Ładysz zaś był w tym wieku, w którym mężczyzna patrzy na panny ze szczególną uwagą, i mimowoli zadaje sobie pytanie: a może ta?“. To jest chyba nie twórczość, lecz zasilanie się cudzą twórczością. Znać to, zwłaszcza w psychologii i „analizie“ autorki, analizie, która przecież nie stworzyła ani Płoszowskiego, ani Petroniusza. Całkiem przeciwnie... Ach, ta skwapliwość w podkreślaniu

najprostszych, najcodzienniejszych rzeczy! Czasami parę drzewek, kilka krzaków, mrokiem otulonych, dostarczy nam złudzenia jakichś altan, zakrętów, ścieżek. prowadzących w głąb, gdzie są znowu gąszcze, altany, sadzawki. Pójdźmy tam z latarnią. Tuż przed nami plot, a za nim nic już niema, chyba ulica, lub śmietnisko. Wyobraźnia nasza już nie ma pola do działania. Czujemy zresztą, ile jest niesprawiedliwości w takim przedstawieniu sprawy, bo czy nie powinniśmy raczej za zasługę poczytać powieściopisarzom naszym ich dbałość, by czytelnik nie doznawał złudzeń głębi tam, gdzie jej niema? W „Dobrych parach“ dużo jest mądrych osób, mądrze rozprawiających. Jeden z bohaterów zapewnia uroczyście, że „w małżeństwie nic z doktoratu, bo tam potrzeba serca i kapłaństwa“, a doktor - Linkowska sekunduje mu: „Prawdziwe szczęście jest w małżeństwie... zrodzonym z miłości dwojga ludzi, którzy w siebie wierzą“... A złośliwi utrzymują, że Ameryka już dawno odkryta. Takie odruchy, zgryźliwośćią niejako napiętnowane, budził w nas utwór p. L. Godlewskiej, kiedy nie mogliśmy jeszcze wrażeń swych zealkować. Obecnie, obok tamtych, budzą się inne, które świadczą, że, bądź co bądź, ostatnia powieść nie jest krokiem wstecznym. Znajdujemy w niej dużo spostrzeżeń prawdziwych, znajdziemy dowody niepowszedniej siły charakterystyki i obrazowania. Osnowa utworu jest taka: P. Stefan Ładysz, inżynier, jest w tym wieku, kiedy i t. d. Nasuwają mu na oczy pannę Hańkę Borską; p. Hańce nasuwają p. Stefana. I jedno, i drugie nie należy do kategorii pospolitaków, i wszystko pięknie, jeno Ładysz, przeświadczony, iż miłość kobieca jest tylko powrotną falą uczucia męczyzny, zbyt skwapliwie wchodzi w rolę przyszłego władcy. Wymaga od Hańki, by dusza jej przed nim była rozwarta. lecz ze swej strony nie krępuje się bynajmniej tym warunkiem. Narzeczona dopiero od obcych dowiaduje się o jego postanowieniach i czynach. Pozostawiona bez wieści, tęskni, niepokoi się, i wreszcie tracić zaczyna ufność. Nie poznali się, nie zbliżyli się należycie, a to wszystko winą Ładysza. Duma kobieca, spotęgowana rozdrażnieniem nerwowem. obudziła się w Hańce, a on zdobył się tylko na przestrożę, że ona, Hańka, s o b i e życie może zepsuć--i odszedł obrażony. Nie odejdzie od Janki Tygłowskiej, przebiegłej kokieteczki, która umie upokorzyć się i znieść wybuchy złego humoru, oplatać siecią drobnych kłamstw, podrażnić jego instynkty męskie. Będzie to d o b r a n a p a r a. Mamy do wyboru kilka wzorów przyszłości Ładysza. Jedna para, złożona z brata Hańki i Amelii, starszej siostry Janiny Tygłowskiej. Nienagięty Stach Borski powoli, powoli wyrzeka się swych ideałów, ociężałe porusza się w deptaku powszednich zabiegów o zapewnienie dobro-

bytu rodzinie, i tuż, tuż ociera się o to, co już brukać zaczyna. Ma za to w domu wieczny trajkot maszyny do szycia, zaniedbane dzieci, a nadto przeświadczenie, że Melka, oklamująca go na każdym kroku zapracowuje się dlań i posiada duszę kryształową. Walek Borski, przejęty poważniejszymi zadaniami społecznymi, ożenił się z głupiutką gęsią, aleta po dziecięcemu przeraża się jego gniewem, i jest wtedy zachwycająco bezbronna. Więc wszystko dobrze. Maryanowi, najstarszemu z Borskich, złamała życie istota podobna p. Walentowej, czy może Jance Tyglowskiej. Natomiast Leon Linkowski wymaga od żony, by porzuciła swój zawód lekarski. Piękna galeryjka... Ale osoby z tej galeryi występują przed nami jak żywe. Szczęśliwym zmysłem wiedzona, w charakterystyce osób autorka nie ucieka się do „analizy“, ani do opisu, jak wtedy, gdy dotyka uczucia miłosnego. Działami osób — ich słowa, usposobienia tłómaczą się same przez się w sposób zupełnie naturalny. Oto naprzykład taka scena. W salonie p. Walentowej Borskiej dwaj młodzieńcy tańczą kankana, bo to teraz modne. Produkuje się nawet bardzo pięknie w tem ćwiczeniu hrabina Henrykowa; według zapewnień kuzynka Lola, oczywiście, jest to pyszne, choć strasznie nieprzyzwoite, i żadna panna tego-by nawet nie zrozumiała. Han-ka, powstrzymując ciszący się na usta epitet, każe pomyśleć bratowej, co wyrabia i jak pozwała drzwi z siebie w żywe oczy. „Pani Flora zastanowiła się w samej rzeczy i doszła do przekonania, że mężatka może bezpiecznie widzieć kankana, bo przecież z konieczności zna rzeczy daleko gorsze“... No, mamy już tę Florę. — P. Amelia nie jest głupia, nikt jej nie weźmie na modny „prowansalski“ akcent, ani na kankany hrabiny Henrykowej. Ale rozumu jej starczy tylko na drobne oszustwa, na trafianie omackiem w obcej jej dziedzinie przekonau i dążeń, wykraczających poza obręb ciasnutko-praktycznych celów zatęchłej atmosfery mieszczańskiej. Godzina dziesiąta zrana. P. Amelia nieubrana, w mieszkaniu nieład, a tu tymczasem ktoś gwałtownie dzwonek szarpie. Więc zamieszanie, niema komu drzwi otworzyć, wreszcie biegnie mamka, pozostawiając w niebogłosy wrzeszczące dziecko. Niema gości, to na chwilę zabiegł mąż—i oto stoi bezradnie pośrodku pokoju. Trochę wymówek. p. Amelia w płacz, przypomina, że posaga nie wniosła, że chciała-by ulżyć mężowi pracą własną... tu schyla się do szczotek, by wytrzeć podłogę... Po burzy, choćby chwilowej, przyjemniejsza pogoda. Mąż prosi, by Melka poszła na kolej po przyjeżdżającą Han-kę. Ależ dobrze; trzeba-by (korzystajmy z pogody po burzy) dla Hanki jakich przysmaków... tylko (tu otrzymana assygnata zaciska się pośpiesznie w dłoni) nie będzie komu pójść po kawior i sardynki... no, to już mąż na siebie weźmie. Poszedł. Copre-

dziej elegancka sukienka przykryje brudy, i pobiegnie się do sklepu po wachlarzyk dla ozdobienia salonu i materyal na szlafroczek. Na kolej idzie bona z dziećmi, później uprosi się Hańkę. by o tem przed bratem nie wspominała. A potem westchnienie w rozmowie z siostrą męża, że Stach nie podjął się jakiejś niezbyt czystej sprawy, a jakiś inny adwokat zgarnął za to ze trzy tysiące. Na oburzenie Hańki odpowie się równem oburzeniem: ja pierwsza powiedziałam, by w to palców nie maczał i t. d. No, i znowu mamy tę panią Melkę.

Dużo, dużo podobnych rysów, których wyliczać, ani wskazywać nie sposób, odtworzyła autorka znakomicie. Okrasą powieści jest oryginalna postać starego Borskiego, i humorem ożywiony opis wiejskiego towarzystwa, zebranego na zabawie u jednego z Borskich; wyborna jest pani Gajdowska. mówiąca z zupełną prostotą o „akademii“ dla kobiet, jako jednym ze „sposobów“... znalezienia męża. Zarzucić-by można tylko pewną jednostajność charakterów, rysów, toku wyobrażeń licznej rzeszy, przewijającej się przed oczyma czytelnika, ale przyczyny tego tkwią już w samej myśli zasadniczej utworu, o której właśnie mówić chcemy.

Duszno nam, straszliwie duszno wśród wszystkich tych Melek, Janek, Flor, „mamuleczek“, wraz z dodanymi im Borskimi, Linkowskimi, Ładyszami.. Nie błędy techniki to powodują, nie brak, czy niedokładność retuszu. lecz atmosfera umysłowa, w której ci ludzie kąpią się, lecz ograniczoność i martwota ich widnokręgów i zadań. A nigdzie przeciwieństwa nie widać, nigdzie. Autorka upodobała sobie parę postaci. Oto Ładysz, wcielenie wszystkich cnót (oprócz jednej), przeczulony esteta, dekadent i schyłkowiec (czemuż jeszcze nie modernista, symbolista, nastrojowiec, no, co tam jeszcze?), obok tego „przywódca tłumów“ (?), uczciwości wyższej nad podejrzenie. Ułożył już sobie projekt, jaką powinna być jego żona; żenić-by się jednak w obecnej chwili nie mógł, bo ma jakieś nędzne trzy tysiące rocznie, bo, jako esteta, drutowanej porcelany nie znosi. Gdy skrupuły te jakoś przewyciężył, Hańce wiele o sobie nie pisuje, bo „jak zdobędzie środki na artystyczne ramy, w które jej i swoje przyszłe szczęście oprawi, to obchodzi tylko jego“. I to jest „przywódca tłumów“! Czem je pociągnie? Autorka sądzi, że on grzech względem Hańki popełnił, nie chcąc i nie umiejąc uznać jej za dorosłą do siebie, za tak wysoką, jak sam, — a tymczasem nie było tam do czego dorastać, nie było z kim się równać. Tak i Ładysz pozami swemi atmosfery nie oczyści. A Hańka? Postać ta przez przeciwieństwo do Flor i Melek wyodrębnia się bardzo dodatnio; działalność jej wśród naj-

blizszego otoczenia zasługuje na wszelkie uznanie. Tylko... jaki jest grunt jej charakteru, z jakiego źródła wytryska i ku jakiemu punktowi przestrzeni toczy się fala jej wewnętrzznego przypływu i odpływu? Oto... przygotowuje się do kochania. Obiecuje sobie, że nie odepcze takiej wielkiej miłości, gdyby się jej zdarzyła, jak ta, którą odepchnęła Łuniecka, narzeczona Maryana. „Gdyby jej dano choć podobną!”. „Nikt nie wie, nawet matka, ale ona, Hańka, czasami pragnie i pewno umiała-by bardzo kochać. Nieraz... czuje wyraźnie, że ma w sobie jakby za dużo serca, za wiele duszy, i że koniecznie powinna to komu oddać”. No, pewnie tak, nie inaczej, lecz... wchodzi to już w kompetencję niewieścią, nie mam więc głosu. Mimowoli mi tylko przypominają się całkiem inne zwierzenia Joasi w „Ludziach bezdomnych”. Nie o to chodzi, że Hańka chce kochać (jeśli tak wolno się wyrazić), lecz że staje się naczyniem wybranem do przyjęcia w siebie jakiejś przepastnej miłości, i z tego punktu ogląda siebie uroczyście, celebrytuje.—inne zaś objawy krzątania się, jak, dajmy na to, ustawianie dziewczątek wiejskich do processyi i t. p.,—to sobie dodatek, międzydanie niewinne przed spełnieniem jedyne, wielkiego, istotnego przeznaczenia. To się robi i będzie się robić, lecz o tem się nie marzy, to energii duchowej nie pochłonie. Przeciwnieństwo między Hańką a Melką maleje...

Przyjaciółka od serca Hańki, doktor Linkowska, jak wspomnieliśmy, poróżniła się z mężem z przyczyny swych upodobań lekarskich, ale jeden jest tylko przedmiot, „który ją zawsze wyprowadzał z równowagi“, a mianowicie—stosunek mężczyzny do kobiety. Otóż i sęk właśnie. Erotyzm sączy się przez wszystkie szczeliny i otwory „Dobrych par“, wypełnia je po brzegi. A nie mam tu na myśli zgoła jakiejś pojedynczej plastycznej sceny, to drobnostka; gorszyć się tym było-by pruderyą. Lecz w tej książce wszystkie pyłki myśli i pożądań, wszystkie drgnienia nerwowe ucieleśniają się, a unosząc się i wirując w powietrzu, wytwarzają jakąś obłądną atmosferę, ponad którą nie wyrasta ani jedna postać z tych wielu, które autorka na widowieństwo wprowadziła. Gdy Hańka się truje, matka w tej tragicznej chwili przypomina jej, że „twój ojciec nie dla kochanek nadstawiał piersi, twoja ziemia nie takich potrzebuje dramatów“. Coż kiedy to jest luźny, zablakany dźwięk, napróżno czeplający się innych tonów, splecionych w zgodny a potężny—nie tyle potężny, co uparcie powracający, akord. Tak, uparcie powracający. Bo „Dobre pary“ to synteza dotychczasowej działalności pisarskiej L. Godlewskiej, od drobnych szkiców, które właśnie mamy przed sobą („Kwiat aleosu“), przez dwie powieści: „Po zdrowie“ i „Kato“, aż do obecnej. Pier-

wiastki, które dawniej pozostawały w rozczywie, a próbowały chwilowych związków, teraz utworzyły stałe krystaliczne skojarzenie o ostrych krawędziach i gładkich, cokolwiek matowo polyskujących, powierzchniach. I czy to, zwiedzając Meran, wciskaliśmy się pomiędzy osoby w „Parwie“ zgromadzone, by posłuchać szeptów Ruszczyca z Zosią i innych „par“, aż nas spłoszył demon w anielskiej postaci; czy to w „Kwiecie aloesu“ rozważaliśmy zagadnienie, czy ma prawo mężczyzna, z zarodami choroby dziedzicznej w ciele, dać się zwyciężyć miłości dziewczęcej; czy to w „Feministce“ kiwaliśmy głową nad Szeliskim, udającym zwolennika emancypacji kobiet, lecz ośmieszającym w niepodpisanych artykułach ich dążenia, a za towarzyszkę życia obierającym gęś—zawsze oddychaliśmy tą atmosferą, w której o niczem się nie mówi i nie myśli, tylko o... nie! w której mówi się i myśli o różnych rzeczach, lecz ich podłożem, ich tworzywem jest wciąż to samo uczucie, wciąż ten sam stosunek z zabarwieniem... mocno feministycznym, inaczej wojowniczym. Miłość, według Hańki, to „żywiół, który przychodzi nie wiedzieć skąd i kiedy, daje szczęście albo łamie życie“. Tak? Niewiadomo skąd i kiedy? Dziwna jednak, dla czego bohaterowie i bohaterki w „Dobrych parach“ układają sobie syllogizmy, jak i kto ma kochać, a czyni to nie tłum Melek i Flor, lecz sam kwiat człowieczeństwa (w „Dobrych parach“ oczywiście); dziwa również, że prąd żywiołowy daje się opanować, i plynie posłusznie wskazanem łożyskiem, jak to było z główną parą autorki. Zupełnie tak samo ustawia się na szynach lokomotywę, o której doskonale wiadomo, „skąd i kiedy“. Mówią, że tak bywa. A niech bywa, co nas taka prawda obchodzi? A zresztą... inaczej tu być nie może, bo uczucie miłosne u L. Godlewskiej nie jest weale, ani zmysłów pożarem, ani oceanem kosmicznym, z którego światy się rodzą... Mieć ono winno temperaturę dość wysoką, by można było w jego płomieniu skuć ostatnie ogniwa łańcucha małżeńskiego. Bo przecie o to chodzi. Inaczej: mamy do zbadania sposoby, jak się pary dobierają, a rozwiązanie zagadnienia jest polemiczne, coś niby, jak u Strindberga. Tylko u szwedzkiego pisarza objawia się bardzo wojowniczy patryotyzm męski, u autorki zaś „Dobrych par“ — niemniej wojowniczy, ale nie męski... Tytuł „Dobrych par“ jest ironiczny, lecz nie dla tego, iż ukazane pary źle się dobrały. Owszem, skojarzyły się tak, jak według praw pociągu wzajemnego skojarzyć się mogły. Ładysz i Borscy muszą znaleźć dla siebie lalki lub obłudnice, które ściągną ich na dół, może w błoto, lecz ocenić Hańkę i Linkowską potrafi chyba bawół lub lampart. Rzykowna teoria, ale to mniejsza. Otóż, głośne zapewnienie mężczyzny, że chcieli-by mieć z żon towarzyszkę w pracy szlachetnej — to deklama-

eya. W chwili stanowczej ocknie się w każdym „das ewig männliche,“ bo on pragnie pozostać, choćby oklamywanym, ale panem i władcą, bo nie zechce zrozumieć, iż ma prawo rozbudzić w kobiecie tylko serce, lecz nie duszę; tę już musi w niej uszanować...

Serce a dusza... wkraczamy na pole rozróżnień, tak subtelnych, iż uczuвам trwogę: nie podołam temu. A zresztą nie wypada mi tu głosu zabierać... jako stronie interesowanej.

A. DROGOSZEWSKI.

---

## *Kronika miesięczna.*

Od smutnej wiadomości rozpoczynamy „Kronikę miesięczną.“  
W ostatnich dniach kwietnia zmarł w Warszawie znakomity uczony, zacny człowiek, ś. p. Stosław Łaguna. Urodzony w 1833 r., ukończył szkoły w Królestwie, a następnie odbył studia prawne w uniwersytecie Petersburskim, gdzie w cztery lata po ukończeniu kursów wstąpił na katedrę professorską i wykladał do 1861 r. prawo polskie, a jednocześnie był professorem historii w Akademii duchownej rzymskokatolickiej. W 1861 r. został sędzią trybunału cywilnego w Warszawie. Od 1875 r. zamieszkawszy stale w naszym mieście pracował bez przerwy nad historią pierwotnego prawa polskiego i historią Polski średniowiecznej i jako współpracownik „Ateneum“, oddawał nieocenione usługi piśmiu, którem, po usunięciu się prof. Chmielowskiego, kierował, aż do objęcia tego miesięcznika przez nową redakcję.



Te kilka suchych dat podajemy tymczasowo; działalność bowiem ś. p. Łaguny, który i naszą „Bibliotekę“ zasilal swojemi studjami, znaczenie prac jego dla nauki polskiej, będą przedmiotem oddzielnej, specjalnej oceny. Obecnie pragniemy tylko wyrazić żal głęboki nad stratą, jaką poniosło społeczeństwo nasze przez ubytek takiej trudnej do zastąpienia intelligencji, takiej czystej i szlachetnej duszy. Cześć jego pamięci!

---

Nowością dla umysłowego życia Warszawy były zakończone świeżo konferencye literackie, urządzone staraniem i na dochód Kasy literackiej.

Powodzenie, jakim się te konferencye cieszyły, świadczy, że trafiono tu w sam rdzeń potrzeb szerokiego koła ludzi, pracujących w piśmiennictwie fachowo. lub z zamiłowaniem śledzących rozwój pracy ducha ludzkiego w tym kierunku.

Pogadanki, których ogółem było trzy, potrąciły o kilka kwestyi. I tak na pierwszej mówił dr Massonius o psychologii, a Ignacy Grabowski o Borkmanie Ibsena. Konferencyę drugą wypełnił odczyt p. Matuszewskiego „o powieści egzotycznej“. w którym prelegent traktował porównawczo utwory Lotiego i Kiplinga z utworami W. Sieroszewskiego. Dodatkowo na konferencyi tej poeta Baliński odczytał nowy swój poemat. Trzeci nakoniec wieczór zajął ciekawy ze względu na oryginalne stanowisko autora — odczyt p. W. Gostomskiego „o pierwiastku ludowym w poezyi“, oraz wyjątek z poematu dramatycznego Andrzeja Niemojewskiego, pod tytułem „Rokita“.

Wszystkie te konferencye były konferencyami istotnie. Po każdej z nich wywiązywała się ożywiona dyskusja, w której najcenniejszą rzeczą była wymiana zdań i zapatrywań przeciwnych, nieraz diametralnie różnych od tych, jakie wygłoszone zostały z katedry. Takie starcie się myśli i poglądów, wyrażonych w słowie żywym, ma niewątpliwie niepospolite znaczenie dla rozbudzenia ruchu umysłowego, który w starciach tylko nabiera hartu, poleruje się i rozrasta.

W Warszawie, gdzie niema prawie wcale życia klubowego, gdzie niema ani jednej instytucyi w rodzaju istniejących za granicą Związków i kół literacko-artystycznych, konferencye oddać mogą tę jeszcze usługę, że zgromadzą i zespolą niejako towarzystwo siły umysłowe

i artystyczne, rozstrzelone dotychczas po salonach prywatnych. Brak nam ogromny skupienia, brak nam możności bezpośredniego poznawania siebie i obcowania z sobą, dającego pole do otwartego i swobodnego wypowiedzania się w kwestyach, które nas żywiej zajmują. Ramy pism są tu za szczupłe, a pisma te, zanadto chwili bieżącej oddane, aby mogły się zapełniać teoretycznymi rozważaniami z dziedziny sztuki i literatury; czasopisma zaś naukowe, niespecjalne przy dzisiejszem rozgałęzieniu wiedzy obejmować muszą zbyt szeroki zakres, aby nad jednym tematem mogły rozwinąć dyskusję; czasopisma specjalnie literackiego nie posiadamy; salony wreszcie, dla tego samego, że są salonami, wyłączają możność gruntowniejszego omówienia jakiegokolwiek sprawy, a uspasabiają tylko do powierzchownej rozmowy.

Skoro to wszystko weźmiemy pod uwagę, przyznać należy, że konferencye były bardzo na czasie, i że urządzone stale i systematycznie mogły-by odbić się korzystnie na naszym ruchu literackim, który potrzebuje koniecznie bodźców umysłowych i ożywienia, zbyt jednostajnem bowiem płynie korytem. Szczególny zwłaszcza nacisk na przyszłość należało-by położyć na kierunki nowsze w literaturze Zachodu, a po części kiełkujące już i w naszej, co do których panują tak chaotyczne poglądy, że kto z istotnym stanem rzeczy u źródła zapoznać się nie mógł, nigdzie dostatecznie poinformować się o nich nie może. Wskutek tego albo potępia się u nas w czambuł wszystko, co nosi na sobie stempel modernizmu, albo wywyższa ponad miarę to, co jest zбочeniem chorobliwym, i już w zarodzie swoim nosi znamiona rychłej śmierci. Ziarna i plewy tak się tu mieszają, miernoty tak się tu łączą w jedno z wielkimi talentami, że w umysłach większości tworzy się z całego modernizmu węzeł gordyjski, niemożliwy do rozmotania dla jednostki. Rozwiązać go można tylko siłami zbiorowemi, i do tego przyłożyć powinny rękę konferencye literackie.

Jeżeli mają się one odbywać w sezonie następnym, to już dziś warto było-by upatrzeć kilku prelegentów i zaprosić ich do opracowania kwestyi, najbardziej dla nich i dla szerszego ogółu ciekawych, już dziś warto było-by ułożyć jakiś plan tych odczytów i poruszyć w nich to, co jest najbardziej znamienne, i jako zaczyn spodziewanego nowego „odrodzenia“ uważane być może.

Jeden człowiek wszystkiego nie ogarnie. Umysłów tak wszechstronnych, jak umysł Goethego, lub tak jasnowidzących, jak umysł Mickiewicza—nie mamy dzisiaj, musimy się posiłkować tem, co wiedzą inni, musimy zwolna cegielkę znosić po cegielce pod budowę gmachu naszej wiedzy, naszej nauki, naszego wykształcenia. Przy pracy na chleb, nieraz bardzo ciężkiej i bardzo zmu-  
dnej, mało pozostaje

staje nam czasu dla siebie, tego czasu, którego mogli-byśmy użyć na rozszerzenie swoich widnokręgów umysłowych, na stosowanie się do słów Asnyka: „Trzeba z żywymi naprzód iść“. Ten brak czasu zastąpić może tylko podział pracy, a dokonać tego podziału winny konferencje, w myśl starej, rzymskiej zasady: „do, ut des“. Każdy z ich uczestników powinien coś s w o j e g o wnieść do wspólnego skarbcu, a w zamian za to otrzymać to, czego we własnym skarbcu nie posiada. Tak pojęte i prowadzone konferencje staną się prawdziwą krynicą ducha, a o ile nią będą na prawdę — zapowiedziany sezon przyszedł w całej już pełni wykazać powinien.

---

Zbliżamy się do okresu, w którym Warszawa zacznie się wydłużać.

Każdy, komu tylko środki na to pozwolą, z końcem czerwca, lub początkiem lipca, opuści miasto, i będzie szukał świeżego powietrza wśród łąk zielonych i pagórków leśnych. W tym celu ojcowie rodzin już dziś rozglądają się za wyszukaniem siedziby letniej, która-by odpowiadała warunkom higieny, tak pod względem miejscowości, jak i domu mieszkalnego. Wybór jest trudny, zaiste, bo nie posiadamy w bliskości Warszawy żadnej wsi prawdziwej, żadnej okolicy, gdzie tanio i zdrowo można-by lato przepędzić. W więcej znanych latowiskach ceny mieszkań są tak wysokie, że przeciętnie zamożny nawet człowiek nie może tam wyjechać; mniej znane, nie posiadają, poprostu, domów, które-by odpowiadały chociażby tylko najniezbędniejszym potrzebom.

Jakie są te potrzeby i czego od mieszkań letnich ze stanowiska zdrowia wymagać należy, o tem poucza nas w świeżo wydanej broszurze dr Józef Zawadzki.

Praca jego jest na czasie i nie jednemu przydać się mogą zawarte w niej wskazówki, dlatego też pobieżnie chociaż zaznajomimy z nią czytelników.

Z chwilą coraz większego zabudowywania się miast, mówi dr Zawadzki, powstała potrzeba urządzania mieszkań letnich poza miastami. To, co na początku było modą, w miarę wzrostu miast, stało się potrzebą i wywołało w tym kierunku ruch, wzrastający z rokiem każdym. Dziś na setki już liczyć możemy miejscowości letnie, zwane

„mieszkaniem letniemi“, a mimo, iż dziesiątki tysięcy rodzin korzystają z nich, szukając odpoczynku letniego, a nieraz i zdrowia, nie uczyniono dotąd dla ich uzdrowotnienia. A do roboty jest dużo. Żądania swoje w tym kierunku przedstawił szanowny autor Towarzystwu higienicznemu z propozycją, ażeby istniejący w jego łonie wydział zdrojowisk zajął się zbadaniem dzisiejszych siedzib letnich, oraz na przyszłość czuwał nad przestaniem warunków sanitarnych w tych miejscowościach, gdzie nowe mieszkania letnie powstaną.

Opieka taka ze strony Towarzystwa, które wśród członków swoich posiada znaczny zastęp lekarzy, była-by bardzo pożądana, zwłaszcza obecnie, kiedy się rozpocznie ogromny ruch budowlany, oparty o świeżą uchwałę departamentu dóbr państwa, która zezwala na wypuszczanie w dzierżawę działów lasów rządowych na lat 99, w celu budowania mieszkań letnich.

Za stosunkowo nieznaczną cenę dzierżawną, każdy może zostać właścicielem działu, na którym ma prawo wybudować wśród lasu dom mieszkalny i zabudowania gospodarskie. Spekulacya nie będzie tu miała pola do działania, gdyż nikt nie ma prawa nabyć więcej, ponad trzy działki, a na każdej posesyi stać może tylko jeden dom mieszkalny. Skarb państwa, chcąc w ten sposób podnieść dochody z lasów, współcześnie miał na celu udostępnienie letnich mieszkań szerszym warstwom ludności.

Dzięki temu, wytworzy się współzawodnictwo, które zmusi właścicieli dawnych siedzib do licznych udogodnień. Czas zatem pomyśleć o tem, czego żądać, czas korzystać z chwili, tak sposobnej do wprowadzenia rozmaitych ulepszeń. Wylania się stąd konieczność opracowania przepisów dla tych siedzib letnich, które chcą iść za postępiami higieny, a również i dla mających powstać na nowo, aby nabywcy nowych działów mieli odrazu typ najlepszy, według którego mają budować swe domy.

Nad tą kwestją zastanawia się w broszurze swojej dr Zawadzki szczegółowo, i po sumiennem rozważeniu każdej sprawy, wnioskuje, że:

Na mieszkanie letnie pojedyncze, oraz na osady letnie wybierać należy miejscowości w pobliżu, lub w samym lesie iglastym, z glebą suchą, gruboziarnistą, przepuszczalną, z niskim poziomem wody zaskórnej, w odległości wiorst dziesięciu przynajmniej od fabryk i miast większych.

W miejscowości letniej, o ile możności, powinna być woda bieżąca czysta. Niezależnie od niej powinny być studnie, oddalone od źródeł zanieczyszczenia (jak gnojówki, ustępy i t. d.), dobrze ocem-

browane, oczyszczone często i przykryte szczelnie, z pompą ssąco - tłoczącą.

Domki powinny być budowane z drzewa o ścianach podwójnych, zdaleka od drogi, oddzielone od niej pasem zieleni. Domki na jedną rodzinę są bardzo pożądane. Odległość jednego domku od drugiego powinna być najmniej dwadzieścia metrów. Domki oknami sypialnemi zwrócone być powinny na południowy zachód, lub południe, zaś północna część domu powinna być przeznaczona na kuchnię i pomieszczenia gospodarcze. Pod domy wybierać należy glebę suchą, lub dom izolować na podwalinach. Oświetlenie powinno być dostateczne, każdy dom winien być zaopatrzony w piece wentylacyjne. Przestrzeń pokoju wynosić powinna około trzydziestu metrów sześciennych na osobę. W domku powinna być piwnica. Ustęp powinien być w pewnej odległości od domu i studni, i utrzymywać go należy na torfie.

Droga, łącząca domy, winna być wybrukowana, z prawidłowemi ściekami. W każdej osadzie letniej powinna być urządzona kąpiel rzeczna, lub też należy urządzić w budynku specjalnym kąpiele natryskowe i wanny.

W każdej osadzie letniej musi być zorganizowany stały dozór lekarski nad dostarczaniem produktów spożywczych na koszt właścicieli domków letnich.

Większe osady letnie posiadać powinny prócz ulepszonych środków komunikacyjnych, hotel dla przyjezdnych z restauracją, czytelnią i salą balową, urządzonemi według wymagań higieny, oraz pokój izolacyjny dla chorych zakaźnych.

Od takich urządzeń jesteśmy bardzo daleko. Żadna z dzisiejszych siedzib letnich nie odpowiada nawet połowie warunków powyższych; jest jednak nadzieja, że powoli pójdziemy ku lepszemu. W niedługim nawet czasie powinniśmy mieć jedno przynajmniej wzorowo urządzone latowisko. Będziem niewątpliwie Konstancya, granicząca ze Skolimowem i Oborami, położona w gminie Jeziorna pow. Warszawskiego, w odległości dwóch mil od Warszawy, a połączona z nią wązkotorową kolejką willanowską. Jest to pierwszy teren operacyjny niedawno zatwierdzonego „Towarzystwa akcyjnego ulepszonych mieszkań letnich“, którego założycielami są pp.: Maciej książę Radziwiłł (syn), Władysław hr. Mielżyński, Edward Żółtowski, Stanisław Roszkowski, Stanisław Leszczyński, Władysław Rawicz i Kazimierz Budny.

Sądymy, że i Towarzystwo higieniczne, rozpoczynając swoją działalność zgodnie z wnioskami d-ra Zawadzkiego, powinno od samego początku zaopiekować się Konstancją, i już dzisiaj wejść w bliższe porozumienie z Zarządem Spółki ulepszonych mieszkań let-

nich, aby ta mogła zawczasu z jego wskazówek i doświadczenia na polu urządzeń sanitarnych korzystać ku pożytkowi ogółu, który zaczyna już pojmować, jakim skarbem nieocenionym dla człowieka jest zdrowie.

---

Jest w dekalogu przykazanie, które powiada: „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił“, a w święceniu tem obowiązkiem stanowi wysłuchanie mszy i zaprzestanie zajęć zwykłych.

Przeciw jednemu z tych obowiązków Warszawa stale wykacza. Według obliczeń przypuszczalnych, opartych na normalnym przyroście ludności, od czasu ostatniego spisu jednodniowego — jest w niej obecnie 700,000 mieszkańców. W tem więcej niż połowa — katolików wierzących, którzy radziby żyć zgodnie z przepisami religii. Nie pozwala im atoli na to brak kościołów, których jest dziś w mieście, pominawszy szczupłe kaplice rozmaitych zakładów — tylko 14. Jeżeli przypuścimy, że nie więcej, jak 240,000 ludzi bywa w kościołach regularnie, to wypadnie po 10,000 dusz na kościół. Żadna tymczasem z istniejących świątyń tłumu takiego w murach swoich nie pomieści, a w najobszerniejszych panuje ścisk taki, że instynkt samozachowawczy człowieka musi w nim brać górę nad usposobieniem do modlitwy.

Modlitwa jest aktem bardzo uroczystym, jest oderwaniem się duszy od trosk i nędzy codziennego życia, wzniesieniem się do Boga, skupionem rozpamiętywaniem, z głębi serca idącą prośbą, skruchą i żalem. Jako taka, wymaga ona ciszy i spokoju, wymaga pewnego nastrojenia się, warunków, w których możliwe jest zapomnienie o świecie otaczającym. Zrozumiał to dobrze kościół, dążąc od najdawniejszych czasów do odpowiedniego budowania domów bożych; do gromadzenia w nich tych środków zewnętrznych, które pobudzają do wewnętrznego skupienia się, które, działając na wzrok i słuch, wytworząją ów właśnie nastrój duchowy, na którego tle powstać dopiero może „rozmowa z Bogiem“.

W ciżbie, w natłoku, a czasem niemal w gwarze, zupełnie z powagą świątyni nie licującym — modlitwa nie jest modlitwą, nie może nią być, bo tysiące przeszkód swobodny wzlot jej tamują i tysiące drobnych szczegółów ściągają duszę ustawicznie do ziemi.

Tak się właśnie rzecz przedstawia w kościołach warszawskich. Za mało ich jest, aby mógł w nich panować spokój, odpowiedny do chwili uroczystej, jaką jest Msza św.

Są w Warszawie całe dzielnice, które obywać się muszą bez kościoła. Do dzielnic takich należy część miasta, bardzo szybko rosnąca i mająca jeszcze przed sobą dalszą perspektywę rozwoju—to ulica Marszałkowska i jej bocznice. Na przestrzeni, od Ogrodu Saskiego ku rogatkom Mokotowskim, jest tylko jeden kościół św. Piotra i Pawła na Koszykach, kościół bowiem św. Aleksandra przeznaczony jest dla innej części miasta. Zresztą, tak nieszczęśliwie przebudowany, jest on już dzisiaj za szczupły, ażeby go w rachubę brać można. Tak tedy jedna z najruchliwszych i najgęściej zaludnionych części Warszawy posiada jedną tylko świątynię, która w dzień kościelny jest formalnie przez tłumy, zalegające ogródek cmentarny, obleżona i połowy pobożnych pomieścić nie zdoła.

Poruszono w swoim czasie myśl wybudowania nowego kościoła na placu, który pozostanie po gmachu Szpitala Dzieciątka Jezus. Jeżeli projekt ów dojdzie do skutku, część potrzeb zostanie zaspokojona, ale część tylko i to nieznaczną. Dzielnicy, o której mówiliśmy, potrzeba jeszcze przynajmniej dwóch kościołów, z których jeden stanąć powinien w okolicach ulic Złotej i Chmielnej, ku ich końcowi, drugi na ulicy Marszałkowskiej. Ktoś nawet zaproponował zużytkowanie na ten cel dość obszernych placów przy rogatkach. Myśli tej nie należało-by zaniechać i już dziś rozpocząć gromadzenie funduszków drogą składek drobnych i ofiar. Zarząd archidiecezyi warszawskiej powinien wszystkie siły swoje wyteżyć i skierować ku przysporzeniu stolicy tych świątyni brakujących, a ogół pobożnych niewątpliwie usiłowania jego poprze.

Minęły czasy wielkich fundacyi i ofiar, majątki kościelne uszczupliły się znacznie, panujący nie erygują świątyni własnym kosztem, ale modlitwa pozostała i pozostanie długo jeszcze żywą potrzebą szerokich warstw ludzkości.

Tym warstwom właśnie, które w każdą niedzielę spieszą do stóp ołtarza ze skargą albo podzięką, tym warstwom, które umieją jeszcze z ekstazą średniowieczną kłaść się falą na posadzkę kościelną i wstrząsać mury wiekowe ogromną choralną pieśnią: „Święty Boże, święty mocny, święty, a nieśmiertelny“, od której słów twarze bledną i najwięcej zepsute i wyschłe serca bić zaczynają wzruszeniem głębokim, tym „duchem ubogim“, a gołębią prostotą i wiarą większym od przybranych w togę rozumu nowożytnego, bankrutujących duchowo filozofów. — tym wszystkim wreszcie, którzy cierpią i dla

których Bóg jest jedyną w cierpieniu ostoją, obowiązani jesteśmy dać miejsce do modlitwy. Dla nich należy budować dzisiaj kościoły tak, jak je budowano przed wiekami, i nowa Warszawa nie powinna posiadać mniej świątyń, niż ich posiadała Warszawa dawna w stosunku do ówczesnej swojej ludności.

---

P. Władysław Rabski w jednym z ostatnich felietonów swoich poruszył ważną kwestyę estetycznego kształcenia ludu, proponując, ażeby kierownicy zabaw ludowych zajęli się zbudowaniem w parku praskim pawilonu artystycznego i urządziwszy tam wystawę obrazów dla ludu, zapoznawali tłumy zgromadzone z dziełami sztuki. Gdyby projekt ten z jakichkolwiek względów okazał się niewykonalnym, to należało-by wystawę taką urządzić w sali ratuszowej.

Wiąże się to z projektowaniem już poprzednio urządzaniem koncertów symfonicznych.

Demokratyzacya sztuki, która dzięki wpływom i długoletniej działalności Ruskina, przyjęła się już zupełnie w Anglii, u nas jest rzeczą zupełnie nową. Teatr, muzyka, malarstwo i rzeźba, stanowią jeszcze przywilej warstw kulturalnie najwyżej rozwiniętych i są pokarmem, przeznaczonym tylko dla wybranych. Powszechnie też przyjęło się zdanie, że dla warstw, niżej stojących, cały świat wrażeń estetycznych nie jest dostępnym, że, ażeby odczuwać piękno, trzeba mieć już wyrobioną wrażliwość, wysubtelnione zmysły, duszę podobną mimozie. Tak jest istotnie, ale tylko co do szczegółów. Jest jednak wrażenie ogólne, jest jakieś odruchowe drgnienie duszy każdej, najgrubszej nawet, na widok piękna, i to wrażenie ogólne w równej mierze dostępne jest dla wszystkich.

Jesteśmy najgłębiej przekonani, że każdy robotnik, każdy chłop, każdy przedstawiciel tej warstwy społecznej, którą my uogólniamy pojęciem masy, doskonale odczuje muzykę Moniaszki, obraz Kossaka, lub przemawiający motywem swojski pejzaż Chelmońskiego.

Dla tego też na projekt p. Rabskiego zapatruję się zupełnie serwo i radbym go jak najprędzej widzieć urzeczywistnionym. Oczywiście, że jakaś suita wykwinna, sentymentalna melodia niemiecka, szalone orgie dźwięków Wagnera, targający nerwami naszymi Grieg, lub inny ze współczesnych muzyków nie będzie przez lud zrozumiany, jak nie



będą zrozumiane symbole nowoczesnych malarzy, allegorye duszy Sznajdra, precudowne krajobrazy Boecklina itd. Te rzeczy wymagają wykształcenia, specjalnego przystosowania się, intelligencji artystycznej i wyrobionego smaku estetycznego, który daje dziedziczenie kultury wyższej przez całe szeregi pokoleń. Kultura ta nie powinna jednak podnosić się tylko na coraz to wyższe stopnie, powinna ona rozlewać się coraz szerzej, szczepić się tam, gdzie grunt jest jeszcze dziki i jałowy, wpleniał chwasty i przygotowywać glebę pod bujny siew przyszłości. Udostępnienie dzieł sztuki szerokim masom odegra w tem wszystkim wybitną rolę.

A teraz wracam jeszcze na chwilę do felietonu p. Rabskiego, który opowiada o tem, jak się do demokratyzacji sztuki, tej pani, która jest zdaniem wszystkich urodzoną arystokratką, zabrano w Anglii.

Powiedziano tam sobie, że nie dość jest otworzyć wspaniałe muzea i galerie w porze najdogodniejszej dla ludu roboczego i nie dość tam urządzać od czasu do czasu zbiorowe wycieczki stowarzyszeń robotniczych pod wodzą swiatłych kierowników; lecz, że trzeba zbudować nowy system pedagogiczny, aby „w sercach ludu rozniecić miłość piękna plastycznego.“

W tym celu „obok galerii państwowych powstawały specjalne wystawy dla ludu, złożone z dzieł religijnych, historycznych i rodzajowych. Zrozumiano, że chcąc tłumom nieoświeconym sztukę uprzyścić, trzeba przedewszystkiem przemówić do nich dobrze malowaną „nowellą“. Opowiadano im dramat w obrazie i rzeźbie, oswajano z pięknem podstępnie, uczono patrzeć na sztukę, podniecając wyobraźnię romansami i religią. A reszta później się znajdzie. Niech przedewszystkiem lud odwyknie od bohomazów jarmarcznych, niech poczuje i wchłonie w siebie tchnienie sztuki prawdziwej.“

Na przedmieściu londyńskim Whitechapel pierwsza taka wystawa obrazów dla ludu odbyła się przed 10 laty. Ktoś na własną rękę wypożyczył z galerii prywatnych kilkadziesiąt płócien, starych i nowych mistrzów, jedno z liceów odstąpiło mu dwie izby szkolne, gromadka krzewicieli oświaty podjęła się oprowadzać gości po wystawie. I trudy opłacili się sowicie. W dwa lata później powtórzono eksperyment i oto w przeciągu trzynastu dni 26,492 robotników zwiedziło wystawę. Od owego czasu wystawy odbywają się rok rocznie. W ostatnich pięciu latach, każda z tych wystaw, trwająca około trzech tygodni, ściągająca w przecięciu 70,000 widzów z warstwy ludowej. Dzieje się to wprawdzie w Londynie, który posiada 5 milionową z górą ludność, ale dział-by się mogło i u nas w skromniejszych roz-

miarach, zwłaszcza, że nasza warstwa robotnicza i rzemieślnicza nie jest wcale tak ciemna, jak to się jeszcze powszechnie mniema, a dwa ogniska przemysłu naszego Warszawa i Łódź, dopominają się oddawna o jakąś pracę kulturalną, nad podniesieniem poziomu moralnego tych, co są na liczne wystawieni pokusy skądinąd. „Piękno“ graniczy z „Dobrem“ i przez nie najprostrza prowadzi droga do uszlachetnienia masy, która dziś szuka wrażeń w zapasach siłaczy cyrkowych, w rozpuście i alkoholu.

Wprowadźmy do świątyni piękna tych, których losy odsunęły od jej progów. Może przez lata całe będą nam oni jeszcze neofitami, ale kiedyś opłaci nam się to z pewnością, opłaci społeczeństwu i sztuce polskiej.

---

Redakcja „Głosu“ zwróciła się do młodzieży z zapytaniem: „co myśli i czego chce nowe pokolenie?“

Ulegając w tym wypadku modzie dziennikarskiej, która za granicą w tego rodzaju ankietach porusza rozmaite kwestye, budząc szanse zainteresowania czytelników, „Głos“ miał prawdopodobnie na widoku jedną rzecz jeszcze, mianowicie danie możności wypowiedzenia się młodzieży, która u nas w swoich sprawach i o sobie nie ma gdzie przemawiać.

Sądźmy, że z danej sposobności młodzież warszawska skwapliwie skorzysta, i że z licznie nadesłanych odpowiedzi dowiemy się o jej ideałach, wierzeniach i celach.

Mówi się u nas powszechnie o tem, że młodzież nasza nie jest nigdy prawdziwie młodą, że gorzknieje i grzybieje bardzo prędko, że zanim dojdzie do wieku, w którym w Rzymie starożytnym pozwalano młodym ludziom przywdziwać togę wirylną — jest już wystygłą, sceptyczną, zasklepioną w ciasnej skorupie egoizmu, bardzo daleką od tej młodości, która „wylaływała nad poziomy.“

Tak nie jest. Młodzież ma niewątpliwie i dzisiaj swoje zapaly, swoje chwile wzlotów i upojen, prawdziwego entuzjazmu i szlachetnej czci dla prawdy i sprawiedliwości, tylko, że przedział pomiędzy nią, a pokoleniem starszem zwiększa się coraz bardziej i stąd wzajemne zrozumienie się natrafia na coraz znaczniejsze trudności. Starsi zawsze patrzą na młodszych przez pryzmat swoich własnych wspomnień i sądzą na podstawie dostrzeżonych różnic. Różnice te jednak muszą występować, społeczeństwo bowiem ulega ciągłym zmianom

i przeobrażeniom, nasze zaś społeczeństwo specjalnie od lat dwudziestu kilku jest niemal ruchome, wskutek odbywającego się w niem fermentu, i nie pokolenie od pokolenia, ale synowie jednych i tych samych rodziców różnią się w niem od siebie nieraz bardzo wybitnie całym sposobem myślenia i kierunkiem dążeń. Reakcja jednych prądów przeciw drugim następuje dziś tak szybko, że nawet trzymając rękę na pulsie społecznym, trudno jest wyczuć, co w danej chwili przeważa. Dla tego też nie dziw, iż różnice pomiędzy jednym pokoleniem a drugim występują coraz jaskrawiej i zarysowują się z większą siłą.

Jeżeli ankieta „Głosu“ zdoła je wszystkie uchwycić i uporządkować, będzie to niemała jej zasługa.

Zachodzi tylko jedna obawa, mianowicie co do tego, czy młodzież potrafi być dostatecznie szczerą, czy jej wyznania nie będą pozą i udaniem?

Zwrócił na to uwagę pierwszy z przedstawicieli młodego pokolenia, pan K. Stołyhwo, który lubo nic nie powiedział o tem, czego chce i w co wierzy, a więc bezpośrednio na zadane pytanie nie odpowiedział, poruszył jednak materję wiele dającą do myślenia.

Oto jego słowa: „Rzadko kiedy można spotkać (wśród młodzieży) człowieka z przekonaniami pogłębionemi. Mówiąc cokolwiek, prawie zawsze staramy się mówić tak, aby zwrócić na siebie uwagę, że to my mówimy, ale bynajmniej nie odczuwamy należycie wygłoszonych przez siebie zdań, i dla tego pozostają one tylko czczemi komunałami.

„Każdy z nas stara się mieć modną maskę—tylko dla tego, że jest modna i interesująca, chociaż ona zupełnie nie odpowiada jego podmiotowym przekonaniom. Wielu z nas zatapia się w sobie z lubością, sądząc, że przedstawiają niezwykle ciekawy obiekt i rozplývają się w podziwianiu swej pseudowielkości. Dla tego też obawiać się należy, czy osobiste wyznania wiary terażniejszej młodzieży będą naturalne. Każdą prawie mimowoli postara się przedstawić siebie w jakimś szczególnem oświeceniu, starając się zainteresować oryginalnością swej jaźni, która w rzeczywistości prawdopodobnie przedstawia nieudolny i mizerny zlepek zapożyczonych refleksyi.“

Ze niema pośród młodych „człowieka z przekonaniami pogłębionemi“ — to jest zupełnie naturalne i nikt od młodzieży w tym wieku, w jakim zapewne jest i sam pan Stołyhwo, „przekonań pogłębionych“ nie wymaga, mężczyzna bowiem dojrzewa bardzo późno i dopiero niewiele przed albo po 30 roku życia przekonaniowo się kryształizuje.

Ale, żeby nie było wśród młodych ludzi szczyrych—w to się wierzyć nie chce i smutny obraz nienaturalności i pozy, roztoczony powyżej, nie może się stosować do ogółu. Zapewne są takie jednostki, ale „małpiarstwo“ nie mogło objąć wszystkich i z pewnością obok tyków, obserwowanych przez p. Stołyhwę, istnieją młodzieńcy zdrowi moralnie i umysłowo, którzy coś kochają, w coś wierzą, pracują dla jakiegoś ideału i czerpią wiedzę nie dla karyery, ale dla tego, żeby sumiennie i po obywatelsku spełniać zadania, do których ich życie i społeczeństwo w przyszłości powołają.

Na nich teraz kolej, oni się powinni odezwać, obalić niesłuszne uogólnienia kolegi - sceptyka i szczerze odpowiedzieć, jakimi są, a wiedzą chyba wszyscy, że nie o literaturę tu chodzi, ale o p r a w d ę.

---

Z inicjatywy prywatnej powstała w Warszawie instytucja o znaczeniu ogólnem, niemalej doniosłości społecznej, oparta na zasadzie czynienia dobrze innym. Firmę swoją daje jej Towarzystwo tanich kuchni i przytułków noclegowych, całkowita atoli zasługa zapoczątkowania sprawy przypada tu jednostce.

Oto, mieszkaniec Warszawy, p. Karol Rosé, będąc w Berlinie, zwrócił uwagę na przedsiębiorstwo „kuchni ruchomych“, zasiągnął na miejscu bliższych informacji, przyjrzał się urządzeniu i funkcjonowaniu kuchni centralnej Hoenckego i z całą energią zabrał się do pracy nad urządzeniem takiej kuchni u nas, zyskawszy sobie sojusznika w ks. Chelmińskim. Inicyjator ofiarował na początek 3,000 rubli z własnych funduszków, a Towarzystwo przytułków noclegowych odwołało się o resztę do ofiarności ogółu, który niewątpliwie tak pożądaną instytucję w miarę sił popierać będzie, zwłaszcza, że idzie tu tylko jakby o uzyskanie kapitału zakładowego dla przedsiębiorstwa, zanim ono samoistnie rozwijać się zdoła.

Kuchnia ruchoma — tak, jak ją prowadzi Hoencke i jak ją prowadzić zamierza p. Rosé, ogromne posiada znaczenie dla ubogich warstw ludności miejskiej, dostarczając im zdrowego i taniego pożywienia.

Po ulicach Berlina w pewnych godzinach dnia krążą wozy, zatrzymując się przed mniej okazałymi domami, z których na odgłos trąbki woźnicy, wybiegają gosposie z naczyniami, aby za 10 fenigów otrzymać porcję zupy gorącej i smacznie przyrządzonej. Por-

cya taka (mniej więcej trzy talerze), może dać wystarczający posiłek obiadowy dorosłemu i pracującemu mężczyźnie. Kuchnia Hoenckego cieszy się też wielkiem uznaniem klasy pracującej, czego najlepszym dowodem jest stały rozwój instytucyi, możliwy tylko przy wielkim odbycie.

Pan Hoencke, niegdyś dostawca armii niemieckiej, zna się na rzeczy wyśmienicie i kuchnię swoją prowadzi z całą skrupulatnością.

Długoletnie doświadczenie, którego nabral, kłopotząc się o zaprowiantowanie całego nieraz korpusu wojska, uczyniło zeń w swoim rodzaju specjalistę. Jego też do zorganizowania kuchni warszawskiej zaprosił komitet, aby w ciągu pierwszego miesiąca zaopiekował się młodą instytucją i na właściwe tory ją wprowadził.

W Warszawie, która liczy ogromną masę ludności ubogiej, kuchnia ruchoma stać się może prawdziwym dobrodziejstwem, przyczyniając się do polepszenia warunków higienicznego odżywiania się. Człowiek współczesny potrzebuje strawy gorącej — tymczasem, gdyby możliwą rzeczą było zebrać statystykę tego, jak i kiedy potrzebę tę zaspakajają warstwy najcięższej na chleb pracujące, okazało-by się, że przeważna większość zaledwie raz na dzień może wziąć do ust coś gorącego, a wielu bardzo jest takich, którzy tygodniami całemi suchym chlebem żyją. Dostarczyć im do tego chleba gorącej zupy kosztem dla nich dostępnym — oto zadanie kuchni. Przedewszystkiem skorzysta z niej ludność pracująca pod otwartem niebem. Pamiętamy wszyscy liczne zastępy robotników kanalizacyjnych, którzy w porze obiadowej obozowali na górach piasku, pożywając skromny posiłek. Żonatom przynosiły go w tradycyjnych dwojkach żony, bezzenni zadowolić się musieli chlebem i kieliszkiem wódki, jeżeli to nie było zbyt dawno po wypłacie. Jakże inaczej wyglądał-by ich obiad, gdyby z chwilą nadejścia południa zajechał wóz kuchenny i otworzył swoje krany, tocząc z nich pięciokopiejkowe porcy-zupy z kilku kawałkami mięsa. Obok tego rodzaju robotników z dobrodziejstw kuchni ruchomej korzystać będą murarze, przekupnie i przekupki na targach miejskich, oraz włościanie, przybywający w dni targowe ze wsi okolicznych, którzy obecnie byle czem głód zaspakajają, albo trują się w garkuchniach i traktyerniach. Wreszcie stałymi odbiorcami zupy z wozów będą z pewnością robotnicy fabryczni, dla których chodzenie do domu na obiad niezawsze jest możliwe, a jeśli nawet godzina czasu przeznaczona na to wystarczy przy blizkiem mieszkaniu — to pośpiech w jedzeniu i bezpośredni powrót do zajęcia, nieraz bardzo szybkim krokiem — z obawy

przed spóźnieniem — niekorzystny wywiera wpływ na zdrowie. Kuchnie ruchome zastępują nawet matkę i gospodynię dzieciom, jeśli ta zmuszona jest w ciągu dnia pracować poza domem i dopiero wieczorem może coś uwarzyć.

Odezuli to wszystko dobrze organizatorowie kuchni i tak gorąco wzięli się do dzieła, że oto maluczko, a pierwsza kuchnia powstanie.

Zajmująca się tą sprawą delegacya Towarzystwa przytułków pracuje już nad szczegółowem zbadaniem planów i kosztorysów, oraz zawarciem umowy z panem Hoenckem o urządzenie kuchni ruchomych.

Pan Hoencke niezwłocznie przystępuje też do robót przygotowawczych. Montowanie kuchni rozpocznie się w pierwszych dniach sierpnia i prowadzone będzie z takim pośpiechem, ażeby najpóźniej 1 października kuchnie mogły być w ruch puszczone.

Na początek postanowiono wydawać 4,000 porcyi stawy dziennie; jest to bardzo mało na potrzeby z górą półmilionowego miasta. Podwojenie nawet, lub potrojenie czynności potrzeb tych nie zaspokoi, dla tego też nie jedna, ale kilka, i to w rozmaitych punktach miasta, powstać powinno kuchni. Na to jednak potrzeba znaczniejszego kapitału, który, powtarzamy, jest tylko „zakładowym“, kuchnie bowiem, posiadając stałych a licznych konsumentów, doskonale utrzymają się bez pomocy filantropii.

Sprawa ta należy do ogółu. Kto może — powinien się przyczynić i składką swoją dopomódz do tego, aby z nadejściem zimy przynajmniej kilkanaście tysięcy porcyi zupy miała do dyspozycyi uboga ludność Warszawy.

---

## Wiadomości bibliograficzne.

---

— Wydział filologiczny Krakowskiej Akademii Umiejętności wydał XIII tom swoich rozpraw, zawierający: L. Malinowskiego: „Zabytek języka polskiego z początku wieku XVI z rękopisu Biblioteki uniwersytetu w Erlangen“; J. Czubka: „Jan Chryzostom z Gosławie Pasek, w oświeceniu archiwalnem“; J. Bystronia: „O pisowni i języku ksiąg ustaw polskich na podstawie kodeksów: Świętosławowego, Działyńskich, Dzikowskiego i Stradomskiego“; S. Ciszewskiego: „Bajka o Midasowych uszach, studjum z literatury ludowej“; J. M. Rozwadowskiego: „Quaestionum grammaticarum atque etimologicarum series altera“ i Brücknera: „Apokryfy średniowieczne“, cz. I.

— Wyszły również tomy XV i XVII rozpraw wydziału matematyczno - przyrodniczego i zawierają (tom XV): J. Marchlewskiego: „Studia nad związkiem O'Neill'a i jego pochodnymi“; L. Marchlewskiego: „O gossypolu, składniku nasion bawełny“; A. Becka: „Badania nad unerwieniem gruczołów ślinowych“; S. Niementowskiego: „O azimidach benzimidazoli“; K. Radziewanow-

skiego i J. Schramma: „O wpływie światła na chemiczne podstawianie“; M. Kowalskiego: „Studia helmintologiczne“; J. J. Boguskiego: „O własnościach roztworów azotynu sodowego“; L. Adametza: „Nowy gatunek dyluwalnego rogatego bydła“; E. L. Niezabitowskiego: „O wyrastaniu ostatniego zęba trzonowego w dolnej szczęce niedźwiedzia jaskiniowego“; Z. W. Jaworskiego: „O rozkładzie mleka pod wpływem prątki *Bacillus butyricus* Hueppe“; W. Natansona: „O wpływie ruchu na zmiany stanu skupienia“ i „O termokinetycznych własnościach roztworów“; A. Witkowskiego: „O oziębianiu się powietrza wskutek rozprężenia nieodwracalnego“ i R. Mereckiego: „Klimatologia ziem polskich“. (Tom XVII): L. Świtalskiego: „O pozostałościach ciała i przewodów pranercza u płodów i dzieci płci żeńskiej“; T. Browicza: „O zjawiskach krystalizacyi w komórce wątrobowej“; „O śródnacyniowych komórkach we włoskowatych krwionośnych naczyniach zrazików wątroby“; „W sprawie pochodzenia melanimu w nowotworach barwikowych“ i „Sztuczna krystalizacya hematoidyny w komórce mięsaka barwikowego“; S. Kępińskiego: „O peryodach całek hyperelitycznych“ i „O całkach rozwiązań równań różniczkowych, z sobą sprzężonych, rzędu 2-go, posiadających trzy punkty osobliwe“; J. Nusbauma: „Badania porównawcze nad podjęzykiem, przegrodą językową i lyszą zwierząt ssących“; K. Żórawskiego: „O zbieżności szeregów odwracających“ i „Przyczynek do geometryi nieskończenie małych przekształceń“; M. P. Rudzkiego: „Odkształcanie się ziemi pod ciężarem wielkich lodowców“ i „Teorya fizycznego stanu kuli ziemskiej“.

— Towarzystwo starożytności pruskich wydało 21 zeszyt swoich sprawozdań z posiedzeń w okresie od 1896 do 1900 roku pod tytułem: „Sitzungsberichte der Altertumsgesellschaft Prussia“, Królewiec, 1900.

— W zeszycie I roku 1900 lwowskiego „Kwartalnika historycznego“ znajdujemy artykuły: K. Potkańskiego: „Jeszcze o Piaście (z powodu rozprawy prof. Brücknera)“; St. Kętrzyńskiego: „O rzekomej wyprawie Włodzisława Hermana na Szczecin 1091 roku“; L. Finkla: „Memoryał Antoniego hr. Pergena, pierwszego gubernatora Galicyi o stanie kraju“; Miscellanea, Recenzye i sprawozdania; Przegląd literatury powszechnej, Kronikę i Przegląd czasopism.

— Nakładem Krakowskiej Akademii umiejętności wydany został jako pierwszy tom Materiałów do historii języka i dyalektologii polskiej: „Słownik polskich imion rodzajów oraz wyższych skupień roślin, poprzedzony historyczną rozprawą o źródłach“, przez prof. J. Rostafińskiego.

— Nakładem Kasy Mianowskiego, w zbiorze „Biblioteki przyrodniczej Wszechświata“, ukazało się dzieło d-ra Eugeniusza Warminga, profesora bo-



taniki i dyrektora ogrodu botanicznego w Kopenhadze, pod tytułem: „Zbiorowiska roślinne, zarys ekologicznej geografii roślin“.—Polskiego przekładu dokonali z wydania niemieckiego d-ra Emila Knoblauch, Edward Strumpf i Józef Trzebiński, kandydaci nauk przyrodniczych.

— Jako osobna odbitka z wydawnictwa „*Bibliotheca mathematica Zeitschrift für Geschichte der mathematischen Wissenschaften*“, redagowanego w Sztokholmie przez G. Eneströma, wyszła w Lipsku u Teubnera rozprawa w języku francuskim Feliksa Kucharzewskiego: „Sur quelques niveaux du XVI siècle“.

— Opuścił prasę zeszyt 4 tomu IV „Wiadomości matematycznych“, wydawanych i redagowanych przez S. Dicksteina.

— Z dziedziny psychologii ukazały się dwa zajmujące przekłady: p. Zygmunt Poznański przetłumaczył Gustawa Le Bona „Psychologię tłumu“, stanowiącą tom 10/11 wydawnictwa: „Wiedza i życie“, a p. W. Kosiakiewicz spolszczył „Historię psychologii nowożytnej“, d-ra Merciera, której pierwszy zeszyt wydany został nakładem „Przeglądu Filozoficznego“ w *Bibliotece neoscholastycznej*.

— P. Juliusz Mastelski, zamieszkały w mieście Zusarze w gubernii Penzeńskiej, rozpoczął druk dwudziestoletniej pracy pod tytułem: „Filozofia przyrody w zarysach“. Pierwsza część: „Warunki bytu światów“ opuściła prasę. Dzieło składać się będzie z sześciu części, w których autor rozpatrzy: Newtona zasady matematyczne Filozofii natury, Budowę ziemi, Ciężkość, Ciężar oceanu, Ciężar atmosfery. Praca p. Mastelskiego będzie przedmiotem obszerniejszej oceny.

— Ruchliwa firma Władysława Okręta rozpoczęła wydawnictwo „Wyboru pism Ruskina“; obecnie wyszły w przekładzie Maryi Chwalibóg „Sceny z podróży, Widoki natury“. Nadto, nakładem księgarni Borkowskiego wydano „Drogę do sztuki“ Ruskina, w tłumaczeniu St. Koszutskiego.

— Szereg wydawnictw Bronisława Natansona pomnożyła biografia Dantego Alighieri, skreślona przez Cezarego Jellentę, i wchodząca w skład publikacji: „Życiorysy znakomitych ludzi“.

— Kalk Sineka wydał zbiorek poezyi pod tytułem: „Myśli i uczucia“.

— „Rymy i Rytm“ Leona Belmonta ukazały się w dwóch tomach, zawierających utwory oryginalne, o których wkrótce obszerniej pomówimy.

— W wydawnictwie księgarni krajowej i Gazety Świątecznej ukazała się powieść z dzisiejszych czasów, którą napisała Jadwiga Strokowa, a zredagował Pisarz Gazety Świątecznej.

— „Dziejów powszechnych illustrowanych“, wydawanych w Wiedniu nakładem Franciszka Bondy pod redakcją L. Kubali, wyszły zeszyty od 311 do 330 włącznie, zawierające w dalszym ciągu historię Europy za Napoleona I-go, oraz Czasy Wojen Krzyżowych i Zwycięstwo potęg terytoryalnych i narodowych.

— Dr C. Laurent, profesor uniwersytetu w Brukselli, napisał „Hygienę cyklisty“, którą przetłumaczył dr F. Jak..., a wydała księgarnia Dubowskiego w Warszawie.

— „Jak się ustrzedz chorób żołądka“, taki ma tytuł broszura d-ra Józ. Goldbauna, wydana nakładem Centnerszwera

— Firma T. Paprockiego wydała dobrze ułożony „Przewodnik po Paryżu i wystawie powszechnej“, który w roku bieżącym będzie niewątpliwie bardzo poszukiwany.

— Ze zbioru Wydziału literackiego w Gostyniu wydano: „Klechdy czyli baśnie ludu polskiego na Szląsku“.

— „Dzień gorliwego czciciela najśłodszego Serca Pana Jezusa“, zebrał i ułożył ks. Lojola.

— „Ateneum“ (maj), Poezya polska o świcie XX-go stulecia, p. K. Włostowskiego. Po nad siły, Sewera. Mięczyński i Dumourier, p. A. Krauschara. Przesilenie rolne w Niemczech, Kempnera. „Żydzi“ Obraz dramatyczny, p. Glińskiego. Rozalia Lubomirska, jako ofiara terroryzmu w r. 1794, Wł. Kozłowski. Najnowsze poglądy na mechaniczne budowy ustroju nerwowego p. Groszlika. Metody badań starożytnych, przez Starego towarzysza broni. Ruch artystyczny Sygietyńskiego. Rozbiory i sprawozdania. Stosław Laguna (wspom. pośm.), Lutomskiego. Bibliografia.

---

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

**Michał książę Radziwiłł.**